

Archiwum i Muzeum Pomorskiej Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek
87-100 Toruń, ul. Kościelna 23, I piętro tel. 56 65 22 186
e-mail: apok@wp.pl www.apok.org.pl
NIP 956 13 25 77, REGON 14052736
KRS 0000 41692
Nr r-ku 82 1090 1306 0000 C 30 5002 6244

opr. III 10A
Jef



Antoni Damski (szwagier)
81-831 Sopot 0

Gdynia
Sz. Sz. - AK
++ Powłoczuk Marian
ps. "Sęp", "Ptowy Sęp"
JL: 951/1660 Pom.

**SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI**

Paulaczyk Marian
T: M-951/1660 Pom...
Gdynia Sz. Sz. - AK

I./1. Relacja *k. 1 s. 1*

I./2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące relatora *k. 15 s. 1-20*

I./3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące relatora —

II. Materiały uzupełniające relację

- s. 41
k. 8 s. 1-8

III./1. Materiały dotyczące rodziny relatora —

III./2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III./3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III./4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 —

III./5. Inne ... —

IV. Korespondencja

1) z Antonim Banasiew k. 1 s. 1

V. Nazwiskowe karty informacyjne *k. 12*

VI. Fotografie *dwie ikony grafii*

I/1. Relacja

1. Relacja własna Pawła czyka Mariana,
niekpiś omys. b. doty k. 1 s. 1



Życiorys.

Urodzilem się 6 października 1922 roku
w Międzywielu pow. Międzybóż rej. poznański.
W Gdyni zamieszkuje od roku 1927. W okresie
przedwojennym ukończyłem 6 klas szkoły powszechnej
i trzy klasy gimnazjum nowego typu. Dalszą
uczelnię przerwał wybuch II wojny światowej.
W okresie okupacji do roku 1943 zamieszkiwałem
w Gdyni i pracowałem w charakterze kreślarska
w Sopocie. W maju 1943 r. zostałem aresztowany
przez Gestapo za przynależność do organizacji
Szare Szeregi i osadzony w obozie koncentracyjnym
w Stutthofie. Tam przebywałem, pracując w warsztacie
brońi północnej w stoczni gdańskiej do czasu wywole-
nia. W czasie powrotu do domu zostałem zatrzymany
przez władze radzieckie i wywieziony do Moskwy
w Z.S.R.R. W Z.S.R.R. przebywałem 9 lat pracując
w kopalni węgla w charakterze manufaktury
elektronozoru. Do kraju wróciłem w styczniu 1954 roku.
W kwietniu tego roku rozpocząłem pracę w Sp-ku
Pracy „Jedności Techniczna” w Gdyni pełniąc kolejno
funkcje - lokarza, brakarza, kierownika Biura
Regeneracji Armatury Wtryskowej, rozdzielcy robót,
st. technologa oraz od dnia 19. X. 1960 do 31. X. 1965 r.
pełniłem funkcję kierownika Produkcji.
Z dniem 9. XI. 1965 roku rozpocząłem pracę w P.P. „MORS”
w Gdyni na stanowisku st. technologa.
W czerwcu 1959 roku ukończyłem 5-cio letnie
Mechaniczne Technikum Łańcuchowe w Gdańsku
wyskując dyplom technika-technologa w specjalności
obrotka skrawaniem.

Pasławy

1./2. Dokumenty - Pawłaczyk Marian

1. Świadcstwo zwolnienia więzienia - Pawłaczyk Mariana Stanisława wystawione przez Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa w Tomaszowie Lubelskim z 1954r., mpis, oryg. k.1 str.1
2. Mwierytelniome oświadczenie Mieczysława Goncosewicsa z 13.09.1957r., mpis, orygimel + kserokopia k.2 str.2-3
3. Oświadczenie świadka - Pawłaczyk Mariana - z dn. 6.10.1975r. o konspiracyjnej działalności Henryka Śmierchel-skiego; 2 kserokopie mpisu k.2 str.4-5
4. Zeznanie świadka - Jana Będzim-skiego - z dn. 8.09.1981r., mpis, 2 kserokopie k.2 str.6-9
5. Pismo Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku, Wydział Spraw Społeczno-Administracyjnych z 8.07.1981r., mpis, oryg. k.1 str.10
6. Zaświadczenie ambasady PRL w Moskwie z 29.12.1981r. |L.dz. 31-D-92-81| wraz z załącznikami w. j. rosyjskim k.3 str.11-13
7. Legitymacja Morskiego Kłosa Szymbonowego LOPP z 25.09.1938 - nr 1108 - oryg. + kserokopia k.2 str.14-17 w kopercie - orygimel -
8. Legitymacja Medalu Wojska Polskiego i Krzyża A II - kserokopie (koperta) k.2 str.18-20

Więzienie w Tomaszowie Lubelskim

Nr.

Nr. 219/54

Tomaszów Lubelski

1953 r.

OBOWIĄZUJĄCY URZĄD
Sądziecstwa Publicznego
L. dz. TOMASZÓW 158

SWIADECTWO ZWOLNIENIA WIEZNI

.....
Nazwisko *Władysław* Imię *Stanisław* Imię ojca *Marcin*
ur. w *1932* w *.....* pow. *.....*

zwolniony został dziś na mocy zarządzenia władz.
Obowiązany jest zameldować się w biurze Milicji Obywatelskiej
w nie później jak do dnia *31 lipca* 1953 r.

NACZELNIK WIEZIENIA



2

O Ś W I A D C Z E N I E

Ja, podpisany : Mieczysław G o n c a r z e w i c z ,
urodzony 6.1.1889, zamieszkały Bydgoszcz ul. Śląska 11 m 9
niniejszym oświadczam co następuje:

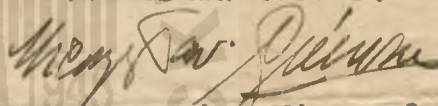
Mariana P a w l a c z y k a , urodzonego 6.10.1922 r.
w Mierzynie pow. Międzychód, syna Marcina i Marii z domu
Libera zamieszkałego obecnie w Gdyni znam osobiscie od roku
1943 to jest od czasu przybycia wyżej wymienionego do obozu
koncentracyjnego w Sztuttowie w którym ja przebywałem od roku
1940.

Na podstawie własnej bezpośredniej obserwacji stwierdzam,
iż Marian Pawlaczyk pracował na terenie obozu w warsztatach
broni "D.A.W."

Po wyzwoleniu 1945r. zostaliśmy wywiezieni do Związku
Radzieckiego. Do roku 1949 o miejscu pobytu w ZSRR Mariana
Pawlaczyka nie było mi nic wiadomym. W 1949 r. spotkałem go w obozie
w Workucie, Stwierdzam, że Marian Pawlaczyk pracował w kopalni
węgla w charakterze maszynisty elektrowozu. W obozie tym prze-
bywaliśmy razem do chwili powrotu do kraju t.j. do roku 1953r.

Oświadczenie powyższe składam dla użytku władz, przy czym
świadomy jestem odpowiedzialności karnej za złożenie nie prawdzi-
wych oświadczeń.

Bydgoszcz, dnia 13. września 1957 r.


(Gonczorzewicz Mieczysław)

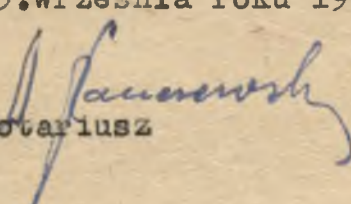
Numer Repertorium A: 13838 /1957.

Ja, Aleksander Janczewski, notariusz urzędujący w Państwo-
wym Biurze Notarialnym w Bydgoszczy poświadczam, że powyższy pod-
pis położył w mojej obecności Mieczysław G o n c e r z e w i c z ,
syn Kazimierza i Teresy, zamieszkały w Bydgoszczy, przy ulicy Śląs-
kiej nr. 11/9, którego tożsamość stwierdziłem na podstawie oka-
zanego mi dowodu osobistego numer SC544748.-

Pobrano : tytułem opłaty skarbowej w myśl poz.3/tab.o
opratach skarbowych złotych 6.-, tytułem opłaty notarialnej z § 21
maksy notarialnej złotych 5. -

Bydgoszcz, dnia 13. września roku 1957




notariusz

O Ś W I A D C Z E N I E

Ja, podpisany : Mieczysław G o n c z e w i c z, urodzony 3.1.1939, zamieszkały Bydgoszcz ul. Śląska 11 m 9 niniejszym oświadczam co następuje:

Mariana P a w ł a c z y k a, urodzonego 6.10.1932 r. w Kierzynie pow. Międzybódz, syna Marcina i Marii z domu Libera zamieszkałego obecnie w Gdyni znam osobiście od roku 1943 to jest od czasu przybycia wyżej wymienionego do obozu koncentracyjnego w Sztuttovie w którym ja przebywałem od roku 1940.

Na podstawie własnej bezpośredniej obserwacji stwierdzam, iż Marian Pawlaczyk pracował na terenie obozu w warsztatach broni "D.A.7."

Po wyzwoleniu 1945r. zostaliśmy wywiezieni do Związku Radzieckiego. Do roku 1949 o miejscu pobytu w ZSRR Mariana Pawlaczyka nie było mi nie wiadomym. W 1949 r. spotkałem go w obozie w Warkucie. Stwierdzam, że Marian Pawlaczyk pracował w kopalni węgla w charakterze maszynisty elektrowozu. W obozie tym przebywaliśmy razem do chwili powrotu do kraju t.j. do roku 1953r.

Oświadczenie powyższe składam dla użytku władz, przy czym świadomy jestem odpowiedzialności karnej za złożenie nie prawdziwych oświadczeń.

Bydgoszcz, dnia 13. września 1957 r.

Mieczysław Gonczewicz
(Gonczewicz Mieczysław)

Numer Repertorium A: 13840 /1957.

Ja, Aleksander Janowski, notariusz urządzący w Państwowym Biurze Notarialnym w Bydgoszczy poświadczam, że powyższy podpis pokrył w mojej obecności Mieczysław G o n c z e w i c z, syn Marcina i Teresy, zamieszkały w Bydgoszczy, przy ulicy Śląskiej nr. 11/9, którego tożsamość stwierdziłem na podstawie okazanego mi dowodu osobistego numer 50544743.-

Podręczono : tytułem opłaty skarbowej w myśl pow. /tab.o opłatach skarbowych złotych §.-, tytułem opłaty notarialnej z § 21 takay notarialnej złotych §.-

Bydgoszcz, dnia 13. września roku 1957



A. Janowski
notariusz

Wojciech Kozłowski

Głuchów
(miejscowość)

dnia 6.10. 1975 r.

4

(Nazwisko, imię, pseudonim i adres wydającego oświadczenie)

Oświadczenie świadka

Ja, jako uczestnik(czka) (wymienić formację Ruchu Oporu, nazwę obozu lub więzienia formację wojskową od — do): 1111 Szarych Szeregów od 1940 - 1942 oraz były oboz w Kłodzku nr. 22715 od 1942 - 1945 r.

świadomy(a) odpowiedzialności wynikającej z przepisów prawa karnego za prawdziwość podanych niżej przeze mnie faktów, legitymujący się dowodem osobistym: Seria i numer Sy 55-454 wydanym dnia 16 sierpnia 1965 r. przez KM110 Głuchów

o s w i a d c z a m,

że Ob. Heniek Świerczkowski syn (córka) Antonina urodz. dnia 3.10.1921 roku w Kłodzku

jest mi znany(a) osobiście jako uczestnik(czka) (wymienić formację Ruchu Oporu, nazwę obozu lub więzienia, formację wojskową oraz okoliczności, w których świadek zetknął się z otrzymującym(cą) oświadczenie i czasokres od — do): 1111 Szarych Szeregów od 1940 do 1942 r. w obozie w Kłodzku nr. 22715 oraz w obozie w Kłodzku nr. 22715 od 12.12.1942 do 9.05.1945

Wyżej wymieniony(a) posiadał(a) pseudonim Chimie Strazak i pełnił(a) funkcję — brał(a) udział (w tej części opisuje się: przebieg służby i działalność w okresie bezpośredniego udziału w walkach wołnościowych, pełnioną funkcję, stopień wojskowy, w jakich był(a) oddziałach, grupach, placówkach, pod którym dowództwem, kierownictwem, udział w akcjach bojowych i innych, w jakich miejscowościach, nazwa obozu itp. wszelkie zmiany i czasokres od — do): był w 1111 Szarych Szeregów od 1940 do 1942 r. w obozie w Kłodzku nr. 22715 jako żołnierz. Brał udział w akcji "Stalowy pociąg" w Kłodzku przed jego likwidacją. Pracował w obozie w Kłodzku nr. 22715 jako kucharz, a także w obozie w Kłodzku nr. 22715 jako kucharz. Pracował w obozie w Kłodzku nr. 22715 jako kucharz. Pracował w obozie w Kłodzku nr. 22715 jako kucharz.

Jeżeli świadek jest członkiem ZBoWiD, powinien wpisać numer legitymacji członkowskiej 307781 wydanej przez Zarząd Okręgu w Głuchów

Własnoręczność podpisu stwierdza się:

Prawdziwość powyższych danych stwierdzam własnoręcznym podpisem

(pieczęć i podpis odpowiednich władz lub Zarządu ZBoWiD)

(Nazwisko, imię, stopień wojskowy, funkcja, stanowisko)

(Nazwisko, imię, pseudonim i adres wydającego oświadczenie)

Oświadczenie świadka

Ja, jako uczestnik(czka) (wymienić formację Ruchu Oporu, nazwę obozu lub więzienia formację wojskową od — do): *T.H.H. Szarych Szeregów od 1940 - 1942 oraz 2 bity przed obozem koncentracyjnym nr. 22315 od 1942 - 1945*

świadomy(a) odpowiedzialności wynikającej z przepisów prawa karnego za prawdziwość podanych niżej przeze mnie faktów, legitymujący się dowodem osobistym: Seria i numer *5.55.254* wydanym dnia *16 sierpnia* 1965 r. przez *KM110 (Gulajnice)*

o s w i a d c z a m,

że Ob. *Henrik Szwedowski* syn (córka) *intymista* urodz. dnia *3 września* 1921 roku w *Kielcach*

jest mi znany(a) osobiście jako uczestnik(czka) (wymienić formację Ruchu Oporu, nazwę obozu lub więzienia, formację wojskową oraz okoliczności, w których świadek zetknął się

z otrzymującym(cą) oświadczenie i czasokres od — do): *T.H.H. Szarych Szeregów od 1940 - 1942*

na stanowisku asystenta w obozie koncentracyjnym nr. 22315 w miejscowości Stalhof na blisku B i V oraz w podobnym obozie w miejscowości

Przerobice, Międzyrzecze, ul. 17790, przebywał od 12.12.1942

do 9.05.1945

Wyżej wymieniony(a) posiadał(a) pseudonim *Czesław Staszko* i pełnił(a) funkcję — brał(a) udział (w tej części opisuje się: przebieg służby i działalność w okresie bezpośredniego udziału w walkach wolnościowych, pełnioną funkcję, stopień wojskowy, w jakich był(a) oddziałach, grupach, placówkach, pod czyim dowództwem, kierownictwem, udział w akcjach bojowych i innych, w jakich miejscowościach, nazwa obozu itp. wszelkie zmiany

i czasokres od — do): *był kierownikiem w obozie od 1940 do końca wojny*

na stanowisku Szarych Szeregów od 1940 do podlegania 1942 pod

dowództwem Józefa Bzdzińskiego, pseud. "Stalowy Józef"

W tym czasie w obozie przebywał również inny więzień o pseudonimie

Zachował przed skierowaniem do obozu w Stalhofie

na Kanińskiej Górze oraz tablicę, na której widniał St. Zachował

w Gulajnicach. Zachował również drukowaną broszurkę od Czesława

Wojciecha 66. Zdobył ją, przed wyjściem z obozu, w dniu 12.12.1942

W obozie Stalhof od 12.12.1942 - 9.05.1945

Jeżeli świadek jest członkiem ZBoWiD, powinien wpisać numer legitymacji członkowskiej *307781* wydanej przez Zarząd Okręgu w *Gulajnicach*

Własnoręczność podpisu stwierdza się:

Prawdziwość powyższych danych stwierdzam własnoręcznym podpisem

(pieczęć i podpis odpowiednich władz lub Zarządu ZBoWiD)

(Nazwisko, imię, stopień wojskowy, funkcja, stanowisko)

ZEZNANIE ŚWIADKA

w sprawie ^{emeryt.} ~~rentowej~~ Ob. Mariana Pawlaczyka ur. 6 października 1922 r.

Ja niżej podpisany(a) Jan Będziński ur. 8 sierpnia 1921 r.

zam. w Gdyni legitym. się dowodem osobistym

Nr AB0569982 zatrudniony w „Mostostal” Gdańsk

w charakterze monter-spawacz rencista podać numer emerytury lub renty

w stosunku do zainteresowanego obcy — powinowaty — krewny podać stos. powin. pokr.

świadomy odpowiedzialności karnej z art. 247 kodeksu karnego, który za składanie nieprawdziwych zeznań przewiduje karę pozbawienia wolności do lat 5, a nadto świadomy celu składania zeznań, oświadczam,

że w sprawie zatrudnienia Ob. Mariana Pawlaczyka jest mi wiadomo, co następuje:

W latach 1936 r. do 1939 r. uczyłem się z nim w Gimnazjum T.S.Ś. w Gdyni. Podczas okupacji w latach 1940 r. do października 1942 r. tj. do mojego aresztowania działaliśmy razem w Ruchu Oporu („Tajny Hufiec Harcerzy” i „Szare Szeregi.”) Marian Pawlaczyk przybył do obozu konc. „Stutthof” gdzie ja już przebywałem 4 maja 1943 r. W obozie przebywaliśmy do wyzwolenia tj. do 9 maja 1945 r. Po wyzwoleniu zostaliśmy zatrzymani przez władze radzieckie i pod zarzutem działalności w AK wyniesieni do Workuty za kotłem polarnym. Marian Pawlaczyk pracował tam w latach 1946 do 1949 r. w budownictwie jako robotnik. Od 1949 r. pracował w kopalni węgla początkowo jako górnik a od 1949 r. jako maszynista elektryka. W czerwcu 1953 r. został zwolniony z obozu. Do kraju powrócił w styczniu 1954 r. W kwietniu tego roku podjął pracę w Sp. Inż. „Jedność Techniczna” w Gdyni.

Ponadto jest mi wiadomo, że Ob. Marian Pawlaczyk nie może przedłożyć zaświadczenia zakładu pracy o zatrudnieniu, ponieważ przebywał w obozach pracy w Z.S.R.R.

np.: zakład pracy uległ likwidacji a posiadane przez w/wym. dokumenty dotyczące zatrudnienia uległy zniszczeniu np. wskutek pożaru, powodzi, ewakuacji, zniszczenia domu w czasie działań wojennych itp.

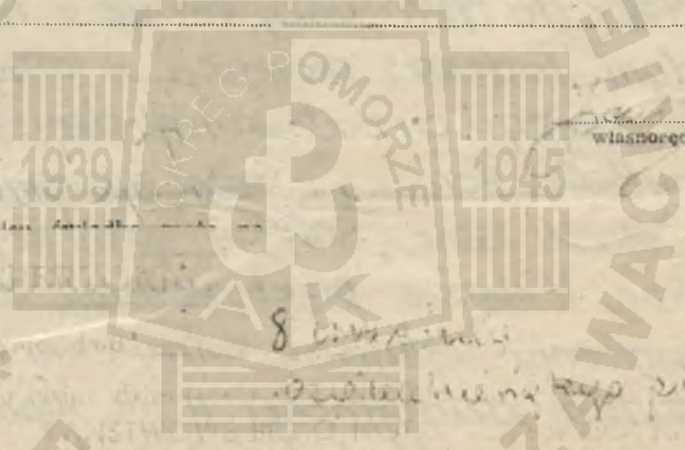
Nie mogę określić powodów, dla których zainteresowany nie może przedłożyć zaświadczenia zakładu pracy o zatrudnieniu*).

Okoliczności objęte zeznaniem są mi znane, ponieważ byłem z nim w ciągłym kontakcie osobistym i listownym

podpis i pieczęć służbowa pracownika spisującego zeznanie

własnoręczny podpis świadka

UWAGA: Własnoręczny podpis świadka



8
Peczątkami
z
ad. Orowo
Kowpina 93/33

AB. 012452



Notariusz
KOTARSKI

ZEZNAНИЕ SWIADKA

w sprawie ~~emeryt.~~ ^{emeryt.} Ob. Mariana Pawlaczyka ur. 6 października 1922

Ja niżej podpisany(a) Jan Będziński ur. 8 sierpnia 1921 r.

zam. w Gdyni legitym. się dowodem osobistym

Nr AB0569982 zatrudniony w „Mostostal” Gdańsk

w charakterze monter-spawacz rencista

podać numer emerytury lub renty

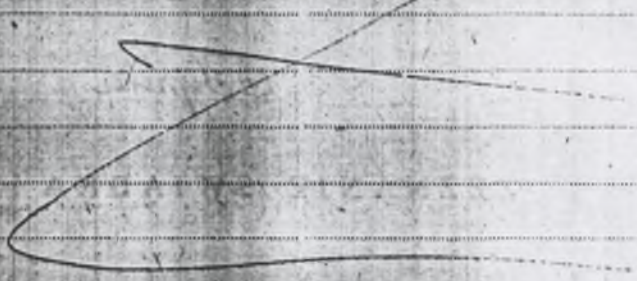
w stosunku do zainteresowanego obcy — powinowaty — krewny

podać stos. powin. pokr.

świadomy odpowiedzialności karnej z art. 247 kodeksu karnego, który za składanie nieprawdziwych zeznań przewiduje karę pozbawienia wolności do lat 5, a nadto świadomy celu składania zeznań, oświadczam,

że w sprawie zatrudnienia Ob. Mariana Pawlaczyka jest mi wiadomo, co następuje:

W latach 1936 do 1939r. uczyłem się z nim w Gimnazjum T.S.Ś. w Gdyni. Podczas okupacji w latach 1940r. do października 1942r. tj. do mojego aresztowania działaliśmy razem w Ruchu Oporu („Tajny Hufiec Harcerzy” i „Szora Szeregi.”) Marian Pawlaczyk przybył do obozu konc. „Stutthof” gdzie ja już przebywałem 4 maja 1943r. W obozie przebywaliśmy do wyzwolenia tj. do 9 maja 1945r. Po wyzwoleniu zostaliśmy zatrzymani przez władze radzieckie i pod zarzutem działalności w AK wywiezieni do Warkuty za kołem polarnym. Marian Pawlaczyk pracował tam w latach 1946 do 1947 w budownictwie jako robotnik. Od 1947r. pracował w kopalni węgla początkowo jako górnik a od 1949r. jako maszynista elektrowni. W czerwcu 1953r. został uwolniony z obozu. Do kraju powrócił w styczniu 1954r. W kwietniu tego roku podjął pracę w Sp. Inż. Jedności Technicznej w Gdyni.

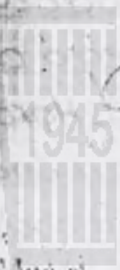


Ponadto jest mi wiadomo, że Ob. Marion Pawlaczuk nie może przedłożyć
 zaświadczenia zakładu pracy o zatrudnieniu, ponieważ przebywał w obozach pracy
w Z.S.R.R.
 np.: zakład pracy uległ likwidacji a posiadane przez w/wym. dokumenty dotyczące zatrudnienia uległy zniszczeniu np. wskutek
 pożaru, powodzi, ewakuacji, zniszczenia domu w czasie działań wojennych itp.

Nie mogę określić powodów, dla których zainteresowany nie może przedłożyć zaświadczenia zakładu
 pracy o zatrudnieniu*).
 Okoliczności objęte zeznaniem są mi znane, ponieważ byłem z nim w ciągłym
kontakcie osobistym i listownym.

podpis i pieczęć służbowa
 pracownika spisującego zeznanie

własnoręczny podpis świadka



ZAWAŻKIE



8 września 1945
 Stanisław Biedziński
 ul. Czerwona 93/32



Teodor Brynka
 NOV-RUSZ

10

Gdańsk, dnia 8 lipca 1981 r.

URZĄD WOJEWÓDZKI
80-958 Gdańsk
Wydział Spraw
Społeczno-Administracyjnych
Nr SA.IV.G.237-79/21

Obywatel
Marian Pawlaczuk
G d y n i a

W związku z pismem Obywatela z dnia 10 kwietnia 1981 r. w sprawie wydobycia od władz ZSRR poświadczenia zatrudnienia w latach 1947-1953 na terenie ZSRR - Wydział Spraw Społeczno-Administracyjnych Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku uprzejmie informuje, iż Konsulat PRL w Moskwie wystąpił do kompetentnych władz radzieckich w powyższej sprawie, której załatwienie potrwa około 3 do 6 miesięcy.

Z-ca kierownika Wydziału

Eugeniusz Riech
mgr Eugeniusz Riech

AMBASADA
POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ
W MOSKWIE

Wydział Konsularny

31-D-92-81

Moskwa, dnia 29 grudnia 1978r.

Z A Ś W I A D C Z E N I E

Wydział Konsularny Ambasady PRL w Moskwie zaświadcza, że według informacji uzyskanych od kompetentnych władz radzieckich danych o tym, że Ob. Marian PAWLACZYK od 28 maja 1945 r. do 9 stycznia 1954 r. przebywał w miejscach pozbawienia wolności na terenie ZSRR, a następnie został przekazany władzom PRL. Innych danych dotyczących Ob. M. Pawlaczyka- - - - - przez - - - - - w archiwach nie znaleziono.

Zaświadczenie niniejsze wydano na prośbę osoby zainteresowanej



Za Kierownika Wydziału Konsularnego
Stanisława Sępeja-Zydzia
I Sekretarza Ambasady

12/

№ К-85-81/192

Министерство Иностранных Дел Российской Советской Федеративной Социалистической Республики свидетельствует свое уважение Посольству Польской Народной Республики и в связи с нотой № 31-Д-92-81 от 17 июня 1981 года имеет честь сообщить, что, по данным советских компетентных органов, ПАВЛАЧИК Марьян Мартынович с 28 мая 1945 г. находился в местах лишения свободы и 9 января 1954 г. был передан уполномоченному Польской Народной Республики. Других сведений в архивах СССР не обнаружено.

Министерство пользуется случаем, чтобы возобновить Посольству уверения в своем высоком уважении.

Москва, " 14 " декабря 1981 года.



В ПОСОЛЬСТВО ПОЛЬСКОЙ НАРОДНОЙ
РЕСПУБЛИКИ

г. Москва

№ К-85-81/192

Министерство Иностранных Дел Российской Советской Федеративной Социалистической Республики свидетельствует свое уважение Посольству Польской Народной Республики и в связи с нотой № 31-Д-92-81 от 17 июня 1981 года имеет честь сообщить, что, по данным советских компетентных органов, ПАВЛАЧИК Марьян Мартинович с 28 мая 1945 г. находился в местах лишения свободы и 9 января 1954 г. был передан уполномоченному Польской Народной Республики. Других сведений в архивах СССР не обнаружено.

Министерство пользуется случаем, чтобы возобновить Посольству уверения в своем высоком уважении.

Москва, "14" декабря 1981 года.



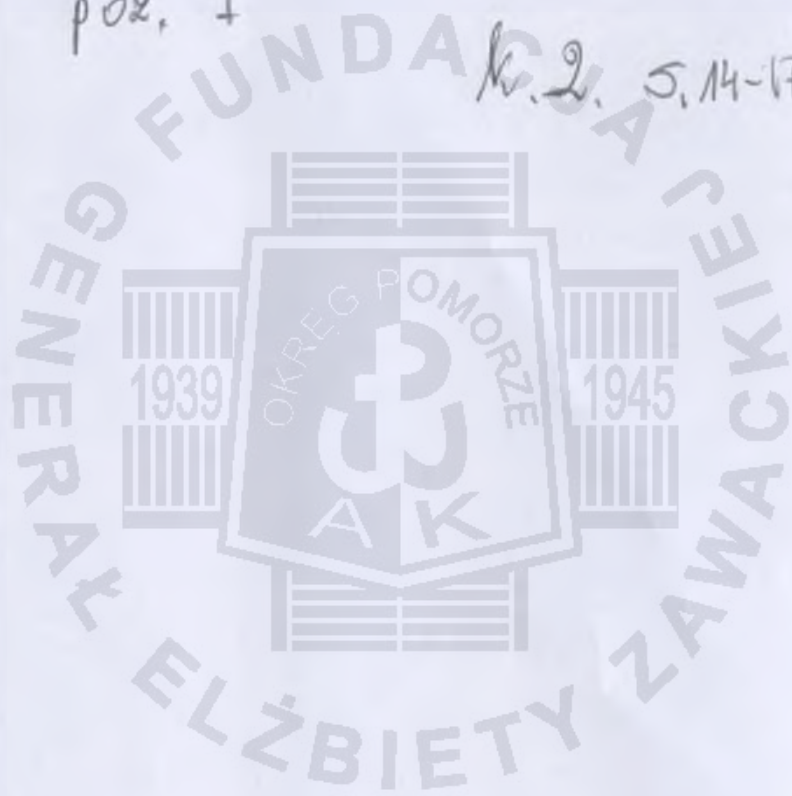
В ПОСОЛЬСТВО ПОЛЬСКОЙ НАРОДНОЙ РЕСПУБЛИКИ

г. Москва

1/2

poz. 7

k. 2. 5. 14-17





45



Marskie Koło Szybowcowe L.O.P.P.
w Gdyni
ul. 10. lutego 5 m. 7
(organizacja szyb.)

stwierdza, że
Pan(i) Pawlaczyk Marian
Urodz. dn. 6 października 1922
w Mierzymie

UZYSKAŁ(A) KAT. A
PILOTA SZYBOWCOWEGO

Dn. 22 sierpnia 1938
w Gdyni - Orłowie
i otrzymał(a) odznakę pilota szyb.
1108

Gdynia dn. 25 IX 1938r

Marian Pawlaczyk
Własnoręczny podpis właściciela legitymacji.



J. Momocki
Instruktor Szybowcowy
Janowski Bolesław





Morskie Koło Szybowcowe L. O. P. P. 12
w Gdyni
ul. 10. lutego 5 m. 7
(organizacja szyb.)



stwierdza, że
Pan(i) Pawlaczyk Mariian

Urodz. dn. 6 października 1924
w Mierzynie

UZYSKAŁ(A) KAT. A
PILOTA SZYBOWCOWEGO

Dn. 22 sierpnia 1938
w Gdyni - Orłowie
i otrzymał(a) odznakę pilota szyb.
1100

Gdynia, dnia 25 IX 1938r

Mariian Pawlaczyk
Własnoręczny podpis właściciela legitymacji.



Jan. Momocki
Instruktor Szyb.
Jan. Momocki

1/2.

poz. 8 k. 2 5.18.20



MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ 18

LEGITYMACJA Nr 30753

Stopień imię, nazwisko st. strz.

PAWLACZYK MARIAN ps. "PŁOWY SEP"

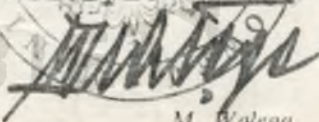
1939 Oddział AK 1945

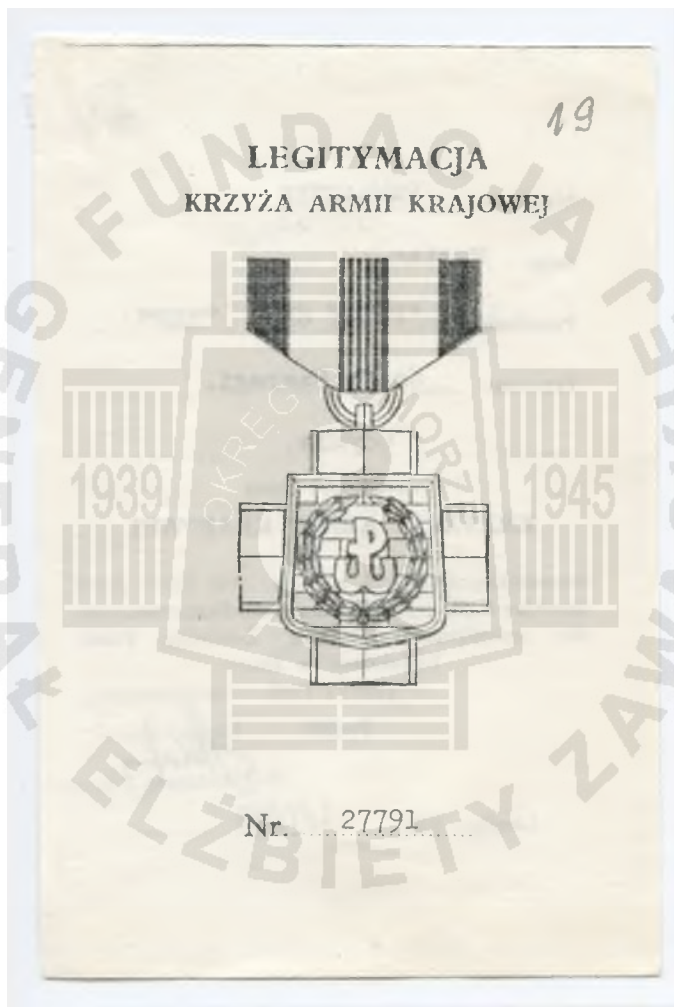
Odznaczony został po raz 1, 2, 3 i 4

Medalem Wojska

Podstawa: Zarządzenie Szefa Sztabu
Głównego
z dnia 1 lipca 1948

Londyn dnia 15 sierpień 1948


M. Wałęga.



20

Nazwisko PAWLACZYK

Imię Marian

Pseudonim "PŁOWY SEP" "SEP"

Przydział Szare Szeregi.
Gdynia.

Odnaczony został
KRZYŻEM ARMII KRAJOWEJ
ustanowionym dnia 1 sierpnia 1966 roku przez
dowódcę A. K. gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego
dla upamiętnienia wysiłku Żołnierza Polski
Podziemnej w latach
1939 — 1945 Przewodniczący

Podpis: *[Signature]*
M. Mariusza J. Sławy

Londyn, dnia 1/7/83

II. Materiały uzupełniające relacje: Pawłaczyk Marian

1. Narwski Zygmunt, Pierwsza Morska Kompania Szarych Szeregów w Gdyni, [w:] „Pamiętnia” nr 1/1978 str. 41 s. 41
2. Wykaz członków kate „Dziatki Lesne”, którzy byli więźniami obozu koncentracyjnego Stutthof sporządzonego dn. 26.09.1988 r., mpis, kopia k. 2 str. 1-2
3. Pismo Fundacji Archiwum Wschodnie do Mariana Pawłaczyka z dn. 22.11.1991 r., mpis, kserokop. k. 1 str. 3
4. Dyplom nadany dh. Marianowi Pawłaczykowi przez Komendę Chorągwi, Żolnierskiej, wresień, 1985 r. (dyplom w książkowej oprawie) k. 2 str. 4-5
5. Gąsiorowski Andrzej - biogram Pawła-czyka Mariana - mpis (2 wersje) k. 2 str. 6-7
6. Gąsiorowski A., „Pawłaczyk Marian”, [w:] „S.B.K.P. 1938-1945” pod red. Anny Zakmęskiej, Elżbiety Kawackiej, Tom 1997, cz. 3, s. 137-138. k. 1 str. 10-11 8
40 42

POMERANIA



- J. SAMP – POD ZNAKIEM SZATANA
- R. MUZA – NA BURTE
- M. BOROWIKOWA – TRYPTYK
- Z. NARSKI – I Z SZARYCH SZEREGÓW
- L. MALICKI – ROK OBRZĘDOWY
- E. PUZDROWSKI – O BRZĘCZKOWSKIM
- A. NAGEL – NOWE BASNIE
- J. POWIERSKI – PRZED BURZĄ
- H. DERDOWSKI – ZORKA PROWDE
- A. ŁAJMING – MŁODOŚĆ
- L. BĄDKOWSKI – MŁODY KSIĄŻE
- M. JELIŃSKI – GOSGĘNA

1

1978

M. Pióraczyk



Redaktor

Woldech Kiedrowski

Sekretariat

Krystyna Puzdrowska

Kolegium

Ronrad Ciechanowski

Jerry Kiedrowski

Wojciech Kiedrowski

Stanisław Pestka

Edmund Puzdrowski

Jerzy Semp

Stala

współpraca

Lech Backowski

Tadeusz Bolduan

Edward Brexa

Aleksander Labuda

Anna Łajming

Jerzy Treder

Isabella Trojanowska

Wydawca

Armasenie

Kaszubsko-Pomorskie

Zarząd Główny

80-822 Gdańsk

Długi Targ 8/18

Tel. 8-28-66

Konto PKO:

Gdańsk 14310-2000-123

Cena 1 egz. 18 zł

Prenumer. roczna 110 zł

Druk Gd. Wyd. Pras.

Zam. nr 2120 — 78 — 21-1



POMERANIA

ZARZĄD GŁÓWNY
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO
1978

Rok XV

Nr 1(78)

W numerze:

- 3 JERZY SAMP – Pod znakiem kielni i szatana
- 9 KRYSZYNA MUZA – Na burzę; Nie wzerôj w kluczewo dzurka
- 10 MARIA BODUSZYŃSKA-BOROWIKOWA – Tryptyk kaszubski (1)
- 12 URSZULA OLSZEWSKA – Pamiętnik (7)
- 15 ZYGMUNT NARSKI – Pierwsza Morska Kompania Szarych Szeregów w Gdyni
- 19 KLABATERNIK – Pst...! (Wyzwać; Dykteryjka)
- 20 MARIAN JELIŃSKI – Goscëna
- 25 LONGIN MALICKI – Kociewski rok obrzędowy
- 28 EDMUND PUZDROWSKI – O Stanisławie Bręczkowskim
- 29 HIERONIM DERDOWSKI – Zorka prowde
- 31 JAROMIRA LABUDDA – Mowa
- 31 ANNA ŁAJMING – Wspomnienia z młodości (1)
- 35 JAN POWIERSKI – Przed burzą
- 38 BAŁTOSŁAW – Na pustkowiu
- 39 ALOJZY NAGEL – Jumneta (Nowe bajki kaszubskie)
- 41 LECH BĄDKOWSKI – Młody książę
- 45 Z życia Zrzeszenia
- 46 Kleka
- 49 GUCZÓW MACK gôdôl – Wilczëca
- 50 ALEKSANDER LABUDA – Naji dëchë (6)
- 52 EDWARD BREZA – Skąd Wolter na Kaszubach?

FUNDACJA



Pod znakiem kielni i szatana

Jerzy Samp

Nie będzie chyba zbyt wielkim uogólnieniem, jeśli stwierdzimy, że jednym z najmniej zbadanych dotąd ogniw kultury duchowej Pomorza jest mechanizm powstawania oraz ewolucji opowiadań i podań wierzeniowych o podłożu magicznym. Chodzi tu głównie o ten typ ludowego przekazu, który wszedłszy na dobre do repertuaru popularnych w danym okresie historycznym podań wierzeniowych da się zidentyfikować z racji istnienia znanych nam lepiej lub gorzej źródeł. Jakkolwiek żywotność szeregu motywów opowiadaniowych — szczególnie zaś tych o zabarwieniu demonologicznym doskonale opiera się niszczącemu działaniu czasu, to jednak stosunek narratorów do przekazywanych treści podlega przeobrażeniom. Co więcej, wraz ze zmianami zachodzącymi w społeczeństwie, jego strukturze i życiu kulturalnym, pewne wartości po prostu się dezaktualizują, a jako przeżytki i anachronizmy czasów minionych mogą już nigdy nie dojść do głosu. „Dlatego też — chciałoby się powtórzyć za Dorotą Simonides — chcąc dzisiaj zbadać opowiadania wierzeniowe, nie wolno nam popełniać błędów poprzednich folklorystów, którym wiele opowiadań nie przypadło do gustu ze względu na ich zbyt mocny związek z wierzeniem, a zbyt mały z literaturą.”¹⁾

W kręgu przekazów odpowiadających powyższym kryteriom i mogących posłużyć za ilustrację myślenia magicznego, mieszczą się dość liczne na Pomorzu podania o wolnomularzach. Trudno wnioskować o ich żywotności przed stu czy dwustu laty. Musiało być tego jednak wiele, skoro dziś jeszcze udało się zebrać niemałą ilość, a przecież obecnie podania te mogą funkcjonować w folklorze jedynie jako martwy relikw i dokument epoki, która wraz z masonerią odeszła na zawsze.

Niestety, tak opowiadania, jak i wierzenia dotyczące członków loży, z różnych względów zresztą, nie miały szczęścia do ludoznawców i folklorystów. Jeśli nie zostały zbyt całkowitym milczeniem, to pojawiają się w opracowaniach etnograficzno-ludoznawczo-folklorystycznych, bądź publikacjach innego typu jako uwagi marginalne, a sam problem potraktowany dość powierzchownie i ogólnikowo nie zwraca na siebie uwagi czytelnika. Oto jak przedstawia się w tym zakresie stan badań.

Ślady ludowej transformacji wierzeń w „dwolność” masonską znajdujemy w książce Izydora Gulgowskiego pt. „Von einem unbekanten Volke in Deutschland” (Berlin 1911). Rok wcześniej August Stielow zamieścił na łamach redagowanego przez Lorentza i Gulgowskiego periodyku „Mittelungen des Vereins für Kaschubische Volkskunde” artykuł poświęcony wolnomularzom w wierzeniach ludowych Kaszubów. Ów niezbyt obszerny tekst, pomimo emocjonalnego zabarwienia stanowi pierwszą próbę kompleksowego ujęcia problemu. Kolejna publikacja to „Kaszubi. Kultura ludowa i język” — Lorentza, Fischera i Lehra-Splawlińskiego z roku 1934. Tu jednak pod hasłem „Mason i sobowtór” znajdujemy jedynie powtórzenie, w wielkim skrócie tego, co opublikował wspomniany wyżej Stielow. Autor „Słownika gwar kaszubskich” — ks. dr Bernard Sychta w pierwszym tomie

swego dzieła wyraz „farmazin” opatrzył obszernym komentarzem. Ani razu nie pada w nim słowo „wolnomularz” czy „mason”, na podstawie czego można by sądzić, że farmazon to coś zgoła odrębnego. Można, lecz nie trzeba. Niestety, autorki 2 wydania „Bedekera kaszubskiego”, gdzie z kolei odnajdujemy pod interesującym nas hasłem powtórzenie tekstu B. Sychty mylnie stwierdzają, iż „na Kaszubach nie jest to ani mason, ani niedowlaerek. Przeciwnie, to człowiek wierzący w... diabla”.

Z innych publikacji sygnalizujących tzw. kwestię wolnomularską na Kaszubach i Pomorzu, a także jej osobliwe odzwierciedlenie w folklorze, na uwagę zasługuje monografia Ryszarda Kukiera „Kaszubi bytowscy” (Gdynia 1968). Na tym w zasadzie koniec, chyba, że chcielibyśmy wymienić publikacje odnotowujące ludowe podania i teksty dotyczące farmazonów, lub też ich literackie adaptacje. Również i tu bibliografia przedstawia się raczej skromnie, a składają się na nią niemieckie zbiorki „sag”, m. in. O. Knoopa z r. 1885 i K. Rosenowa z r. 1921, zapiski ks. Władysława Łęgl, zamieszczone w „Gryfie” w 1922 r. (nr 8, s. 162), oraz J. Silińskiego, zawarte w XLIX tomie „Ludu” z roku 1965.

Późną jesienią 1977 roku przeprowadziłem badania terenowe celem konfrontacji sądów o funkcjonowaniu w żywej tradycji pomorskiej mitu wolnomularza i zakorzenionej niegdyś wiary w nadprzyrodzone jego właściwości. Efektem było ponad pięćdziesiąt zanotowanych tekstów o cechach podania wierzeniowego z okolic Kościerzyny, Kartuz, Lęborka, Pucka, Starogardu Gdańskiego, Wejherowa, Słupska, Żuław i in. Dzięki zaangażowaniu moich informatorów oraz wydatnej pomocy takich osób, jak Józef Ceynowa, Aleksander Labuda i Alojzy Nagel, w krótkim stosunkowo czasie udało mi się zgromadzić materiał niezwykle interesujący i oryginalny. Stanowi on istotne uzupełnienie szczupłego, jak wspomniałem, potencjału istniejących dotychczas tekstów źródłowych i otwiera drogę dla dalszej penetracji zagadnienia, a nawet monograficznego ujęcia problematyki.

Należy tu dodać, iż rozpiętość wieku osób, które udzieliły informacji, kształtowała się w granicach od 47 do 88 lat. Niemal wszyscy potwierdzają swój osobisty kontakt (w okresie przedwojennym) ze znanymi im wolnomularzami. Większość osób, z którymi zetknąłem się bezpośrednio lub drogą korespondencji zastrzegła się, iż opisane przez nich wydarzenia miały (pomimo ich magicznego charakteru) miejsce w rzeczywistości: „sam to widziałem”, „to nie jest bajka lecz szczerą prawdą”, „sama byłam świadkiem” itp. Taki stosunek do obserwowanych zjawisk i sytuacji, przy całej ich typowości i powtarzalności powoduje — jakby to określił Julian Krzyżanowski — swoiste „uziemnienie fikcji”, traktowanej jako zjawisko realne, które wydarzyło się określonej osobie, w określonym miejscu. Możemy więc dzięki temu mówić o dość wyraźnych związkach łączących opowiadania wierzeniowe z podaniem.

Interesujące z językowego punktu widzenia jest ludowe nazewnictwo dotyczące członków loży. Znane w literackiej polszczyźnie terminy „mason” i „wolnomularz” zastępuje się na Kaszubach i Kociewiu innymi słowami. Przypomnijmy, że zanim w Polsce przyjął się termin „wolnomularz”, mówiono najczęściej „franc-mason”. Pochodził on z francuskiego „franc-macons”, co jest z kolei kalką z angielskiego

„free-mason”. W obu wypadkach słowa te tłumaczą się jako „wolny murarz”. Ogólnopolskie — ludowe wyrażenie farmazon pochodził zatem z owego pierwotnego „free-mason”.

Na Kaszubach i Koclewiu obok popularnego „farmazona” zanotowałem warianty: „farmazón”, „farmazen”, „farmózen”, „farmazyn” i „farmazin”. Podobnie jak w całym byłym zaborze pruskim, tak i tu znany jest niemiecki „Freimaurer”, wymawiany prawie zawsze jako „frajmaurer” (l. mn. „frajmaurów”), ale również istnieje jego wersja uproszczona, a mianowicie „fremur”.

Do prawdziwych rzadkości należy już dziś słowo „kusrót”.²⁾ (Dobrzewin k. Wejherowa). Śladem powszechnej do dziś wiary w dwupostaciowość masonów są: „postacznik” (1910—14 — Mirachowo), „sobowtór”, na pld. Kaszubach „sobotwór”, wreszcie „omana” (używana również na określenie zjaw leśniczych, przyswiewających w milczeniu latarką kradnącym w lesie drzewo i chrust).

Wątki wolnomularskie wzbogacające ludową demonologię kaszubsko-pomorską są motywami pochodzenia zachodnioeuropejskiego, najczęściej niemieckiego. Jednakże rodzima kultura regionalna wycisnęła na nich swe indywidualne piętno. W świetle przeprowadzonych badań okazało się, że zdecydowana większość (66,6 proc.) znanych informatorom wolnomularzy reprezentowało narodowość niemiecką i do takiej się przyznawało. Drugie miejsce w tej klasyfikacji zajmowali Żydzi (13,3 proc.), na Holendrów, zgermanizowanych Pomorzan, wreszcie Polaków — przypadło zaledwie 6,6 proc. W pamięci osób, które dostarczyły na powyższy temat informacji, pozostały dobrze im znajome nazwiska: Wittersheimów, Fabischów, Somnitzów, Hansenów, Meyerów, Brulów, Wejherów, Schlonskich czy von Lebnińskich.

Na pytanie dotyczące profesji i pozycji społecznej znanych im masonów, większość odpowiedziała, że byli to zamożni właściciele dóbr ziemskich i majątków, kolonizatorzy pochodzenia niemieckiego, a w odniesieniu do Żuław — holenderskiego. Pozostali wymienili zamożnych kapitalistów: właścicieli drukarni, tartaków, browarów, warsztatów przemysłowych itp. Obszerną listę „zidentyfikowanych” farmazonów zamykają lekarze, adwokaci, rektorzy szkół, leśnicy, kupcy, budowniczości i zupełnie sporadycznie średniozamożni chłopci. Powyższe zestawienie sporządzone na podstawie ustnych przekazów, niemal dokładnie odpowiada statystyce dokonanej w oparciu o zachowane dokumenty, m. in. przez L. Chajna w książce „Wolnomularstwo II Rzeczypospolitej”, Warszawa 1977 rok.

Na ogół informatorzy nie starali się celowo zataić nazwisk wolnomularzy, a nawet ludzi za takich przez wieś czy miasteczko uznawanych. Mówiono o nich z pełną świadomością bezpiecznego dystansu czasowego jako o czymś, co nie może już nikomu w żadnej mierze zaszkodzić, co wymarło i istnieje jedynie w wymiarze retrospekcji, jak o wycofanej z obiegu monecie. Taki mniej więcej stosunek do przedmiotu naszych zainteresowań charakteryzuje współczesnych „narratorów” wspomnień. Śmiem jednak wątpić, czy mówiliby oni z tą samą swobodą a niekiedy z nutą ironii o wolnomularskich osobliwościach jeszcze kilkadziesiąt lat temu, gdy tajemnicze loże masonieckie utożsamiano z siedziskami czarnych magów, mogących z równym powodzeniem poznawać czyjeś myśli, jak i mścić się na „profanach”. Być może tu właśnie tkwi jedna z przyczyn swoistej niepopularności tematyki w badaniach wcześniejszych folklorystów.

W ZWIERCIADLE LUDOWEJ WIEDZY

Zanim przejdziemy do omówienia poszczególnych motywów zebranych podań, proponuję zestawienie kilkunastu cech wspólnych dla szeregu postaci, które określe mianem — apostołowie ciemnego świata. Posłużą nam one w toku dalszych rozważań za rodzaj modelowego portretu farmazona. Na podstawie zgromadzonego materiału wnioskować można, że kompleks wolnomularskich przymiotów ukształtowany został w sposób emocjonalny. Istnieje wyraźny podział na postacie negatywne i pozytywne. Klamrą łączącą obie grupy jest rzekome obcowanie tych ludzi z szatanem — sygnalizowane przez wszystkich informatorów.

W sporządzonym zestawieniu cech przypisywanych pomorskim masonom, dominują elementy magicznych właściwości, obecne ludziom zwyczajnym. Wolnomularz to zawsze mężczyzna w starszym wieku, postawny, siwy lub szpakowaty z „konią bródką”, cygarem w ustach, laseczką w dłoni, ubrany na czarno (frak, cylinder, muszka).

Znany jest w okolicy ze swej zamożności, starannego na ogół wykształcenia, dystansu, który świadomie zachowuje w stosunku do innych osób, tajemniczości, częstych wyjazdów do miasta na posiedzenia członków (bractwa, Zdradza on jak widać szczególną predylekcję do koloru czarnego, często posiada czarnego psa lub konia. Rokrocznie wznosi nowe zabudowania gospodarskie. Jego stosunek do oficjalnej religii jest negatywny. Dalecy od praktyk katolickich a nawet ewangelickich, są farmazoni (zapewne dzięki karnościjskim atakom) utożsamiani przez wieś z wrogami Kościoła i religii chrześcijańskiej.³⁾

Osobna grupa cech ma charakter czysto magiczny. Poza powszechną wiarą w kontakty „frémurów” z diabłem podkreśla się możliwość ich występowania pod dwiema bliźniaczo podobnymi postaciami. Znają dzięki temu fakty mające miejsce podczas ich rzekomej nieobecności w majątku. W takich sytuacjach ich sobowtóry pojawiają się — głównie po to, by nakryć złodzieja czy intruza na gorącym uczynku. Wpatrując się ostro w oblicze złoicy zachowując przy tym całkowite milczenie. Mają oni zdolność reinkarnacji, umoszenia się w powietrzu, przeniesienia przedmiotów na odległość oraz siły magnetyczne. Posiadają także własny system znaków wzajemnego rozpoznawania się, do których należy m. in. określony rodzaj uścisku dłoni.

Wolnomularze, jak zobaczymy, zachowują dużą aktywność nawet po śmierci, niepokojąc żyjących i mszcząc się na swych wrogach.

Z DIABŁEM NA TY

„Katolicy pisarze imputowali wolnomularzom ni mniej ni więcej, tylko kult szatana; opierało się to na tym, że Giosue Carducci, znakomity poeta włoski i brat jednocześnie, napisał „Ode do szatana” („L'inno o Satano”), i że wizerunek czarta na czarnych chorągwiach obnoszony był podczas różnych ceremonii i pochodów”⁴⁾

W roku 1805 ukazało się we Lwowie polskie tłumaczenie dzieła francuskiego duchownego, ks. Barruela, pt. „Święte tajemnice Masonów sprofanowane”, w którym autor utożsamia z satanistami wolnomularzy kabalistów, różnokrzyżowców i martynistów. Zwracając uwagę na ich dualizm wyznaniowy, podkreślał dążność do poznania przez masonów „rzeczy skrytych” poprzez oddawanie szczególnej czci tzw. geniuszom — demonom, których przychylność pozyskawszy mogą ich widywać na jawie. „Masson skutecznie wierzyło powłnien, że najgorsze spomiędzy tych istot, które pospółstwo zowie diabłami, nigdy nie zaszkodzi kompanii (...)”. Oddawanie czci boskiej szatanowi nakazuje lektura tekstów czarnoksięskich. Prawdziwe szczęście daje zwolennikom czarnego kunsztu umiejętność obcowania z demonami, owe — jak to określił Barruel „rozmowy, kontrakty i objawienia”, jak również wizyty „pokazujących się diabłów”, od których oczekują oni skutków swych zaklęć.

Powszechność sądów o satanistycznym zabarwieniu ceremoniału masonieckiego to nie tylko zasługa antywolnomularskiej reakcji, ale po trosze i samych braci, a w szczególności renegatów tajemniczej korporacji. Pamiętne i głośne było pod koniec XIX wieku wystąpienie Leo Taxila, który jako „nawrócony” zyskał rozgłos publikując napastliwie, pełne rewelacji dzieła o masonach, m. in. „Bracia trzypunktowi” i „Diabeł XIX w.” (sic!), by na dziesięć lat przed śmiercią oświadczyć na łamach paryskich dzienników, że wymienione książki napisał jedynie w celu mistyfikacji, która powiodła mu się doskonale. Marques Riviere — ponoć eksmason — wysokich godności w szeregach loży — na kartach „Podwójnego oblicza wolnomularstwa” twierdził wprost, iż wiedza tajemna daje realne i konkretne zespolenie z szatanem, a satanizm masonerii, gdy chodzi o wyższe stopnie wtajemniczenia jest pełny, całkowity, to znaczy przejawia się w bezpośrednim i widzialnym kontakcie braci z synem piekiel (por. L. Szczepański, Wiedza tajemna. W-wa 1939). Jeszcze w 1938 roku, podczas obrad Sejmu z ust posła Wacława Budzyńskiego padły następujące słowa: „Polacy mogli należeć do masonerii w okresie walk o niepodległość Polski, rozumując — i słusznie — że z diabłem nawet bym się sprzymierzył, byle odzyskać wolność polityczną narodu. Byle tylko zdobyć polską formę życia państwowego dla Polaków”.⁵⁾

Wiedzę prostego ludu o członkach loż masonieckich kształtowały groźne słowa padające z ambon, przypadkowe obserwacje i skojarzenia, wreszcie wszechogarniająca fama. Nic więc dziwnego, że ludowa fantazja przypisała farmazonom cechy ludzi, którzy własną duszę sprzedali diabłu. Motyw paktu z szatanem — cyrografu uwierzytelnionego krwią wolnomularza, splótł się na trwałe z mglistymi wyobrażeniami o ry-

tuatach łoży. To, co egzystowało dotychczas w rodzinnej demonologii jako element folkloru baśniowego, nabrało nowego zgoła znaczenia. Anonimowy dotąd niewolnik piekła, który za życia podpisał na siebie akt potępienia, stracił swe incognito właśnie z chwilą, gdy zaczęto go utożsamiać z farmazonem. Popularny zatem w minionych stuleciach wątek cyrografu wydłużyl swą żywotność na cały XIX w. i kilka dziesiątków lat wieku XX, radząc sobie znakomicie z barierami racjonalnego sposobu myślenia. Raz jeszcze „szacunek dla tradycji, uznanie dla autorytetów ludzi starszych, dla ich doświadczenia — doprowadził do przyjęcia puścizny ojców bez powątpiewania”.⁶⁾

Istniały, zdaniem wiejskich znawców zagadnienia, różnego rodzaju sposoby nawiązywania znajomości z diabłem. Magiczną moc posiadały pewne miejsca, określone zaklęciami w formie wypowiedianych zwrotów, zwierciadła itp. Jednym z bardziej popularnych w wieku XX „pośredników” między światem ziemskim a otchłanią piekła był tzw. siedmioksiąg mojżeszowy, a przede wszystkim szósta i siódma księga. W nich szukano przepisów leczenia, zniewalania w miłości oraz wywoływania szatana.

Księgi owe wypuszczano w świat, poza innymi, berlińskie wydawnictwo Bartelsa, także w wersji polskiej pod tytułem:

„Szósta i siódma księga Mojżesza
Siedem razy opieczętowana księga
Tajna szkoła magiczna cudotwórstwa
Książeczka Romanusa”.

Do czasów dzisiejszych zachowały się nieliczne egzemplarze polskich druków tego rodzaju, zaopatrzonych w siedem pieczęci, których złamanie umożliwiało poznanie tajemniczej zawartości, co w mniemaniu ludu było równoznaczne z oddaniem „purtkowi” duszy. Nie bez racji twierdził B. Baranowski w swym „Pożegnaniu z diabłem i czarownicą”, iż tego typu wydawnictwa brukowe, którym towarzyszyła swoista psychoza, aż do najnowszych czasów podtrzymywały wiarę we wszechobecną szatana. O magicznej karierze opieczętowanych druków-tabu, o których mówiono nie tak jeszcze dawno szeptem, wspomina następujący tekst, który przytaczam w oryginalnym brzmieniu:

„Wasta z Dobrzewina był kusrótem. To je taczim człowiekiem, chtëren swoja dësza purtkowi miół zapisóny, i czěj on chdze wejachól precz, tej lędze w tim sómim czasie, czěj ón był wejehóny widzle go w Dobrzewinie.

Róz czej nen wasta wejachól precz tej jeden z jego służącóch był czekawi i zazdrzël w jizba swojigo pana i tu on uzdrzól wialgã ksagã a na ni był nòpis: „Das siebente Buch Moses” (Sódmó Ksaga Mojżesza). Służący nen ją przewracac kòrtë w ti ksadze i těj zaczął przelatëwac czórny krëci. Czim wicy nen służący w ni ksadze przewrócił tim wicy krëków przelatëwale. Jich bëło ju tak wiele, że to dostrzegle sąsadze. Tej jeden parobk wzał konie i jachól za ksadzem do Czelnã. Ksadz sa domësiól co sa swiacy i zarë jachól do Dobrzewina.

Czej on ju tam przëjachól tej nòprzód krëci zastãpiãle koniom droga, tej ksadz, zsódl z woza, wejãł spód rewerendë szkaplerz, przëzegnól nim konie i wszëtci krëci zwiornãłë, czěj ksadz przëszedł w jizba, chdze bëła „Sódmó ksaga Mojżesza”, tej on uzdrzól tam służącego, chtëren bëł czësto od se.

Těj ksadz przëzegnól na ksaga szkaplerzem i nega krëków těj zwiornãło. Tere ten służący rozmiól, że ne krëci to bëłë purtce i że wasta je kusrótem”.⁷⁾

Wywołany przez farmazona diabeł jawil się w różnych postaciach. Mógł to być jego sobowtór, mężczyzna odziany na czarno, ale również koń, pies, kot, kruk, óma (zawsze koloru czarnego), lub jedynie przesuwający się cień demona o ludzkich kształtach. Kaszubi wierzyli, że jednym z warunków dopuszczenia kandydata do łoży jest wyparcie się przez niego Boga i podpisanie własną krwią cyrografu, mocą którego przyszly wolnomularz uzyskuje nadprzyrodzone siły, a jako niewolnik szatana opływać będzie za życia w bogactwo, za co po śmierci dusza jego wędruje wprost do piekła. Jeden z informatorów kartuskich podał, że warunkiem przyjęcia do bractwa spod znaku cyrlika i kielni był akt wyrzeczenia się wszelkiej religii, któremu towarzyszył bliżej nie znany mu obrzęd krwi.

Pakt z diabłem jest najlepszym gwarantem dobrobytu i zdrowia. „Zły” zobowiązuje się służyć takiemu człowiekowi i spełniać wszelkie jego żądania. Zastę-

puje go w pracy, znosi mu pieniądze, pilnuje interesów farmazona a nawet przybiera jego postać, by odstraszyć złodziei majątku, podczas gdy prawdziwy właściciel przebywa na posiedzeniach w mieście. „Farmazin nigde nie doznaje biedy, bo mu diabeł nosi pieniądze. Starczy, że on le ręką signie w chieszin. Pieniądze, chtëren farmazin wedaje, wiadno do niego wracają” — podaje Bernard Sychta w swym słowniku. Przez związek z diabłem osiąga mason dar równoczesnego znajdowania się w dwóch miejscach, albo jak twierdzą, diabeł przyjmuje jego postać i zastępuje go w jednym miejscu, gdy on sam znajduje się gdzie indziej”.⁸⁾

Na pewnym folwarku pod Starogardem Gdańskim powszechnie uważano, że właściciel Derlam zapisał się diabłu, który ułatwiał mu rozbudowę majątku, dzięki czemu mógł co rok stawiać nowe budynki gospodarcze i powiększać pałac, jedni nawet utrzymywali, że musi co roku koniecznie coś nowego zbudować, że jest nie „wolnym murarzem”, lecz na skutek warunków cyrografu „murarzem z obowiązku”.⁹⁾

„Wszyscy w tamtych czasach twierdzili, że farmazoni mieli kontakt z diabłem, ponieważ oni nie bankrutowali. Bardzo dobrze gospodarzyli. Mieli najlepsze zabudowania” (J. Węsierski, lat 67, Czarna Woda). „Był we wsi młynarz. Miał wiatrak, źle mu się wiodło. Zapisał się do wolnomularzy. Przeszedł szkołę. Wybrał sobie zawód murarza. Od diabła dostał kapitał. Wybudował nowy młyn. Od tego czasu musiał co roku rozbudowywać ten młyn. Albo rozebrał jedną ścianę i poszerzył, albo dwie ściany i budował od nowa, ale coś musiał zmieniać. Pokazywał się każdemu, kto chciał mu ukraść mąkę, zboże, kaszę”.¹⁰⁾

„Sam pamiętam, że jako 8–10-letni chłopiec poszedłem z kolegami do jednego z dziedziców na pole urwać sobie makówek. (Dziedzic ten miał na 100 ha zasiane buraki cukrowe i w burakach rósł mak). Gdy już urwałłmy sobie parę makówek oglądamy się, czy nas kto nie widzi. Patrzymy i widzimy postać, która paliła cygaro ale nie było widać głowy. Z postacią tą był pies. Uciekliśmy szybko z tego pola. Postać ta była w czarnym fraku”.¹¹⁾

Zaskakujące w tych opowiadaniach jest podobieństwo, nawet wówczas, gdy owe wspomnienia zaczerpnięte z własnej biografii pochodzą z dość odległych okolic. Dla ilustracji obok ostatniego podania, którego akcja rozgrywa się w Paporzynie (k. Chełmna) przytaczam inne, pochodzące z Żulaw i Kaszub:

„Kiedys nocą poszedłem do ogrodu na jabłka. W pewnym momencie obejrzałem się, za mną stał farmazyn z psem i na mnie patrzył. Palił cygaro. Mnie włosy stanęły dęba. Nie mogłem znaleźć wyjścia (ogród był ogrodzony siatką i żywopłotem). Długo biegałem. Gdy się obejrzałem, to stałe go widziałem. Jabłka rzuciłem w ogród”.¹²⁾

„Jeden właściciel majątku wyjechał za granicę. Właściciel ten był farmazinem. Chłopcy ze wsi wiedząc, że właściciela majątku nie ma w domu, poszli do jego sadu kraść jabłka. Nagle właściciel zjawił się w sadzie w czarnym ubraniu; w cylindrze na głowie. W ustach miał cygaro. Gdy chłopcy go zobaczyli, zaczęli uciekać. Przy tym wszyscy sobie nogi potłamali, a właściciel wrócił do domu po kilku miesiącach”.¹³⁾

„Knôpi szlë krasë jabka, na wieczór do ogroda pana. Jak so natrzëslë i chcële zbiërac, to od raza stanãł przed nime pón z cigarem w gëbie. Pólił tak, że jiskre pòdałë na nich, wic oni w nodzi i nic nie przënioslë. Do ogroda pańszczëgo ju wicy nie szlë”.¹⁴⁾

Wszystkie przytoczone tu opowiadania pochodzą od naocznych — jak sami twierdzą — świadków opisanych wydarzeń, którzy nigdy ze sobą się nie zetknęli. Nie może być mowy o plagiacie — choć słowo to mimo woli ciśnię się na usta. A przecież bliźniaczo podobnych epizodów, zanotowanych przez dziesiątki informatorów mogliśmy tu zacytować znacznie więcej. No cóż — zjawisko to nie nowe. Wystarczy przypomnieć sobie chociażby procesy o czary i zachowane z nich akta sądowe. Ich monotonia i podobieństwo wątków doprowadzały niegdyś diabolologów do białej gorączki. A przecież zeznania pomówionych o kontakt z diabłem kobiet drogą tortur wydobywano pod różnymi szerokościami geograficznymi, tyle że działo się to od 4 do 5 wieków temu.

W PONURYCH MROKACH ŁOŻY

Wolnomularski ceremoniał obwarowany tajemnicą, obrzędowa mistyka, niezrozumiałe symbole, kostiumy, dostępne tylko wybranym nauki, słowem cała ta pseu-

do tajemnicza maskarada niesamowicie intrygowała tych, którzy otarli się choćby raz o owe zagadnienia. Niektórzy powtarzali tekst rzekomej przysięgi wolnomularskiej. Ponoć miał on następujące brzmienie:

„Przysięgam — najściślejszej tajemnicy
dochować...

W przypadku zdrady pozwalam mieć
gardło przerżnięte,
serce i wnętrze wyszarpane,
ciało moje na popiół spalone...
pozwalam z sobą postąpić tak, aby
po mnie
najmniejsza nie została pamiątka...”¹⁵⁾

Gdańsk i jego okolice były terenem dość ożywionej działalności wolnomularzy. Wiemy, że przed I wojną światową działały w tym mieście co najmniej cztery loże. Nie zabrakło ich również w takich miastach, jak m. in. Kwidzyn, Starogard Gdański, Chojnice, Malbork, Tczew. Trudno powiedzieć, jakimi kanałami dobrze strzeżone tajemnice masonów przenikały do ludowej wyobraźni. Fakt jednak, iż zrekonstruowany ze szczątków zapamiętanych przekazów obraz masonskich ceremonii, a nawet pomieszczeń loży, odpowiada w niektórych punktach rzeczywistości. Nas interesować w tym miejscu będzie właśnie ów świat ludowej wyobraźni, która wzbogaciła wizerunek loży i jej członków o elementy nie istniejące w rzeczywistości, przekształcając to, co i tak było już tajemnicze i nieznanne w coś, co mogło budzić zabobonną grozę, jak to widzieliśmy choćby na przykładzie przytoczonej „przysięgi”.

Do wszystkich bowiem cech demonicznych w jakie wyposażono izolujących się od reszty społeczeństwa masonów doszedł zarzut o uprawianie w mrocznych lożach najpotworniejszych eksperymentów z pogranicza czarnej magii, o hołdowaniu władcy plekta i lucyferycznych czarnych mszach, a co równie istotne — o paktowaniu na rzecz pruskiego najeźdźcy.

Jednym z najciekawszych jest opis samego aktu inicjacji połączonej z szeregiem prób, poprzez które przejść musi adept tajnego zgromadzenia. Twierdzono, że zostaje on wprowadzony (z opaską na oczach) do ciemnego pomieszczenia, w którym na środku stoł pusta trumna. W niej właśnie spędzić musi teraz całą noc, rozmyślając intensywnie o swej decyzji. Gdy jednak w tym czasie nasuną mu się pewne wątpliwości zabije go natychmiast spadający z sufitu miecz.¹⁶⁾

„Przechodził pewne przeszkolenie — przez trzy dni leżeć musi taki człowiek w trumnie i nie mógł myśleć o Bogu, gdyż specjalne urządzenie ucięłoby mu głowę”.¹⁷⁾

„Tatk Józka, co no pracowól w Lęborgu, bël bodej Frejmauer. A grëdo bëló sę w mōdlec do nich i jejich lôze sę dostac. Nōpierwi muszël jes zdwōwë egzamin: oni ce położëlë w czōrną tremę i całą noc jes muszōł w ni leżec. Le to jesz ni wszëtko. W nocë ce naro- czëtë dzewōtne zwierzecë, wëze i juńce, diōble i jinszi strôszi ci sę pokazowalë i na cę szlë, a te to muszël wszëtko zniesc i strzëmac bez okazëku strachu. Czëj jes wotrzëmól do rëna, miōł jes egzamin zdany i bël jes kandidatem na farmazëna noniższëgo stëpnia (...)
(opowiódól stōri Czerwiōnka z Mirachowa — 1912 r.)¹⁸⁾

Drugim stopniem ceremoniału wtajemniczenia miało być uroczyste losowanie — decydujące o całym przyszłym życiu farmazona. Prowadzono go zatem z zawiązanymi oczyma do długiego stołu zastawionego złotymi naczyniami. Zawierały one różnorakie symboliczne przedmioty. Stielow podaje, że ten, kto natrafił na misę wypełnioną kształtościami będzie bogatym człowiekiem. Jeśli wydobędzie garść miedziaków nie będzie mu się tak dobrze powodziło. Najgorszy wszakże los przeznaczony jest temu, kto trafi na misę z... robactwem. Nie dość, że przez całe życie będzie on klepał biedę, to jeszcze będą go nękać insekty, od których nie znajdzie uwolnienia.

Wiedza o losowaniu „przyszłego życia” uległa jak się wydaje na Kaszubach pewnemu zatarciu. Śladem jej są uwagi informatorów o masonach-murarzach i budowniczych, którym taki właśnie los przypadł w

udziale, lecz dokładniejszych wiadomości o spektakularnym charakterze samego losowania nie udało mi się od dzisiejszych mieszkańców pomorskich wsi uzyskać.

Wolnomularz pod groźbą śmierci składać musi najmroczniejszą przysięgę na wierność loży i dochowanie tajemnicy. Temu celowi służy też portret (czasem zdjęcie) nowo przyjętego brata. Zostaje on uroczystie zawieszony w ciemnej sali, a towarzyszą temu wypowiedziane zaklęcia. Jeśli się zdarzy, że człowiek ten nie dotrzyma przysięgi milczenia, lub choćby tylko zacznie żałować podjętej decyzji, jego portret za sprawą diabła zacznie natychmiast się pocić.

„Strzëgle przede wszëtczim swoich tajemnic. Chto je zdradzi, ten muszi umrzec. Miele w lôzach sãd kapelcōwi. Sëdzowie zmaskowōnë wskōzëją na szlachōtkę (fotografkę), co wisa na czōrnym spōdlim i skōzëlë go na smierc. Jeden z nich wzãł na stole leżącą złotą szpilkę, szëdł z nią do fotografki i pchnãł szpilkę w ôkole serca. W ti chwilë nën, dzekōlwiëk bël, i cokolwiëk robił upōdł niezëwi na ziemië”. (Powiōda Schlicht z domu Kōwnakō ze Streszebude — 1915 r.)¹⁹⁾

Według informatorów Stielowa, farmazon-zdrajca po zniszczeniu jego podobizny za pomocą miecza zawieszono koło trumny, niezwłocznie zostaje zawieszony przez samego szatana. Wolnomularze w swej „seksiarskiej” gorliwości wydzielali nawet we własnych zabudowaniach osobne pomieszczenie, które urządzali na wzór miniaturowej loży. Był to ponoć niewielki gabinet, w którym wszystkie urządzenia, meble a nawet okna pomalowane były na czarno. Również i tu nie mogło zabraknąć portretu pana domu. Jego wynajęta przez diabła dusza tu właśnie kontaktowała się z demonem, zdobywając poprzez odpowiednie zaklęcia umiejętność podporządkowania sobie poddanych, utrzymywania ich w pokorze, postuszeństwie i bojaźni.²⁰⁾ Niekiedy okolicznym mieszkańcom lub pracownikom „frajmaura” udawało się podsłuchać jego wielogodzinne dysputy z czartem.²¹⁾

Mistrzowie loży sprawujący władzę „ojców duchowych” zgromadzenia często spoglądali na porozwieszane w ciemnych pomieszczeniach portrety braci. Jeśli tylko na którymś z tych wizerunków pojawiały się kropelki potu, był to sygnał, że jego właściciel dopuścił się zdrady tajemnic lub przysięgi. Uciekano się wówczas do starego jak świat sposobu unieszkodliwienia winowajcy na odległość. Służyły temu celowi igły, którymi nakłuwano okolice serca farmazona przedstawionego na podobiznie. Ten pradawny obrzęd, zaliczany do najbardziej rozpowszechnionych rytuałów śmierci w czarnej magii, od wieków znajdował zastosowanie w najodleglejszych zakątkach świata. Niektórzy jego genezy dopatrują się nawet w ikonografii malowideł epoki lodowcowej odkrytych na ścianach pieczar pirenajskich. (Malowany bizon przeszyty strzałą myśliwego łatwiej stanie się łupem człowieka).

Gliniane posążki wrogów z utkwionymi w ich ciałach ostrzami znajdowano zarówno w skupiskach Indian z północnej i środkowej Ameryki, jak i u mieszkańców Borneo, a ich woskowe odpowiedniki odkrywano na cmentarzach Paryża i Warszawy. Kilka lat ten sam motyw wykorzystano w głośnym amerykańskim horrorze „The Exorcist”, który wywołał falę hysterii wśród filmowej publiczności na kilku kontynentach.

W Sławoszynie, mówiono dawniej, że poprzez odpowiedni system zaklęć niewierny mason sprowadzony zostaje do loży, w której składał niegdyś przysięgę i w obecności współbraci musi położyć się do trumny. Zanim zadana zostanie mu śmierć z ust zgromadzonych padną słowa: „Vez czarta twego a jachōj do piekła gorącego”.²²⁾

Wspomniałem już o głęboko negatywnym obliczu politycznym niemieckich lub zgermanizowanych wolnomularzy działających na terenach objętych zaborem pruskim, bądź na ziemiach byłego zaboru pruskiego. Fakty te — jak potwierdzają badania — nie obce były ludności kaszubskiej. W zebranych wypowiedziach zdecydowanie dominuje ton ironii i pogardy wobec proniemieckich poczynań farmazonów. Silnie zakorzeniona świadomość narodo-wa mieszkańców wsi w określony sposób reagowała na wszelkie, mniej lub bardziej jawne akty postępo-

wania zgodnego z duchem pangermańskich ideałów niektórych braci spod znaku kielni i szatana. Nic więc dziwnego, że w wielu opowiadaniach zauważał ny jest ton pogardy i przestrogi. Do bogatego zestawu motywów magicznych dochodzi więc w szeregu relacji proces świadomej — często wyolbrzymionej demonizacji tej grupy masonów, którzy w sposób jednoznaczny dali się poznać jako wrogo usposobieni do słowiańskiego żywiołu i polskiej państwowości.

Odnosi się to przede wszystkim do tych opowiadań, w których prócz wymienionych już wątków na miejsce poczesne wysuwa się temat nocnego polowania diabelskiego, określonego mianem „dzikiej jachty”. Do licznych przekazów o leśniczych-farmazonach doszły więc opisy niezwykłych leśnych biesiad i szalonych wypraw, bynajmniej nie na dzikiego zwierza... Swoim charakterem i treścią przypominają one nieco podania o zbrodniczych wyprawach nocnych rycerzy spod zhańbionego znaku czarnego krzyża. Raz zakorzeniony mit „dzikiej jachty”, której bohaterami uczyniono teraz pruskich kolonizatorów-wolnomularzy „bo to bęta często mniemiecko, diabelsko jachta” utrzymywał się bodaj aż do ostatniej wojny światowej. Uczestnikom owych nocnych morderczych wypadów imputowano, iż zabierali oni „ze sobą napotkanych Kaszubów i pędzili lasami na północ ku morzu, gdzie rzekomo topiono ich”, bądź też, że „napastowali czasem przygranicznych handlarzy z Ciemna, Piaszna, Rekowa, Gliśna i Trzebiatowej”.²³⁾

Wiele treści etnicznych i narodowych — dokumentujących niechęć Kaszubów do „zdemoniżowanych prusaków, których nazbyt chętnie wyposażano w cechy wybitnie diabelskie, tworząc znaną paralelę Niemiec: diabeł²⁴⁾ zawierają opisy pochodzące z ziemi bytowskiej. Świadczą one o swolstwie fobii tamtejszych mieszkańców. Dziś jeszcze usłyszeć tu można niesamowite i pełne grozy opowiadania o nocnych obradach zaprzędanych diabłu masonów w jednej z komnat bytowskiego zamku. „Ludność rodzima słysząc o tych zgromadzeniach w okresie międzywojennym, snuła zle prawdopodobnie jakie miały się spełnić pod postacią ludobójstwa w czasie II wojny światowej.

Opowiadano w związku z tym o bliżej nieokreślonych, ognistych piecach — późniejszych krematoriach, o tym, że podczas mającej nastąpić wojny — diabeł będzie latał w powietrzu (samoloty bombardujące), że po ziemi będą chodziły ogromne plece ogniste, w których będą piec (smażyc) ludzi (...). Opowiadano też w wielu wsiach o „wielkich” diablach, które miały chodzić po ziemi”.²⁵⁾

NA KRAWĘDZI ŻYCIA I ŚMIERCI

Podpisanie własną krwią umowy z diabłem daje farmazonowi za życia rozliczne korzyści i przywileje. O wielu z nich była już mowa, przykłady jednak można by mnożyć dłużej. Do częściej powtarzających się zaliczyć można motyw czarnego psa, który występuje na ogół w roli stróża posiadłości wolnomularza. O tym jak osobliwy to twór ludowej fantazji mówi jedna z relacji:

„Chłopaki wybrali się po koniczynę na pole swego właściciela. Gdy zabrali się właśnie do zrywania pojawił się im przed oczami wielki czarny pies, który różnił się wyglądem od psów normalnych. Z jego pyska buchał żar. Oczywiście, że to czartowskie widzenie ogromnie przestraszyło owych chłopaków, którzy nie wiedząc w jaki sposób znaleźli się w swoich domach. Rezultatem tego wypadu była ciężka choroba jednego z kolegów. Nazajutrz w pracy ów właściciel (Drews ze wsi Głodowo k. Kościerzyny — J. S.) wskazywał każdego z chłopaków, którzy byli na złodziejstwie”.²⁶⁾

O tym kim w istocie było niezwykle zwierzę dowiadujemy się z przekazu innego informatora: „Pewnego razu jeden z sąsiadów (wolnomularza Stargarta — Wysin k. Kościerzyny) w czasie jego nieobecności postanowił wykosić niewielką łączkę należącą do jego majątku i trawę zabrać dla swego bydła. Skoro położył pierwszy pokos trawy, pojawił się obok niego duży czarny pies, który nie pozwolił się odpędzić i w rezultacie został skaleczony. Następnego dnia okazało się, że pod postacią psa krył się sam Stargart, bo chodził z zabandażowanymi ranami”.²⁷⁾

Powiadano na ziemi lęborskiej, że kiedy po II wojnie światowej zaczęto rozkopywać rodzinny grobowiec wolnomularza Wejhera, w jego wnętrzu miast zwłok dziedzica na Wicku i Gosi znaleziono jedynie dużego czarnego psa...

Nie zdziwiło to odkrycie zapewne tych, którzy wierzą do dziś, iż zaprzędany Lucyferowi farmazon z duszą i ciałem stanowi po śmierci własność księcia piekła. Pakt z diabłem ma bowiem również swoje złe strony. Gdy upłynie termin umowy i wypełni się czas dostatniej egzystencji ziemskiej masona, u jego boku niezwłocznie pojawi się czart by przywołać swą ofiarę. Jedynym sposobem przedłużenia życia jest wówczas pozyskanie szatanowi nowej ofiary, która drogą przekupstwa zapisze mu duszę. Gdy jednak i ta prolongata dobiegnie końca obydwaj muszą podać się woli piekła.

Słowińska hafciarka Ruta Kötsch (ur. w r. 1925) przekazała na ten temat następującą relację: „W majątku w pobliżu wsi Głowczyce żył pewien ziemianin, który był wolnym mularzem. W dniu, w którym miało się odbyć wielkie święto wolnych mularzy minął jego termin i miał go zabrać diabeł. W dzień przed świętem ziemianin zaprowadził do swej kancelarii ucznia ogrodnika, 17 letniego chłopca i mówił do niego: Ukłuj się w palec i własną krwią podpisz się na tym papierze. Podwyższę ci za to pensję. Chłopiec tak uczynił. Ziemianin pojechał na swoje święto, a chłopiec następnego dnia nagle zachorował. Zaczął się rzucać i młotać i nikt nie potrafił go utrzymać. Zmarł w ciężkich męczarniach, opętany przez szatana. Nawet ostatniej komunii nie mógł przyjąć. Ludzie mówią, że jego duszę zabrał diabeł”.²⁸⁾

Słowińcy wierzyli, iż sama już obecność „fajmaura”, nie mówiąc o kontakcie z Niemcem-masonem przynosi nieszczęście. Nic więc dziwnego, że spotkawszy takiego człowieka na drodze woleli go omijać wielkim łukiem, a słowo „farmazon” podobnie jak na Kaszubach wymawiali tu półgłosem, by nie ściągnać na siebie i dom jakiegoś nieszczęścia. Najlepszą przestrogą przed wejściem z masonem w komitywę były pouczające przykłady mówiące o tym jak to owi „zaprzędający” wykorzystać pragną czyją naiwność, po to tylko, by samych siebie uchronić przed piekłem. Wierzono więc, że kto dałby się przez wolnomularza — ziemianina nakłonić do podpisania czegokolwiek, a tym bardziej własną krwią, ten zginie natychmiast będąc na wieki potępionym.

„We wsi Machowinko żył pewien ziemianin. Był on wolnym mularzem. Kiedy poznał, że zbliża się godzina jego śmierci, chciał aby ktoś umarł za niego, by on mógł żyć dalej. Zaprowadził więc swego świniarka do pustego pokoju, obiego go z wszystkich stron czarnym aksamitem i kazał mu, aby własną krwią podpisał jakiś formularz, że mu za to dobrze zapłaci. Świniarek przestraszył się i uciekł. Tej samej nocy zmarł ziemianin. Na drugi dzień, gdy świniarek poszedł karmić świnię, nagle ujrzał przed sobą ducha zmarłego ziemianina. Tak silnie go duch uderzył, że świniarek upadł i cała pasza rozsypała się. Było jasne, że duch ziemianina chciał go zabić, za to, że swoim życiem nie przedłużył jego. Sam mi to wszystko opowiadał. Nazywał się Wilhelm”.²⁹⁾

Przez długie lata utrzymywała się na Kaszubach wiara, iż każdy kto posiada sobowtóra tragicznie kończy swoje życie. Odpowiada to znanemu schematowi „jakie życie taka śmierć”. Izidor Gulgowski pisał w 1911 roku, że ludzie ci kończą na ogół samobójstwem. Tak było — twierdzą do dziś starzy mieszkańcy Kartuz z właścicielem browaru w tym mieście — Meyerem, który po roku 1920, gdy nawet kontrakt z diabłem nie uchronił go przed postępującym bankrutstwem zastrzelił się. Inny wolnomularz — Drews — właściciel wielkich dóbr ziemskich w okolicy Kościerzyny zastrzelony został podczas wyzwoleń przez żołnierzy Armii Czerwonej, w tym samym czasie zastrzelił się w Lubaniu farmazon Harlemann. Podobnych przykładów utwierdzających ludność w swych dawnych przekonaniach było więcej.

ANTIDOTUM NA DIABŁA

Wolnomularzy, a więc ludzi pozostających w bezpośrednim związku ze sługami piekła traktowano jako opętanych, stąd też w arsenale środków neutralizujących szkodliwe działanie mocy czartowskiej znajdujemy te same symbole, przedmioty i znaki jakimi

posługiwało się już w średniowieczu. Od niechybnego potępienia może uratować wolnomularza jedynie wyjątkowy zbieg okoliczności. Tak właśnie było w przypadku pewnego zamożnego dziedzica, właściciela ogromnych dóbr rycerskich w okolicy Pucka. Powiadano, że ciężko chorego masona, który ze zgrozą oczekiwał nadejścia śmierci doglądała młoda służąca wyznania katolickiego. Owej nocy, której umowa z diabłem miała się wypełnić dziewczyna czuwająca przy jego łóżu, by nie zasnąć odmawiała różaniec. Kiedy wybiła północ, a w całym gospodarstwie zapanała grobowa cisza, rozległo się nagle pukanie do drzwi i okien. Umierający pojął, że oto nadchodzi „brat-czart” aby odebrać mu duszę zapisaną w cyrografie. Kiedy drzwi rozwarły się same ogarnięta lękem służąca uniosła głowę, lecz nie ujrzała nikogo. Jedynie po posłaniu starca prześlizgnął się ponury cień jakiejś postaci. Przerazony dziedzic wyrwał dziewczynie różaniec i przywołał na pomoc Boga ze wszystkimi świętymi. Tak to poskromiony diabeł zaniechał musiał swej ofiary, a eksmason zanim zmarł i został zbawiony wynagrodził sownice dobrą służącą.³⁰⁾

W zbliżonych wariantach opowiadania dziewczyna podaje na prośbę umierającego farmazona szkaplerz, który ten zarzuca szatanowi na szyję. Tak sam skutek sprawia również pojawienie się kapłana z kropidłem, szkaplerzem i egzorcyzmami a przede wszystkim znak krzyża. Wymienione przedmioty i znaki nie tylko służą do unieszkodliwienia mocy diabelskiej. Uciekają się do nich również żyjący, gdy zagraża im niebezpieczeństwo ze strony sobowtóra.

„Pewien gracz w karty, niepomny ostrzeżeń matki chodził co wieczór do sąsiedniego osiedla by grać na pieniądze i późno wracał do domu poprzez wądoły i zarośla. Drożyną prowadziła w poprzek pół właściciela folwarku (wieś Skorzewo pod Kościerzyną — J. S.). Jego sobowtór zaczął mu wyraźnie przeszkadzać. W pierwszym spotkaniu ukazał mu się na polu z cygarem w ręku. Pies karciarza, który mu towarzyszył zaczął skomleć. Drugiej nocy „farmozen” jechał na koniu, klusował przez wrzopy i krzwy przeznajac ścieżkę, którą podążał wieśniak. W trzecią noc zajechał mu droge, stanął na rozstaju oczekując go wyprostowany w siodle, z cygarem w ustach. Tym razem karciarz zdrowo się przestraszył, a pies zaczął wyc i uciekł w popłochu. Wieśniak, nie tracąc głowy przeżegnał się, potem zrobił krzyż w kierunku drogi i chwycił swój — noszony zawsze na szyi — szkaplerz. To poskutkowało. „Farmozen doł szpere koniom e gnól, jaż naraz z oczów zczinaj”.³¹⁾

Niektórzy starzy Kocielwicy pamiętają jeszcze karczmę „Makshanz” położoną niedługo na rozstaju dróg Grabowo Bobowskie — Gniew — Nowe, pod lasem nieopodal starożytnego grodziska położonego pod Grabowem. Przez długi okres straszyl w niej pokutujący zapewne duch masona, a był tak dokuczliwy, że nowi właściciele zajazdu nie widząc innego wyjścia, poprosili o pomoc miejscowego plebana. Na niewiele jednak zdały się jego egzorcyzmy. Idąc za radą duchownego powiesili więc na czołowej ścianie izby, w której farmazon najbardziej dokazywał wielkich rozmiarów krzyż. Skutek był tym razem natychmiastowy. Odtąd złośliwy duch przenosił się bowiem na zewnątrz i można go było oglądać jedynie między konarami wysokiej rozłożystej lipy.³²⁾

Jedną z charakterystycznych cech, niekoniecznie pośmiertnej aktywności wolnomularzy, było widmo zaprzężonej w cztery rumaki karety. „Codzeń o dwanaście w noc objeżdża farmazin swoje dobra, tak chutko, jak le konie mogą biegac, w brice zaprzęgie w sztere konie, a z peska jidze jim odzień”.³³⁾

Siedemdziesięcioczeroletnia dziś mieszkanka Czerska z całym przekonaniem twierdzi, że jako 12-letnia dziewczynka widziała na własne oczy właściciela tartaku — Hansena — jadącego na ognistym wozie, zaprzężonym w cztery konie, nie tylko na polu ale i w powietrzu. Co więcej, pamięta ona doskonale, jak w pewnym momencie owo widmowe zjawisko, odpowiednio zmniejszając swe wymiary znikło w otworze komina właściciela domu.³⁴⁾

Inny mason, o którym była tu już mowa, często jeździł czarną bryczką zaprzęgniętą w czwórke czarnych koni. Zdawało się, że z podróży wracał pojazdem bez właściciela, gdy ten nieoczekiwanie pojawiał się dużo później w niewyjaśniony sposób. Kiedy przed I wojną światową „zachorzył w Tuchomiu mniemniecki pón, co se mniól djóchlu zaprzędony”

— już na kilka dni przed jego zgonem widywano we wsi codziennie wieczorem, jak z zajeżdżającej karecy wysiadało kilkunastu diabłów, „wielgich pónów”, którzy udawali się do chorego.

Niezwykły przebieg miały ponoć pogrzeby zmarłych wolnomularzy. Jak twierdzi większość informatorów, ludzie ci nie pozwalali pochować się ani na cmentarzach katolickich ani też na luteranckich. Na miejsce wiecznego spoczynku wybierali natomiast wzgórze otoczone zagajnikiem, bądź własne ogrody. Chłopi chętnie uczestniczyli w tych „bezbożnych” ceremoniach, gdyż dzięki obecności na pogrzebie mieli część dnia wolną od pracy.

Obawiano się natomiast pośmiertnej aktywności wolnomularzy. W Połczynie wiadomym było, że Freimaurer — Hanemann kazał po śmierci spalić swe zwłoki w krematorium (po I wojnie świa.) i wystawić w Pucku grobowiec. I choć uważano go raczej za czło wieka szanowanego i porządnego, mówiono o jego zagrobowych wizytach na majątku. Pojawiał się na ognistym rumaku, odpędzając otaczających go purtków.

W Wejherowie widziano, jak w czasie pogrzebu drukarza o nazwisku Brandenburg, w drodze na cmentarz stanęły konie przed bramą i tragarze musieli sami zanieść trumnę, gdyż mimo usilnych starań zwierzęta nie chciały ruszyć ani kroku.³⁵⁾

W Przodkowie, Zależu, Wilanowie i Pomieczynie jeszcze dzisiaj opowiadają o wolnomularzu Windischu, który w różnych postaciach ukazuje się w okolicy rodzinnych grobowców, a mieszkańcy Kartuz twierdzą, że farmazon — Meyer, po swej samobójczej śmierci pojawiał się w ogrodzie przylegającym do własnego browaru, a nocą odwiedzał rodzinny dom.

Niewyjaśniony, zabobonny lęk przed szkodliwym działaniem pokutującej duszy zmarłego masona da się na Pomorzu porównać jedynie chyba tylko z dawną wiarą w upiora, noszącego tu miano „wieszczy”. Podobnie jak przed tym chroniono się odcinając trupowi głowę, tak też z ulgą spoglądano na wielkie narzutowe gazy ze znakami kielni i cyrkiła, które zamiast krzyży zataczano na groby wolnomularzy. Doceniając wielkość i wagę nagrobnych eratyków, pod którymi zakopywano ciała członków masonskiej loży, chłop wierzył, że uprzykrzono farmazon spod tech kamieni ju nie weleze...

1. D. Simonides, Współczesne podania wierzeniowe. (w:) Lud, t. LVII, 1973, s. 98.
2. Termin ten tłumaczy B. Sychta w swym Słowniku gwar kaszubskich na tle kultury ludowej, Wrocław 1967 r., t. II, s. 310 jako „znachor”, podając przysłowie „tu ani kusrot nie pomoże” — o sytuacji bez wyjścia.
3. Wg Encyklopedii Staropolskiej Z. Glogera lud określa mianem farmazonów przedstawicieli klas wyższych bez przekonań religijnych, czyli niedowiarków.
4. S. Wotowski, Tajemnice masonerii i masonów, Warszawa 1926.
5. J. Dudziński, W. Budzyński, Oskarżamy masonerię w Polsce, Warszawa 1938.
6. D. Simonides, op. cit., s. 98.
7. podał: Alojzy Nagel, l. 47, Kielno, zapis 1877 r. (rękopis w zbiorach autora).
8. F. Lorentz, Kaszubi. Kultura Ludowa i język, Toruń 1934, s. 85.
9. podał: Ludwika Kowalska, l. 76, Bobowo, zapisał w r. 1977 Józef Ceynowa (rękop. w zb. aut.).
10. podał: Kazimierz Maikowski, l. 52, Kwidzyn, zapis 1977 r. (rękop. w zb. aut.).
11. op. cit.
12. podał: Józef Węsierski, l. 67, Czarna Woda, zapis 1977 r. (rękop. w zb. aut.).

13. podał: A. Nagel (patrz wyżej).
14. podała: Małgorzata Stole, l. 82, Rakowiec, zapisał J. Ceynowa w r. 1977 (rękop. w zbiorach aut.).
15. S. Wotowski, op. cit., s. 22.
16. por. F. Lorentz, op. cit., s. 95—96, A. Stielow, Die Freimaurerei in Volksglauben der Kaschuben. (w:) Mitteilungen des Vereins für Kaschubische Volkskunde. 1910, t. II, s. 39—45.
17. zob. poz. 10.
18. zapisał Aleksander Labuda, l. 75, Tłuczewo, wg. relacji Czerwionki (Mirachowo) z r. 1912 (rękop. w zb. aut.).
19. zapisał A. Labuda wg. relacji Schlicht z domu Kownackiej z r. 1915 (rękop. w zb. aut.).
20. podanie zanotowane we wsi Głodowo k. Kościerzyny (Informator zastrzegł sobie anonimowość, rękop. w zb. aut.).
21. por. W. Łęga, Z opowiadań ludu polskiego w Grucznie pow. świecki (w:) Gryf 1922, nr 6, s. 162.
22. zob. A. Stielow, op. cit., s. 39—45.
23. zob. R. Kukier, Kaszubi bytowski. Zarys monografii etnograficznej. Gdynia 1968, s. 309.
24. Tak np. Mazurzy utrzymywali, że farmazoni nie mają „lalek w oczach”, czyli że mają mętne źrenice, że ubierają się z niemiecka, kuso, i choć który elegant, to mu zawsze u prawej nogi wygląda z buta konczyk pazura od wielkiego palca, (zob. Z. Gloger, Encyklopedia Staropolska, Warszawa 1950, t. I, s. 147).
25. op. cit., s. 309—310.
26. por. poz. 20.
27. podał: Antoni Filipiński — syn długoletniego sąsiada Stargarda, zapisała w r. 1977 Gertruda Skotnicka (rękop. w zb. aut.).
28. cytuję za J. Słiznińskim, Z kaszubskiej i słowińskiej literatury ludowej (w:) Lud, t. XLIX, 1965, s. 272, zapis pochodzi z roku 1959.
29. cytuję j.w., opowiadał Karol Judaschke, ur. w 1880 r., Gardna Wielka, zapis pochodzi z r. 1959.
30. por. A. Stielow, op. cit., s. 44.
31. podał: Michał Jaszewski, l. 55, Roszewo, zapisał w 1977 r. J. Ceynowa (rękop. w zb. aut.).
32. podał: J. Ceynowa, l. 72, Czersk, zapis 1977 r. (rękop. w zb. aut.).
33. zob. B. Sychta, op. cit., t. I, s. 279.
34. podała: Helena Babińska, l. 74, Czersk, zapisał w r. 1977 J. Ceynowa (rękop. w zb. aut.).
35. podała: Józefa Kleinschmidt, l. 60, Wejherowo, zapisał w r. 1977 J. Ceynowa (rękop. w zb. aut.).

Krystyna Muza

NA BURTE

Aż mōsz to kosziko?
 Jedno wezdrzeni
 On so nie ceszi
 To je na-morze
 Jesz pōrę szętopórków
 Bēle nie gadac z babama
 Drēsze stójta!
 Chcelē mē: „robotné morze”

NIE WZERÓJ W KLUCZEWO DZURKA

Nēnka włōzō dzurkã
 Bruny szorc wisy na brzēchu
 Zabetelo pōlnia
 Lēpē otemkiē
 Lōzē kōrbienim
 Wēcygo rēka uschlō
 Czējesz? — „Jō cos wiēm, nie powiēm
 Alezē, kapunko mōsz darēnk”.
 — „Nie chca jō ti szari sēcziēnczi.
 Daj mie fartuszk z ptōszkama
 i szklēnianēmi kulkama
 Kulczy majã bēc zelonē
 W nich kominiōrz na drōbce
 Kqsk widē od slonēsška
 Groszk na zloti nitce
 Wisenka bez pestczy”.
 — „Plesta pleszcze.
 Na mie źdže kolowrotk w niebie
 Uwiza piścōwczzi z nōwiqzē”.

piścōwczzi — wełniane rękawiczki z jednym palcem
 nōwiqzē — owcze rino

Tryptyk kaszubski

Maria Boduszyńska-Borowikowa

Wstęp

Mówiąc lub pisząc „literatura kaszubska” często podkładamy pod te słowa różne znaczenia, możemy mieć na myśli na przykład: 1. literaturę pisaną w dialekcie kaszubskim, zarówno ludową, jak i artystyczną; 2. twórczość pisarzy pochodzenia kaszubskiego, również w języku polskim, lub wreszcie 3. pisarstwo zajmujące się tematyką kaszubską. Właściwym desygnatem określenia „literatura kaszubska” powinna być, moim zdaniem, twórczość pisarzy pochodzących z Kaszub, związanych z tą ziemią urodzeniem, tradycjami, wychowaniem, pracą.

Drugie mylące określenie to „literatura regionalna”. Nie ulega wątpliwości, że połączenia wyrazów takie, jak: „ubiory regionalne”, „zwyczaje regionalne”, oznaczają ubiory i zwyczaje, zwłaszcza ludowe, związane z obszarem danego regionu geograficznego. Zasadniczo analogiczne znaczenie powinno mieć również określenie „literatura regionalna”, w tym wypadku jednak sprawę komplikuje pojęcie regionalizmu, jako pewnej ideologii, programu działań mających na celu odrodzenie, pielęgnowanie i propagowanie odrębnych wartości i tradycji danego regionu i zamieszkującej go społeczności ludzkiej. Regionalizm zakłada więc świadomą postawę działania, służby na rzecz wartości reprezentowanych przez region, między innymi działania w zakresie pisarstwa. Otóż utwory literatury regionalnej (w tym również kaszubskiej) bynajmniej nie zawsze powstają ze świadomej woli pisarskiego działania na rzecz wartości rodzimego regionu. Wiele utworów literatury regionalnej — jakkolwiek w sensie obiektywnym, to jest wskutek ich oddziaływania na odbiorców, służą ocaleniu lub umocnieniu tradycji regionu — nie ma jednak nic wspólnego z ideologią regionalizmu.

Utwory takie albo należą do literatury ludowej (które to określenie bywa także interpretowane niejednoznacznie), albo też — aczkolwiek związane z regionem przez osobę autora, niekiedy zaś również przez dialekt lub gwara — swoją tematyką i problematyką wychodzą poza granice zagadnień regionalnych, w sferę zagadnień bądź to ogólnonarodowych, bądź ogólnoludzkich.

Dla porządku zaznaczę, co uważam za jeden z podstawowych atrybutów piśmiennictwa ludowego, w odróżnieniu od literatury pięknej czy artystycznej, którą najchętniej nazywałabym po prostu „literaturą”. Otóż za taki atrybut uważam postawę pisarza wobec przedmiotu przedstawianego, mianowicie postawę naiwną czyli pozbawioną krytycznego dystansu, postawę zjednoczenia lub identyczności z przedmiotem przedstawianym, niezależnie od sposobu przedstawienia — realistycznego, fantastycznego, groteskowego — ten bowiem jest wyrazem indywidualności pisarskiej twórcy ludowego. Jest to zatem postawa w zasadzie prymitywna, obca pisarstwu „zawodowemu”, co w żadnym razie nie wyklucza możliwości wysokich walorów estetycznych piśmiennictwa ludowego. Istnieją przecież uzasadnione powody do uważania Homera za twórcę ludowego, jakkolwiek kwestia ta pozostanie chyba już na zawsze nie rozstrzygnięta ostatecznie.

Dosyć często można się spotkać z poglądem, że pisarz ludowy, piszący gwara, musi być niewykształconym mieszkańcem wsi, związanym ze swoją ziemią przez pracę na roli, w rybołówstwie, w wiejskiej kuźni itp. Pogląd ten zawiera część prawdy, nie uwzględnia jednak oczywistego faktu, że zewnętrzne, niekiedy przypadkowe, oddalenie się od środowiska wiejskiego, od najbliższych stron rodzinnych — choćby towarzyszyła temu pewna ogląda cywilizacyjna i umysłowa, zdobyta w nowym środowisku miejskim — często nie odmienia struktury psychicznej i mentalności pisarza. ukształconych w decydujący sposób przez pierwotne, rodzime środowisko wiejskie. Taki pisarz zachowa w swej twórczości opisaną wyżej naiwną postawę wobec przedstawionego przedmiotu. Dopiero zdobycie wyższego stopnia wykształcenia lub zaangażowanie się w działalność o szerszym zasięgu społecznym może wytworzyć ów dystans w stosunku do przedmiotu przedstawionego, który pozwala zaliczyć pisarza regionalnego do literatury artystycznej, chociaż nie zawsze oznacza to estetyczną wyższość jego pisarstwa w porównaniu do utworów piśmiennictwa ludowego.

Po tych wstępnych uwagach przyjrzyjmy się bliżej sylwetkom trojga współczesnych, żyjących pisarzy kaszubskich, których twórczość w moich oczach ostro się różnicuje w świetle wyżej rozważanych określeń i klasyfikacji. Mam na myśli Annę Łajming jako autorkę opowiadań i wspomnień, Jana Piepkę oraz Jana Drzeżdżona. Dаты urodzenia tych trojga to, odpowiednio: 1904, 1926 i 1937. Anna Łajming i Jan Piepka debiutowali niemal jednocześnie i nadal publikują, równoległe z najmłodszym spośród nich, Janem Drzeżdżonem, który debiutował kilkanaście lat później. Wszyscy troje wywodzą się z chłopskich rodzin kaszubskich — Łajming z południowego pogranicza Kaszub, dwaj pozostali z obszarów północnych. Pomimo względnego zbliżenia ich twórczości w czasie, uważam za konieczne zająć się wymienionymi pisarzami według kolejności dat ich urodzenia, a nie jest to bynajmniej świadectwem pedanterii chronologicznej.

Anna Łajming — pisarka ludowa

Trzy znane mi interesujące recenzje twórczości tej pisarki pochodzą spod pióra autorów kaszubskich (J. Drzeżdżon, „Pomerania” 1971, nr 5; R. Karwacki, „Pomerania” 1976, nr 6; J. Treder, „Pomerania” 1977, nr 2), co z punktu widzenia moich zainteresowań zwiększa ich ciężar gatunkowy. W żadnej z tych recenzji nie postawiono wyraźnie kwestii ludowego charakteru pisarstwa Anny Łajming. Drzeżdżon zaopatruje swoje uwagi analityczne w tytuł: „Groteska ludowa” i stwierdza, że w opowiadaniach Łajming „mamy (...) do czynienia z autentyczną groteską ludową”, jednocześnie przypisując autorce wysoki stopień świadomości pisarskiej, celowe reżyserowanie konstrukcji na ludowość i wyrafinowane kontrastowanie obrazów dla wywołania określonych emocji estetycznych. Z drugiej strony imputuje tej pisarce pewien zamysł ideologiczny, mianowicie obrazowe przedstawienie zbioru kompleksów (charakterologicznych, w wiejskiej społeczności kaszubskiej), które „należy przewyciężyć”.

Treder również przypuszcza, że „pisarka świadomie chyba tak skonstruowała narratora, by oddać głos bohaterom w pełni”, jednocześnie zaś twierdzi, że „każde opowiadanie (Anny Łajming) (...) jest pretekstem do wypowiedzenia treści uniwersalniejszych i poważniejszych, którymi — moim zdaniem — są problemy (...) trudnego życia na Kaszubach wraz z próbą interpretacji przyczyn tego faktu”.

Otóż nie zgadzam się z tymi poglądami Drzeżdżona i Tredera. Doskonale „opowiadki” Anny Łajming świadczą, moim zdaniem, o niemal zupełnym braku dystansu do świata przedstawionego, o takiej bliskości, która jest niemal jednością.

Treder słusznie stwierdził podstawową i oczywistą sprawę, że w opowiadaniach Łajming „autentyczne są przedstawione (...) fakty i zaprezentowani bohaterowie”. Obok argumentów wynikających z analizy tekstów przemawiają za tym nieodparcie „Wspomnienia” Łajming, drukowane w „Pomeranii” (od nr 6/1975 do nr 3/1977). Niektóre postacie i wydarzenia z „opowiadań” (autorka bardzo trafnie wybrała to określenie) odnajdujemy w nie zmienionym kształcie we „Wspomnieniach”, odtwarzających świat dzieciństwa autorki, otoczenie, w którym urodziła się i wyrosła, do którego należy wciąż prawem tradycji, obyczaju i mentalności. Wprawdzie poziom materialnego życia w domu rodziców pisarki, dzięki służbie ojca w pałacu niemieckiego barona-nadleśniczego w Przymuszewie (powiat chojnicki), był dość znacznie wyższy w porównaniu z życiem bezrolnej lub małorolnej biedoty wiejskiej, której przedstawiciele są ulubionymi bohaterami opowiadań, nie był jednak na tyle wysoki, aby wyodrębnić rodzinie Trzebiatowskich z kulturowej wspólnoty wsi kaszubskiej. Po ukończeniu niemieckiej szkoły podstawowej dorastająca Anna uczyła się jeszcze w szkole gospodarstwa domowego. Dorosła, opuściła rodzinną wieś i w latach dwudziestych pracowała jako skromna urzędniczka na Pomorzu, w mieście i na wsi. Obecnie mieszka w Słupsku.

Okoliczności te przemawiają co najmniej za możliwością zachowania się u pisarki, która zaczęła publikować stosunkowo bardzo późno, postawy naturalnej jedności z przedstawianym światem, a zatem postawy ludowej. Z drugiej strony fizyczne oddalenie się od tego świata, wejście w odmienne środowisko, wreszcie oddalenie w czasie — to niewątpliwie czynniki sprzyjające wytworzeniu się pewnego dystansu w stosunku do świata przedstawianego. Wyrazem aprobującej świadomości tego względnego dystansu jest wybór i konsekwentne przestrzeganie przez autorkę dwoistego wyrazu językowego jej opowiadań. Rozmyślnie nie mówię tu o stylizacji językowej, o dialektyzacji w takim sensie, w jakim występuje ona na przykład w utworach Jana Piepi.

Realizacja tej dwujęzyczności w opowiadaniach Łajming wypada niezwykle ciekawie, demaskuje bowiem olbrzymią różnicę możliwości twórczych autorki w tworzeniu językowym kaszubskim i polskim. Barwna, dosadna, zindywidualizowana, autentyczna gwara południowokasubaska zawiadnęła w całości partiami diałogowymi opowiadań. Słusznie zauważa Treder, że tak autentycznej i bogatej frazeologii gwarowej, jaka wypełnia dialogi Anny Łajming, nikt nie zdołałby się nauczyć, że trzeba od kolebki wzrastać w klimacie tej gwary, aby móc tak nią operować. Natomiast partie odautorskie, czyli partie narratora, podane są w polskim języku literackim, tu i ówdzie, najwyraźniej nieświadomie, szpikowanym kaszubizmami. Ta polszczyzna jest uboga, bezbarwna i nieudolna, urzędowo sztywna i niejednokrotnie błędna. Czytelnik czuje, że nie jest to mowa macierzysta autorki, lecz język wyuczony, „cędz”, jak mówią Kaszubi. Sprawia to raczej przykre wrażenie, ale — o dziwo! — bynajmniej nie przekreśla uczucia ostatecznej satysfakcji estetycznej.

Jak to jest możliwe? Wyjaśnienie znajdujemy między innymi w trafnych uwagach Tredera o „ograniczeniu partii narracyjnych, pełniących często raczej tylko funkcje poszerzonego tekstu pobocznego w dramacie”. „W dialogu — pisze Treder — nierzadko (...) realizuje się podstawowa akcja, a już stale dokonuje się w nim pełniejsza charakterystyka postaci, ścieranie poglądów, co właściwe jest dialogowi w dramacie”.

Otóż opowiadki Łajming, które Treder nazywa też „obrazkami”, a Karwacki „scenkami rodzajowymi”, są w swej istocie drobnymi utworami dramatycznymi o

charakterze groteski. Jest to od wieków ulubiona i charakterystyczna forma literatury ludowej. Można by z wielką łatwością dokonać inscenizacji powiastek Anny Łajming, oczyszczając je całkowicie z tekstu polskiego, a raczej wykorzystując go w funkcji didaskaliów; zadowolenie estetyczne widza i słuchacza byłoby chyba pełniejsze niż zadowolenie czytelnika. Obiektywne walory tekstu świadczą o tym, że, z jednej strony, wrodzona autorce (a jednocześnie ludowa) skłonność ekspresji twórczej pociągała ją ku formie dramatycznej, z drugiej strony zaś o tym, że cały świat przedstawiony, który jest dosłownie jej własnym światem, może pod jej piórem nabrać wysokich walorów estetycznych wyłącznie w tworzywie językowym dialektu kaszubskiego. Wybór formy dwujęzycznej był, jak się zdaje, wyrozumowany, świadomie zwrócono niejako przeciw ludowości, akcentując dystans, ale w piórze Anny Łajming zwyciężyła ludowość, zwyciężyła prawda najściślejszego zjednoczenia ze światem przedstawionym, którego integralnym i podstawowym elementem jest mowa kaszubska.

Lektura „Wspomnień” Anny Łajming potwierdza słuszność powyższych uwag. Wspomnienia te autorka pisała w podeszłym wieku, po polsku. Wspomnienia bywają niejednokrotnie najwybitniejszym dziełem artystycznym pisarza. Nie można tego powiedzieć o Annie Łajming. Jej wspomnienia są niewątpliwie przebogatym i cennym dokumentem życia ubogiej wsi na południowym skraju Kaszub, od początku XX wieku do pierwszej wojny światowej włącznie (publikacja „Wspomnień” nie jest jeszcze zakończona). Równie autentycznym, natomiast — dzięki swej urodzie — bez porównania bardziej przekonującym dokumentem są jej opowiadki, pisane (w swym trzonie konstrukcyjnym) po kaszubsku, silnie udratyzowane i zobjektywizowane. Polskie „Wspomnienia” Anny Łajming dostarczają wiele prawdziwych i bardzo ciekawych informacji o życiu określonej geograficznie i czasowo wsi kaszubskiej z jej charakterystycznym rozwarstwieniem społecznym, zadowalają jednak wrażliwość estetyczną czytelnika głównie wtedy, gdy zeslizgują się spontanicznie z opisowej narracji w mikroszenki dramatyczne, zanurzając się jednocześnie na króciutko w macierzystym żywiole dialektu kaszubskiego. Polska narracja Anny Łajming zdolna jest pełnić funkcję narzędzia dokumentacji opisowej faktów i zjawisk, ale dokumentacja ta, wskutek nieudolności językowej, na ogół nie zaspakaja potrzeb estetycznych czytelnika.

Jest jeszcze jedna rzecz, która pozornie przemawia przeciwko mojej tezie o ludowym charakterze opowiadań Anny Łajming. Jest to humor, jakim niezaprzecznie nie przesycone są jej utwory. Humor, jak wiadomo, zakłada pewien dystans, a więc zarazem pewien osąd w stosunku do przedstawionego przedmiotu; może nim być również własne „ja”, które wówczas z podmiotu przemienia się w przedmiot. Wynikałoby stąd na przykład, że Łajming posiada jednak dystans literacki wobec świata przedstawianego w opowiadkach oraz we wspomnieniach. Myślę, że jest to pozór złudny. Pamięć tajemna, że Kaszubi — a więc wszyscy bohaterowie naszej pisarki i ona sama także — obdarzeni są przez naturę silnym, swoistym poczuciem humoru. Talent pisarski Anny Łajming polega w dużej mierze na niepopolitym darze obserwacji, obejmującej nie tylko zewnętrzne cechy zjawisk i ludzi, lecz także całą dziającą się, dynamiczną rzeczywistość, chociażby ograniczoną do wąskich spraw określonego skrawka ziemi kaszubskiej. Trudno więc pomyśleć, aby w obrazie życia kaszubskiej wsi autorka mogła pominąć cechę tak charakterystyczną, jak humor Kaszubów. Humor jest integralnym składnikiem świata przedstawionego, a zarazem integralnym składnikiem osobowości autorki, która do tego świata należy. Frazeologia gwary kaszubskiej jest na wskroś przesycona swoistym humorem, a dominująca rola kaszubskich dialogów w opowiadkach Łajming sprzyja szczególnemu wyeksponowaniu postawy humoru. Ta sytuacja, obok możliwości odczytania o charakterze naturalistycznym, ofiarowuje Annie Łajming również możliwość utrzymania pewnego dystansu do świata jej bohaterów, jest to jednak dystans i spojrzenie „od wewnątrz”, niewiele mające

wspólnego ze świadomą postawą pisarza „zawodowego”. Łajming spełnia funkcję czulego i wiernego narządu odbiorczo-nadawczego, który, pomimo zewnętrznego oddalenia, pracuje wewnątrz organizmu wsi południowo-kaszubskiej z pierwszej ćwierci XX wieku.

W pierwszym tomiku opowiadań pt. „Miód i mleko” (1971), jak również w opowiadaniach publikowanych na łamach „Pomeranii” (1972-1975), nie spotykamy choćby skromnego śladu zainteresowania autorki ideologią regionalizmu kaszubskiego, która skupia się wokół problematyki odrębności etniczno-kulturowej Kaszub, stosunków kaszubsko-niemieckich i stosunku Kaszub do Polski. W drugim zbiorze pt. „Symbol szczęścia” (1973) i w trzecim „Od dziś do jutra” (1976; 36 opowiadań w tym 23 przedruki) problematyka regionalistyczna wprawdzie się pojawia, nigdy jednak w postaci istotnego wątku tematycznego, z reguły natomiast w sposób zdawkowo kronikarski lub deklaracyjny, bez ukazania jakiegokolwiek jej wpływu na działania bohaterów. Do wyjątków należy opowiadanie „Ojciec chrzestny”, gdzie patriotyzm polski „za Wilusia” odgrywa pewną rolę, jeśli nie w postępowaniu, to w samoświadomości jednego z ulubionych przez autorkę kaszubskich „nieudaczników”. W opowiadaniach dotyczących początków dwudziestolecia międzywojennymi autorka wspomina dość często o wzajemnej niechęci Kaszubów i „antków”, czyli Polaków z innych stron kraju. Wiadomo, że ta niechęć ze strony Kaszubów była w znacznej mierze psychologicznie uzasadniona i powszechna, toteż jej odnotowanie jest niezbędne dla autentyczności obrazu. Autorka jednak i tu, podobnie jak w odniesieniu do strajku szkolnego sprzed pierwszej wojny światowej czy do przejawów drobniagowego wyzysku ekonomicznego Kaszubów przez administrację zaborczą, nie wychodzi poza lakoniczne, marginesowe rejestrowanie faktów.

Ciekawa rzecz, że we wspomnieniach z dzieciństwa (1975—1977), publikowanych później lub równoległe do opowiadań, Łajming całkowiec pomija problematykę regionalizmu kaszubskiego. Zdawałoby się, że właśnie tutaj, mając nieskrępowaną niczym możliwość spojrzenia na minione wydarzenia i sytuacje z dystansu czasu, to jest z dystansu własnej dojrzałości wewnętrznej i własnego usadowienia się w odmiennym środowisku, bardziej oświeconym i cywilizacyjnie wyższym, autorka mogłaby, a nawet powinna oświetlać przedstawiany przedmiot również z regionalistycznego punktu widzenia, bez popadania w publicystykę. Spotykane tu i ówdzie wtręty na temat poczucia polskości u Kaszubów, ich obcości czy nawet wrogości w stosunku do Niemców itd., markują tylko, jakby z narzuconego obowiązku, świadomość istnienia problemów regionalizmu, są one jednak „materią obcą” w miąższu tego utworu.

Reasumując powyższe rozważania o twórczości pisarskiej Anny Łajming, uważam ją za pisarkę ludową południowych Kaszub, której niewątpliwy talent wyraża się w szczęśliwym amalgamacie: 1. wyjątkowej ostrości widzenia, 2. niezwyklej wrażliwości na proste bodźce estetyczne i 3. wyobraźni odwórczej. Dla docenienia rangi pisarstwa Anny Łajming czytelnik musi zająć wobec niego postawę szczególnie aktywnej i docieklwej, a to ze względu na niewątpliwie braki polszczyzny, będącej w tym pisarstwie językiem autora i narratora, szczęśliwie dochodzącym do głosu w stopniu ograniczonym. Trud ten na pewno opłaci się czytelnikowi zarówno w sensie poznawczym, jak i w sensie zadowolenia estetycznego.

(c.d.n.)

Pamiętnik⁽⁷⁾

Urszula Olszewska

Wejherowo, 3 grudnia 34 r.

Znudziło mu się już grać rolę obrażonej godności. Ale widocznie Krzycka ma też taką samą fałszywą ambicję co ja i nie myśli się pogodzić. No, trudno, ja przemaszać nie będę.

A jednak nienawisć, to inne uczucie. A to co miałam do Krzyckiej, to był po prostu wściekły gniew.

Krzycka usiadła teraz z Łebską, a koło mnie siedzi Jarzębińska. Coś okropnego. To jest zemsta Krzyckiej. A na Mikołaja będziemy się pewnie musiały pogodzić, bo będzie opłatek. Najwyższy już czas, bo nie umiem się długo gniewać.

Bardzo się dziwię, że nie chodziłam w Toruniu do kina.

Wejherowo, 8 grudnia 34 r.

W poniedziałek dają „Arleta i zielone pudła”. Pewno nie pójdę. Bo jakże! Nie ogłosili w szkole!

A ten fortepian, to zdaje się „marzenie świętej głowy”. Jakoś nie ma przygotowań do tarabanienia tego sprzętu.

Nudzę się.

Wejherowo, 9 grudnia 34 r.

Był dziś Mikołaj. Do niczego.

Strasznie znów tęsknię do Torunia i...

Wejherowo, 10 grudnia 34 r.

Mamusia, Krzycka i jej ojciec idą na „Arletę i zielone pudła”. Ja zostaję w domu, ponieważ nie mam okularów. Mamusia właśnie się ubiera.

Jest mi strasznie głupio, że muszę zostać. Napisałam do tatusia, że jutro musimy koniecznie jechać do okulisty. I wtedy będę chodzić na filmy i do teatru jak zwariowana. Mam tysiące projektów na wakacje. Między innymi ten, że kiedyś pójdziemy całą grupą z pływalni do kina, albo do teatru, jak kto woli.

Uważam, że w ten sposób można bajecznie spędzić niejedno chmurne popołudnie, albo niedzielę. Już wyobrażam sobie, jak z Bożeną i Zdzichą idziemy np. do kina. Spotykamy chłopców, no i jest bardzo wesoło.

Żeby już prędzej były wakacje! Bynio będzie!

Wejherowo, 11 grudnia 34 r.

Arleta, to była panienska, która przyjechała z pensji z Paryża, a „zielone pudła”, to jej ciotki. Miało być ślicznie.

Był Mieczi rejent i... „porucznik artylerii”. Bardzo żałuję, że nie byłam. „Obsmiały” się człowiek.

Z Krzycką jestem w zgodzie. A jednak ona pierwsza to zaproponowała. Siedzę między nią i Jarzębińską. Pod względem wiedzy dopełniamy się znakomicie. Żeby nas tylko nie rozsadzili...

Ojciec jakoś się wymówił i nie pojechaliśmy do

Gdyni. Po aptece wcale się nie pokazał w domu, bo bał się pewnie, żeby mu nie robiła wyrzutów. Nie miał się czego obawiać. Jestem za bardzo dumna, żeby mu wypominać. Teraz go już więcej nie poproszę, dopóki sam mi nie powie.

Wejherowo, 12 grudnia 34 r.

Dziś siostra powiedziała, że od 21 wakacje. Mamusia myśli, że może na Gwiazdkę wyjedziemy z tatusem do Koronowa. Cieszyłabym się tylko z tego względu, że Koronowo blisko Torunia, no i w Toruniu mogłabym spędzić jakiś tydzień. Zobaczyłabym Bożenę i Toruń w zimie. Bardzo jestem ciekawa, jak wygląda ogród pokryty śniegiem.

Co też teraz robią znajomi z pływalni? Bożena pewno się uczy, a Zdżicha jest w restauracji. Zaionc pewno też się uczy, albo pisze listy do domu. „Maciek” spędza czas w koszarach. Bidny, jakoś nie mógł dać sobie rady z maturą. A przecież na takiego straszniego osła znów też nie wygląda. Dymirski na pewno czyta. A może jest w mieście? „Czemp” uganiania się po Szerokiej a „Wąsik” farbuje wąsy o jeden ton ciemniej. Tak już chyba więcej nie znam. Bo dawną i nie-miłą przeszłość się nie liczy.

A Ilcewicz? Ilcewicz jedzie w piątek do Brodnicy z „Dziadami”.

Bob! Co ty myślisz o Ilcewicu? Na pewno to co i ja. Ze jest miły, dobry w ogóle. Mamusia mówi, że artysta może się tylko ożenić z artystką???!!!

Nonsens! Kto to wymyślił?

Ja się tak oburzam, że mógłby ktoś pomyśleć, że sama chcę wyjść za Ilcewicza.

Wejherowo, 18 grudnia 34 r.

Nie mam zielonego pojęcia, co zrobić z Gwiazdką. Ale — grunt się nie przejmować.

Wejherowo, 23 grudnia 34 r.

Jutro Wigilia. Mamusia pojechała dzisiaj do Torunia. Jest już pół do siódmej. Jest pewnie teraz w Bydgoszczy, a za pół godziny będzie w Toruniu. Mamusia wyjechała tym samym pociągiem, którym jechaliśmy na wakacje. Jutro wysyłam do mamusi paczkę. Posyłam taką szklaną bombonierkę i mnóstwo innych rzeczy.

Tatusiowi robię zakładkę skórkową i daję krajobraz zimowy w ramkach.

Od mamusi dostałam ten blok z papierem listowym. Ogromnie się ucieszyłam.

Jakoś wcale się nie cieszę na Gwiazdkę. Dzisiaj już ubierałyśmy u Fraji choinkę. Jutro rano na naszą kolej. Jeszcze jutro muszę wysłać list do Jadzi. I paczkę też. A we wtorek dać paczkę Fraji, a Jarzabkowi chciałam też posłać. Oj...

Strojna z I-ej miała sześć cwajerów¹⁾. Będę miała z nią ciężką robotę. Postanowiłam jej udzielać korepetycji bezpłatnie.

Wejherowo, 24 grudnia 34 r.

Dziwna naprawdę Wigilia. Najpierw podarunki, potem kolacja, i mamusi nie ma. Wnet pójde do pokoju.

Właściwie nie potrzebowałabym pisać co dostałam, bo przecież jestem sobą. Ale gdybym się na tym opierała miała, nie potrzebowałabym w tym zeszytce wcale pisać.

A więc dostałam zegarek, bransoletkę, pierścionek z aquamariną, aparat fotograficzny i książkę. Czułam się dosyć dobrze. Staralam się nie myśleć o tym, że mamusi nie ma, bo ładnie by było, gdybym się wśród najbardziej pogodnego nastroju rozbeczała. Myślałam, co też robią znajomi, albo w ogóle ci, którzy są mymi „bratnimi duszami”.

A więc najpierw kategoria pierwsza. Leon. Jest albo u siebie w domu, na wsi (co byłoby wskazaniem), albo gdzieś na Wigilii u państwa, gdzie jest w cha-

¹⁾ Mowa zapewne o dwójkach (z niem.)

rakterze nauczyciela i flirtuje z siostrą swego ucznia. Czemp. On chyba dziś nie będzie się uganiał po ulicach, więc pewnie też siedzi w domu. Zaionc. On na początku wakacji przyjechał do Torunia. Teraz jest w domu, przy choince i ogląda narty, które na pewno dostał. „Wąsik”. Uganiania się z jakąś wymalowaną panną po ulicy albo po parku.

A teraz „bratnie dusze”.

Dymirski. On spędza wieczór albo w domu, albo wśród oficerów.

Ilcewicz. Siedzi przy oknie i patrzy jak w innych domach zapalają się choinki. Albo jest gdzieś na proznej kolacji, uśmiecha się, prawi komplementy, śmieje się gdy trzeba, a jest poważny gdy chwila tego wymaga. On śmieje się też, gdy jest jakiś głupi żart, bo tak trzeba, bo pani domu śmieje się. To jest tzw. salon. A potem przechodzą do innego pokoju, gdzie jest choinka, którą tylko z daleka oglądać można. Uważam, że Ilcewicz wolałby tysiącrotnie obserwować przy oknie choinki w obcych domach jak znaleźć się wśród towarzystwa.

A może woli jednak być w tym wesołym gronie i przez to zapomnieć choć na chwilę o swych smutkach. Piszę o nim tak dużo, bo on ma chyba najsmutniejszą Wilię.

A teraz Bożena, która przecież jeszcze zupełnie nie jest moją bratnią duszą, a jest mi bliższa jak zwykli znajomi. Ona na pewno przykładowie siedzi w domu, gra na fortepianie i śpiewa do tego koledy.

A Krzycka, tę zupełnie nie wiem do czego zaliczyć, bo znów do tej kategorii co Bożena, to nie, bo Bożena jest mi bliższa. A więc Krzycka spędza Wilię w licznym i wesołym towarzystwie, rzadko wspominając o zmarłej matce i flirtując, jeśli się znajdzie sposobność.

Dziś kończę okres III-ci.

Wejherowo, 25 grudnia

Zaczynam okres IV-ty.

Tak trochę niby śnieg popaduje. Teraz czekam na Fraję i damy sobie podarunki. I właściwie powinnam dziś dostać paczkę od Jadzi i list od mamusi. Ale pewnie w pierwsze święto nie roznoszą poczty.

Ciekawa jestem czy obydwie Stefy do mnie napiszą i czy Witold i Jochu dołączą swe listy do listu mamusi.

Wczoraj przyszedł do mamusi list i dwie pocztówki. Będę je musiała posłać do Torunia. A może przy okazji poślę paczkę. Bożena jeszcze nie przysłała kartki z życzeniami. Jestem zdziwiona.

Pocziwe Frajsko. Byłam wzruszona jej podarunkiem. Bardzo się cieszę, że mamy wakacje.

Ciekawa jestem co teraz w Toruniu robi mamusia. Pewnie gra na fortepianie, którego ja się jakoś doczekać nie mogę i który tatuś mi obiecał na pewno na drugą Gwiazdkę. Hm, roczek czasu. Zdążyć chyba oświecić, umrzeć i zostać pochowana, a na moim pogrzebie będą grali pieśni pogrzebowe na... fortepianie!

Wejherowo, 26 grudnia 34.

Jestem oszołomiona. Dostałam dziś pocztówkę od Bożeny i od... Leona! Podał adres w nadziei, że napiszę list. Ale ja napiszę także kartkę i na tym koniec. Pocztówka była napisana oficjalnie, z adresem do domu i ukłonami dla mamusi. Właściwie jestem niezadowolona, że napisał. Życie zaczęło mi się już układać spokojnie, a ten pewno znów wprowadzi zamieszanie i niepokój.

Jestem strasznie ciekawa czy jeszcze napisze, a jak tak, to co? Ja uważam, że jeśli zerwałam z nim, a on przez nie odpisanie zgodził się z tym, to i koniec. Chyba nie potrzebował przysyłać życzeń.

Aha, i jeszcze coś. Tatuś oddał mi te pocztówki, a potem, jak przeczytał zapytał:

— Od kogo te pocztówki?

— Od Bożeny życzenia — odparłam wymijająco.

— A ta druga? — indagował.

— Od jednego kolegi z pływalni — palnęłam.

No bo jak miałam powiedzieć? Przecież on nie jest

nauczycielem chłopców, w pływalni nawet nie był, i właściwie czyrń był?

Tatusiowi się dzisiaj pewnie oczy trochę otworzyły. Pewno myślał, że jego dzieciak — córka nie ma aż takich znajomych. A szkoda. Wolałabym, żeby jeszcze zawsze myślał, że jestem dziewczynką, a nie panią. Jestem pewna, że to odkrycie sprawiło mu niemiłą niespodziankę.

Zacząłam już o nim zapominać. A teraz, chociaż tylko z ciekawości, muszę o nim myśleć. Ale tam! On jest tylko moim znajomym, bo przecież „bratnie dusze” mam tylko dwie: Dymirski i Ilcewicz, i to mi na razie wystarcza.

Jestem ciekawa co on ma mi do powiedzenia po tym liście, gdzie... powiedziałam mu trochę prawdy. Naprawdę intrygujące.

Czy też Dymirski zaprosi nas na konie, jak na drugi rok przyjadę do Torunia? Właściwie nie wiem czy by wypadało, bo przecież jestem już duża. Witold też, ale on jest chłopcem.

Tak, to „wypadanie” jest naprawdę plagą dla dorastających pańienek. Ale jednak strasznie bym chciała pojechać na „Wiernym” albo na jego „Sultanie”, bo, o ile się nie mylę, jego koń tak się nazywał. Gdyby mi kazali wybierać między koniem a fortepianem, to nigdy bym się nie zdecydowała. A jednak u licha, mamusia jest szczęśliwcem, że jest w Toruniu.

Może chodzić po mieście, rozmawiać z Ilcewiczem i Dymirskim. Z tym ostatnim chodzić do koszar, oglądać konie, chociaż uważam, że mamusia mało uwagi na to zwraca, a wolałaby iść z Dymirskim na dancing i potaćzyć, bo on podobno dobrze tańczy. Hm. Ciekawa jestem czy się z nim na wakacjach spotkam, ale pewnie tak.

Przypomina mi się jedno zdanie z listu Witolda. „Dymirski wcale nas na konie nie prosi, ale pewnie jak Ty przyjedziesz, to zaraz przyleci”. I to — Ty — było podkreślone. Śmieszny bubek przypuszcza, że...!

Gdzieżby taki stateczny człowiek. Tylko taki wariat Leon może zgłupieć.

A propos Leon. Jego pewnie nie zobaczę na wakacjach, bo skończy 5-ty kurs, no i ajda! W świat! A ja mówię — bravo!!!

Wejherowo, 27 grudnia 34 r.

Bardzo się cieszę, że dostałam tego Rodenstock'a²⁾. Toż to będzie używanie w Toruniu. W pływalni uwieczni sobie Zaionca, Czepa, tych, którzy skaczą z trampoliny. Będę fotkowała ogród z wszystkich możliwych i niemożliwych stron, całą kompanię kolegów Witolda, no i Bożenę i Zdzichę i w ogóle cały Toruń.

²⁾ Zapewne marka aparatu fotograficznego.

Postanowiłam zrobić zabawne fotki z Basią, Włodkiem, z chłopcami. Tylko obawiam się, że będę musiała jeszcze sporo czasu poczekać.

Czuję się świetnie. Jestem prawie cały dzień sama, bo wolę miłe towarzystwo albo żadne. Zresztą lubię szalenie sama być. Prawie cały czas czytam i gram.

Wejherowo, 29 grudnia

Wczoraj dostałam list od mamusi i od Witolda. Teraz czekam listu od Jadzi i Bożeny. Ewent. od Leona, ale to wątpliwe. On przecież nie wie, że mamusia jest w Toruniu, i będzie się bał napisać do domu. A chyba będzie dość mądry i nie napisze pod adres do Krzyckiej, bo może się domyśleć, że na wakacje wyjechała. Ale są głowy i główki.

Sama nie wiem czy bym się ucieszyła, gdyby napisał. Z jednej strony tak, bo byłaby ciekawość, a z drugiej strony nie, bo byłaby chęć skończenia ze wszystkim. Dawniej całą tę historię traktowałam o wiele poważniej, a teraz uważam to sobie za ot, taki epizodzik wakacyjny. I rzecz ujęta z tej strony przedstawia się dla mnie o wiele lepiej i korzystniej.

Dzisiaj idąc do szkoły spotykam Stojną z matką, która mnie zatrzymała i pytała, czy bym mogła udzielać córce korepetycji. Była trochę niespokojna, pewno myślała, że będzie musiała płacić. Widziałam, że była wzruszona, a ja bardzo się cieszę, że nie wzięłam opłaty.

Wezmę się ze Stojną porządnie do roboty, a pod koniec roku będzie moja uczennica miała średnie świadectwo, bo przecież zaraz tak wszystko nie nadrobimy, bo ona musi zdawać jeszcze z zeszłego półroczka.

Bardzo bym chciała uzyskać w szkole miano doskonałej, bezpłatnej korepetytorki. Bo takie płatne, to zawsze się znajdują. Chciałabym mieć dużo uczennic i mieć cały tydzień zajęty lekcjami.

Alę czy i to nie jest marzeniem ściętej głowy? Obawiam się, że tak.

Wejherowo, 30 grudnia 34 r.

Jutro będę miała sporo listów do wysłania. A więc do mamusi i Witolda, do cioci Marii i Bożeny.

Nie jestem jeszcze zupełnie pewna czy posłać Leonowi kartkę z życzeniami noworocznymi, czy nie. Zapytam tatusia. A jednak okropnie głupio się urządziłam, posyłając mu kartkę tylko z życzeniami świątecznymi.

(C.d.n.)

Na podstawie relacji Macieja Gwiazdy, Edmunda Wyszeckiego, Jana Będzińskiego, Zbigniewa Raczkiewicza, Mariana Raczkiewicza, Stanisława Wawrzynowskiego, Mariana Pawlaczyka, Franciszka Gburka i własnej — opracował doc. dr habil. Zygmunt NarSKI (Narloch), były dowódca 1 Morskiej Kompanii 1 Morskiego Batalionu Szarych Szeregów w Gdyni.

Pierwsza Morska Kompania Szarych Szeregów

Zygmunt NarSKI

DLACZEGO TAK PÓZNO?

Minęło 37 lat od zorganizowania w Gdyni w okresie niemieckiej okupacji 1 Morskiej Kompanii Szarych Szeregów wchodzącej w skład 1 Morskiego Batalionu Szarych Szeregów. Po tylu latach publikujemy w dużym skrócie jej historię. Dlaczego tak późno?

W pierwszych latach po oswobodzeniu przynależność do Szarych Szeregów, podporządkowanych Związkowi Walki Zbrojnej a później Armii Krajowej, budziła nieufność ówczesnych władz w kraju. Wielu członków naszej kompanii z tego względu zatajało swą przynależność do tej organizacji. Z tego powodu nawet dzisiaj niektórzy żołnierze Szarych Szeregów nie zgadzają się na ujawnienie swej przynależności do naszej kompanii.

W późniejszym okresie, gdy doceniono wkład Szarych Szeregów w walkę wyzwoleniczą, bierność członków kompanii sprawiła, że nie podjęliśmy inicjatywy opublikowania naszej historii.

ATMOSFERA LAT WOJENNYCH W GDYNI

W połowie 1941 roku, kiedy rozpoczęła działalność pierwsza kompania, Gdynia była już w dużym stopniu zasiedlona przez Niemców sprowadzonych z Rzeszy. W centrum Gdyni słychać było wyłącznie język niemiecki. Polacy zostali wysiedleni. Pozostali tylko ci, którzy byli niezbędnie potrzebni jako siła robocza. Pewna ich część zmuszona została do podpisania niemieckiej listy narodowościowej, tak zwanej eingedeutsch. Gdynia stała się ważną bazą niemieckiej marynarki wojennej i silnym garnizonem niemieckim. Składał się on z dużych jednostek policji, wojsk przeciwlotniczych, artyleryjskich, piechoty i przede wszystkim marynarki wojennej. Najgroźniejsi dla ludności polskiej byli Niemcy, będący poprzednio obywatelami polskimi. Zнали oni nasz język i próbowali wejść do polskiego ruchu oporu jako konfidenci gestapo.

Niemcy zmuszali Polaków do podpisywania niemieckiej listy narodowościowej. Opornych całymi rodzinami wysyłali do obozów, między innymi do Potulic. Presja hitlerowska na pozostałych w Gdyni Polaków była tak wielka, że wszelki opór wydawał się bezsensowny, skazany na niepowodzenie. W tej sytuacji działalność konspiracyjna była trudna, a walka zbrojna prawie niemożliwa. Każdy, kto wstępował do ruchu oporu, narażał się na śmierć. Mimo to młodzież gdyńska zaczęła się organizować i przystąpiła do walki z najeźdźcą nie mogąc liczyć na żadną pomoc z zewnątrz.

KTO O NAS PISAŁ?

Na temat batalionu i 1 kompanii Szarych Szeregów w Gdyni ukazały się następujące wzmianki w literaturze:

1. Leon Lubecki, w pracy pt. — Harcerze Wybrzeża w walce z okupantem w latach 1939—1945, Gdańskie Zeszyty Humanistyczne, rok V — 1962, nr 8/10, powołując się na dokumenty i relacje harcmistrza Henryka Szymańskiego i Zygmunta Tanasia, pisze na stronie 72:

„Na przełomie 1941/1942 r. Komendant THH (Tajnego Hufca Harcerzy), Henryk Szymański, za pośrednictwem Zygmunta Narlocha, członka Szarych Szeregów, nawiązał kontakt z „Andrzejem” podporządkowując THH Związkowi Walki Zbrojnej”.

„Andrzej” (kapitan Józef Olszewski) był dowódcą ZZW na okręg północnego Pomorza.

Relacja ta nie jest prawdziwa. Zygmunt NarSKI (Narloch) w okresie okupacji nie znał Andrzeja, chociaż o nim słyszał.

2. R. Bolduan i M. Podgóreczny w książce „Bez mundurów” (1970 r.) wspominają o batalionie Szarych Szeregów w Gdyni.

3. Dr Konrad Ciechanowski, w książce „Ruch oporu na Pomorzu Gdańskim 1939—1945”, MON, str. 267, wzmiankuje o batalionie i o 1 kompanii, wymieniając nazwisko jej dowódcy.

4. Maciej Gwiazda w artykule pt. „Z działalności ruchu oporu na Wybrzeżu Gdańskim”, Dziennik Bałtycki, nr 218, z dnia 15.9.1974 r., podaje bardziej szczegółowy opis zdarzeń dotyczących batalionu.

5. Alojzy Mendlewski, w książce „Neugarten 27” (1974 r.), str. 349, także wspomina niektóre fakty odnoszące się do batalionu Szarych Szeregów w Gdyni.

O 1 MORSKIM BATALIONIE SZARYCH SZEREGÓW

Batalion składał się z trzech kompanii. Jednostki w ten sposób nazwane tworzyły zwarte grupy żołnierzy kadrowych o różnej liczebności. W zasadzie przyjmowano strukturę organizacji trójkowej. To znaczy kompania składała się z dwóch plutonów, a pluton z dwóch drużyn. Zatem drużyna powinna liczyć 3 żołnierzy, pluton — 7, a kompania 15 żołnierzy. W praktyce kompanie liczyły więcej członków.

Działalność batalionu zapoczątkowały spotkania młodzieży harcerskiej już w kwietniu 1940 r. Batalion Szarych Szeregów wyłonił się z drużyny harcerskich w Gdyni, głównie z 1 Morskiej Drużyny Skautów i plutonu, który brał udział w obronie Wybrzeża. Pluton ten walczył pod dowództwem porucznika harcmistrza Bolesława Polkowskiego aż do zajęcia przez Niemców Oksywia. Batalion okrępił dopiero w lipcu 1941 r.

Na czele okręgu gdyńskiego Szarych Szeregów stanął Łucjan Cyłkowski. On to nawiązał kontakty z ZZW i podporządkował wojskowo Szare Szeregi tej organizacji. Kontaktował się z dowódcą ZZW w Gdyni Adamem Feiglem i dowódcą północnego okręgu pomorskiego kapitanem Józefem Olszewskim.

Dowódcą batalionu Szarych Szeregów w Gdyni był Maciej Gwiazda. Jednostka ta składała się z kompanii: Jana Kaszuby, Kazimierza Garbego (później Zygmunta Garbego) oraz Zygmunta Narskiego.

Pierwsza kompania batalionu składała się z 4 plutonów. Dowódcami poszczególnych plutonów byli: Edmund Wyszecki, Zbigniew Raczkiewicz, Harry No-

wakowski i Stanley Nowakowski. Dwaj ostatni byli obywatelami Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Pluton Z. Raczkiewicza umiejscowiony został w centrum Gdyni, pozostałe miały swoją siedzibę w Małym Kacku.

Latem 1942 r. za pośrednictwem Witolda Nickiego, zastępcy komendanta Tajnego Hufca Harcerzy, została skierowana do kompanii drużyna Jana Będzińskiego z THH, która przekształciła się w dodatkowy pluton. Była to drużyna uzbrojona, składająca się z żołnierzy powyżej osiemnastego roku życia, z siedzibą na Grabówku.

Według danych Macieja Gwiazdy batalion liczył od 150 do 170 żołnierzy. Według mojej oceny 1 kompania batalionu składała się z 64 żołnierzy oraz 18 żołnierzy plutonu Janka Będzińskiego. Liczyła więc 82 żołnierzy.

Do batalionu Szarych Szeregów w Gdyni między innymi, według naszego rozeznania, poza członkami 1 kompanii (nazwiska członków 1 kompanii zostaną podane później), należeli:

Bogusław Adamczak, Łucjan Cyłkowski, Henryk Daneman, Edmund Dylewski, Witold Dziurdzia, Bogusław Fiszer, Maciej Gwiazda, Franciszek Gburek, Zbigniew Gizek, Włodzimierz Jacewicz, Józef Kołacki, Konrad Łąkowski, Felicjan Łada, Nikodem Matuszkiewicz, Mackowiak (imię nie znane), Witold Nicki, Edmund Nowak, Henryk Pronańtis, Jadwiga Rotecka (Szewczuk), Czesław Szlachcikowski, Stanisław Wanago, Franciszek Wysocki, Jerzy Wojciechowski, Henryk Wawrzynowski, Bernard Szczeblewski, Jan Kaszuba, Leszek Zdrojewski, Kazimierz Garbe, Zygmunt Garbe, Waclaw Rydelek, Bolesław Piotrowski, Alojzy Voigt, Stanisław Żółtaniecki, Aleksander Gorczyński.

Obok trzech kompanii batalionu w jego skład wchodziły trzy grupy specjalne, na których czele stanęli byli podoficerowie floty: Franciszek Wysocki, Stanisław Żółtaniecki i Aleksander Gorczyński. Otrzymywali oni zadania specjalne bezpośrednio od Bernarda Myśliwka, wizytatora Szarych Szeregów na Pomorzu.

KONTAKTY Z TAJNYM HUFCEM HARCERZY

Tajny Hufiec Harcerzy zorganizował się wcześniej niż batalion Szarych Szeregów w Gdyni. Już 15.11.1939 r. z inicjatywy Witolda Nickiego powstała Tajna Rada Harcerzy. Tajny Hufiec Harcerzy zostaje formalnie powołany w dniu 1.1.1940 r. Na jego czele stanął Henryk Szymański, Witold Nicki został jednym z jego zastępców.

W początkach 1942 r. nastąpiło porozumienie między THH a Szarymi Szeregami w Gdyni oraz podporządkowanie Związkowi Walki Zbrojnej. Henryk Szymański w wyniku tego porozumienia zaczął współpracować z Łucjanem Cyłkowskim i Bernardem Myśliwkiem.

Jesienią 1941 r. Zygmunt Narski nawiązał kontakt z Witoldem Nickim, zastępcą komendanta THH. Zapoczątkowało to współpracę między 1 kompanią Szarych Szeregów a THH. Rezultatem tej współpracy było wspomniane włączenie latem 1942 r. do 1 kompanii drużyny Jana Będzińskiego. Oddział ten ze względu na posiadane uzbrojenie miał być użyty do akcji zbrojnej.

CHARAKTER POLITYCZNY SZARYCH SZEREGÓW

Batalion Szarych Szeregów w Gdyni nie miał charakteru politycznego. Wszyscy jego żołnierze kierowali się głębokim patriotyzmem. Nie dzieliły nas waśnie polityczne.

Akcentując apolityczny charakter batalionu Szarych Szeregów w Gdyni i patriotyczną postawę jego członków, chcielibyśmy powiedzieć, że 1 kompania składała się prawie wyłącznie z żołnierzy pochodzenia proletariackiego.

Ośrodkiem agitacji lewicowej w 1 kompanii był pluton Edmunda Wyszeckiego, który wręcz orientował się na zwycięstwo i współpracę ze Związkiem Radzieckim.

JAK TO SIĘ STAŁO?

Jak to się stało, że batalion Szarych Szeregów w Gdyni został unicestwiony przez gestapo, które aresztowało pod koniec 1942 r. około dwustu członków Związku Walki Zbrojnej i Szarych Szeregów. Były

to aresztowania niezwykle. Zdaniem Macieja Gwiazdy sprawę tę zapoczątkowało ściganie Bernarda Myśliwka, który opuszczając Chojnicę schronił się w Gdyni. Poważną rolę odegrało też działanie konfidentów gestapo Witolda Świętochowskiego i Huberta Dobrowolskiego, którzy zostali członkami kompanii Szarych Szeregów Zygmunta Garbego.

Duże znaczenie dla dekonspiracji Szarych Szeregów w Gdyni miało przywłaszczenie przez Zygmunta Garbego części planów pancernika „Gneisenau”. Był on zatrudniony w arsenale Kriegsmarine, w którym dokonywano napraw okrętów wojennych. Między innymi remontowany był wspomniany pancernik w połowie 1942 r. W związku z tym dowództwo niemieckiej floty przysłało do arsenału dokumentację pancernika. W ten sposób do rąk Garbego dostał się plan centralnego sterowania artylerią pancernika. Plan ten za pośrednictwem Heleny Gwiazdowej został przekazany Cyłkowskiemu, który skierował go do Warszawy.

Po wykryciu tego gestapo przypuszczalnie rozpoczęło systematyczną inwigilację wszystkich osób w arsenale, które miały styczność z planami. Prawdopodobnie obserwowany był Zygmunt Garbe. Bernard Myśliwek po ucieczce z Chojnic zamieszkał u Bolesława Piotrowskiego w Wielkim Kacku. W dniu 29.9.1942 r. przeniósł się do mieszkania Garbego w Orłowie. W dniu następnym w nocy do mieszkania Garbego wtargnęło gestapo. Zygmunt Garbe, jego ojciec oraz Myśliwek zostali aresztowani. Był to początek wielkich aresztowań. Objęły one kadrowy oddział ZWZ oraz drugą i trzecią kompanię 1 batalionu. Następna fala aresztowań dotycząca 1 kompanii Szarych Szeregów i członków THH miała miejsce w dniu 26.11.1942 r. Aresztowano wówczas 12 żołnierzy pierwszej kompanii.

Pierwsza kompania Szarych Szeregów została wykryta przez przypadek. Aresztowani Jan Kaszuba i Jerzy Wojciechowski, czekając w korytarzu gestapo w Gdańsku na przesłuchanie, wymienili zdanie na mój temat. Wojciechowski powiedział Kaszubie żeby nie wspominać o Zygmuncie Narskim. Zauważył to gestapowlec. Torturowani przyznali się do istnienia 1 kompanii. Wiem to od nich, mówiliśmy na ten temat w obozie koncentracyjnym w Stutthofie.

Prawdopodobnie gestapo zaczęło sprawę rozpracowywać. W wyniku tego nastąpiły aresztowania.

Aresztowani zostali: Zygmunt Narski — dowódca kompanii, Edmund Wyszecki — dowódca 1 plutonu, Zbigniew Raczkiewicz — dowódca 2 plutonu, Jan Będziński — dowódca 3 plutonu, Harry Nowakowski — dowódca 3 plutonu oraz Czesław Będziński, Hilary Nowakowski, Marjan Pawlarczyk, Henryk Smieszchalski z 5 plutonu, Jan Berg i Kazimierz Skrzypczak z 3 plutonu i Piotr Drzewicki z 2 plutonu.

Wszyscy aresztowani z 1 kompanii powrócili do domu. Wszyscy przetrwali obozy koncentracyjne.

Pluton 4 Stanleja Nowakowskiego nie został zdekonspirowany i nikogo nie aresztowano.

OGÓLNA DZIAŁALNOŚĆ 1 KOMPANII

Dnia 1 lipca 1941 r. Maciej Gwiazda wpisał Zygmunta Narskiego na listę Związku Walki Zbrojnej. Po zaprzysiężeniu polecił mu zorganizowanie kompanii Szarych Szeregów. Zygmunt Narski w okresie przedwojennym był drużynowym III Morskiej Drużyny Skautów im. Józefa Conrada, drużyny składającej się wyłącznie z portowych gościów.

Kompania utworzona w lipcu i sierpniu 1941 roku otrzymała kryptonim: pierwsza eses. Należeli do niej wyłącznie żołnierze powyżej 20-tego roku życia, w tym także i tacy, którzy służyli w wojsku polskim i brali udział w kampanii wrześniowej.

Działalność 1 kompanii polegała na następujących czynnościach:

a. Szkolenie wojskowe i obywatelskie.

Szkolenie wojskowe miało w zasadzie charakter teoretyczny. Tylko 3 i 4 pluton, dysponujący ręcznym karabinem maszynowym, przeprowadzał ćwiczenia z bronią. Dotyczyło ono przeszkolenia piechoty na podstawie regulaminów wojska polskiego oraz zaznajamiania się z armią niemiecką na podstawie wojskowych książek niemieckich.

b. Kierowanie wywiadem

Każdy pluton miał za zadanie obserwowania określonych obiektów wojskowych. Zbieranie informacji

dotyczyło ruchu wojsk niemieckich, szczególnie okrętów wojennych i policji, wyposażenia wojskowego, stanu liczebnego wojsk, nastrojów wśród Niemców, produkcji wojennej. Do obowiązków dowódcy kompanii należało przydzielanie zadań wywiadowczych, kontrola ich wykonania oraz przekazywanie meldunków do batalionu.

c. Oddziaływanie propagandowe

Propaganda kompanii polegała na przeciwdziałaniu przyjmowania niemieckiej listy narodowościowej, rozgłaszaniu wiadomości z pola walki, rozwoju czytelnictwa polskiego, skłaniania do uczenia dzieci czytania i pisania po polsku.

d. Oddziaływanie na Niemców

Żołnierze kompanii znający język niemiecki mieli za zadanie oddziaływać propagandowo na Niemców (między innymi także na marynarzy niemieckich okrętów wojennych znajdujących się w remoncie).

e. Udzielanie pomocy Polakom

Kompania organizowała pomoc odzieżową i pieniężną dla potrzebujących Polaków. Mielśmy także możliwość przekazywania kartek żywnościowych. W miarę możliwości ukrywaliśmy Polaków poszukiwanych przez gestapo.

f. Sabotaż

Żołnierze kompanii pracujący w przemyśle, na przykład w stoczniach, otrzymywali zadania prowadzenia sabotażu. Kompania agitowała także za zwolnionym wykonywaniem pracy.

Spotkania dowództwa 1 i 2 kompanii odbywały się co miesiąc, a często co tydzień w składzie: Maciej Gwiazda, Jan Kaszuba, Jerzy Wojciechowski, Nikodem Matuszkiewicz i Zygmunt Narski. Przedmiotem odpraw były polecenia wykonywania określonych zadań oraz sprawozdania z działalności.

PLUTONY BRACI NOWAKOWSKICH

Bracia Harry i Stanley Nowakowscy byli dowódcami 3 i 4 plutonu 1 kompanii. Już nie żyją. Dlatego trudno dzisiaj przedstawić ich działalność oraz pełny skład osobowy plutonów. Plutony te liczyły 30 żołnierzy. Dzisiaj możemy wymienić następujące nazwiska żołnierzy:

Harry Nowakowski, Stanley Nowakowski, Jan Berg, Berg (brat Janka, imię nie znane), Leon Bronk, Gajdka (imię nie znane), Ludwik Walasik, Stanisław Wawrzynowski (również członek Gryfa Pomorskiego).

Bracia Nowakowscy zorganizowali plutony w Małym Kacku na tak zwanej Psiej Górze, gdzie mieszkali. Były to plutony przeznaczone do działania zbrojnego, bowiem Nowakowscy dysponowali ręcznym karabinem maszynowym oraz rewolwerem.

Jako obywatele amerykańscy cieszyli się większą swobodą niż pozostali Polacy. Mieli łączność z obcokrajowcami, których wojna zastała w Gdyni. Z tego powodu do ich zadań należało przekazywanie danych o losie Polaków, o terrorze niemieckim — za granicę. Nie umiemy powiedzieć, czy ich informacje docierały do adresatów i czy zostały wykorzystane dla sprawy polskiej.

Bracia Nowakowscy kierowali również działalnością wywiadowczą. Akcję tę inspirował Ludwik Walasik, były bosman harcerskiego jachtu „Poleszuk”. Przybył on z Warszawy jako specjalista wywiadu. W tej akcji brał także udział Stanisław Wawrzynowski i Leon Bronk. Obaj należeli również do Gryfa Pomorskiego.

Celem akcji wywiadowczej były między innymi sprawy gospodarcze i żywnościowe. Głównie chodziło tu o penetrację magazynów żywnościowych. Nadto zdołano spenetrować stocznię gdańską a także urządzenia wojskowe w Babim Dole na Kępie Oksywskiej.

Rozpoznanie wywiadowcze bracia Nowakowscy przekazywali Ludwikowi Walasikowi, który miał bezpośrednie kontakty z ZWZ w Warszawie.

Po wyzwoleniu bracia Nowakowscy wyjechali do USA i tam zmarli.

PLUTON ZBIGNIEWA RACZKIEWICZA

Pluton Zbigniewa Raczkiewicza liczący w początkowym okresie 15 żołnierzy, miał swoją siedzibę w centrum Gdyni. Z zapisów, jakie prowadził, wynika,

że w dniu 26.7.1941 r. wstąpił na propozycję Zygmunta Narskiego do ZWZ. Przez niego został również przysiężony. Dnia 9.8. tegoż roku otrzymał przydział do 1 kompanii Szarych Szeregów. 17.8.41 r. został mianowany dowódcą plutonu. Pluton zorganizował w ciągu sierpnia i września tegoż roku. W związku z planowaniem przekształcenia 1 kompanii w batalion, w dniu 11.10.41 został mianowany dowódcą kompanii i otrzymał polecenie jej zorganizowania. W dniu 29.11. tegoż roku złożył na ręce Zygmunta Narskiego przysięgę jako dowódca kompanii. Daty te są ściśle. Zostały zaszyfrowane przez Z. Raczkiewicza.

Do oddziału dowódcy kompanii Zbigniewa Raczkiewicza (według tego, co dzisiaj można odtworzyć) należeli:

Zbigniew Raczkiewicz, Marian Raczkiewicz, Adam Bednarski (zginął w powstaniu warszawskim), Artur Bukowski (zginął w powstaniu warszawskim), Piotr Drzewiecki, Leon Frąckowiak, Edmund Mechliński, Karol Morawczyński, Konrad Łądkowski, Kazimierz Skrzypczak, Jan Szuca — również członek Gryfa Pomorskiego, aresztowany za kontakty z przewodniczącym Rady Naczelnej Gryfa Pomorskiego ks. płk. Józefem Wryczą.

Oddział Z. Raczkiewicza szkolił się wojskowo. Nie był jednak przeznaczony do bezpośredniej walki z okupantem. Jego zadaniem było oddziaływanie na Polaków w celu zachowania polskości, podtrzymywania wiary w zwycięstwo oraz pielęgnowanie języka polskiego. Był to oddział nastawiony głównie na propagandę. Nawet cele wywiadowcze, które dotyczyły w tym przypadku centrum Gdańska i Wrzeszcza schodziły na plan dalszy. Oddział więc organizował nasłuch radiowy i zajmował się kolportażem wiadomości wojennych. Do jego zadań należało również gromadzenie książek polskich, tworzenie biblioteki polskiej i wypożyczanie książek. Członkowie oddziału nie zajmowali się bezpośrednio nauczaniem języka polskiego, lecz propagowaniem i organizowaniem nauczania. Chodziło o to, aby dzieci polskie zmuszane do uczęszczania do szkół niemieckich, umiały czytać i pisać po polsku.

Innym zadaniem oddziału było udzielanie pomocy potrzebującym Polakom. Dotyczyło to kartek żywnościowych, lekarstw, pomocy medycznej, odzieży, poszukiwania schronienia dla ukrywających się. Jeden z członków oddziału, Karol Morawczyński, pracował w aptece przy ul. Świętojańskiej w Gdyni. On zajmował się organizowaniem lekarstw i pomocy medycznej dla chorych Polaków.

Drużyna Jana Szucey, do której należał Marian Raczkiewicz, z uwagi na zatrudnienie jej członków w porcie i stoczni gdyńskiej, przeznaczona była między innymi do działalności sabotażowej. Sabotaż miał miejsce głównie na kutrach i trawlerach w Gdyni. Po unicestwieniu batalionu Szarych Szeregów Marian Raczkiewicz i Jan Szuca kontynuowali akcję sabotażową. Dotyczyła ona między innymi wadliwego spawania kotłów okrętowych.

We wrześniu 1943 r. za pośrednictwem tajnych listów Marian Raczkiewicz nawiązał kontakty z więźniami (członkami ZWZ i Szarych Szeregów) obozu koncentracyjnego w Stutthofie. Efektem tych kontaktów było udzielanie pomocy więźniom obozu w postaci żywności, odzieży i lekarstw. W listopadzie 1944 r. M. Raczkiewicza złapała policja niemiecka z paczką odzieży i żywności. Skazany został na trzy miesiące obozu. Wyrok został zawieszony, wzrosło zapotrzebowanie na siłę roboczą w stoczni gdyńskiej.

PLUTON EDMUNDA WYSZECKIEGO

Pluton Edmunda Wyszeckiego liczył 18 żołnierzy. Dzisiaj można wymienić następujące nazwiska jego członków:

Edmund Wyszecki, Jan Wyszecki, Franciszek Wyszecki, Józef Bagiński, Bieszkie (imię nie znane), Bernard Elwarę, Bernard Formella, Augustyn Grubba, Wacław Lewandowski, Jan Młodziński, Antoni Neller, Wacław Popiołkiewicz, Bronisław Szymański, Jan Szymański.

Członkowie plutonu byli przeważnie Kaszubami z Małego Kacka, Wielkiego Kacka a także Redy i Zelistrzewa.

Rodzina Edmunda Wyszecckiego poniosła w okresie okupacji bolesne straty. W listopadzie 1939 r. zostali zamordowani w Piaśnicy wuj i kuzyn, o tych samych imionach i nazwiskach, Augustynowie Wyszeccy, za działalność w Polskim Związku Zachodnim. W 1940 r. zginął w obozie koncentracyjnym kuzyn Augustyn Uller.

Zadaniem tego plutonu było m. in. oddziaływanie na okoliczne wsie kaszubskie w kierunku stwarzania oporu przeciwko okupacji niemieckiej. Oddziaływanie to sięgało aż do Pucka. Pod tym miastem we wsi Zelistrzewo Edmund Wyszeccki dysponował lokalem, w którym od czasu do czasu przebywał podczas niedziel i świąt kierując tam propagandą. U jego rodziców spotykali się okoliczni Kaszubi, których przygotowywano do pracy konspiracyjnej. Pluton umiejscowiony był w Małym Kacku.

Specjalnością plutonu był jednak wywiad i sabotaż. Głównym celem pracy wywiadowczej było zbieranie informacji o ruchu niemieckich łodzi podwodnych i ścigaczy zawijających do Gdyni. Ponadto pluton prowadził na terenie portu w Gdyni propagandę antyhitlerowską oraz agitację polityczną wśród robotników, a Edmund Wyszeccki znając język niemiecki oddziaływał na niemieckich marynarzy. W kompanii był specjalistą od propagandy wśród Niemców.

W latach 1939 do 1943 E. Wyszeccki ukrywał u siebie Józefa Ullera, byłego członka Związku Polaków w Gdańsku, prezesa Gminy Polskiej w Sopocie, skazanego przez władze hitlerowskie na karę śmierci. Za ukrywanie zbiega groziła mu kara śmierci.

Do najczęstszych sabotaży prowadzonych przez pluton należało topienie kabli okrętowych na terenie stoczni oraz defektowanie urządzeń na okrętach podwodnych, jak zawory wodne, rozdzielacze, tablice elektryczne, wyłączniki i różnego rodzaju zegary. Przedłużało to pobyt łodzi podwodnych w porcie.

W stoczni remontowej w Gdyni pod dowództwem Edmunda Wyszecckiego działała grupa sabotażowa, do której należeli również członkowie innych plutonów 1 kompanii. Byli to Piotr Drzewiecki, Jan Szuca, Kazimierz Skrzypczak, Edmund Graczykowski, Bernard Formella oraz Bieskie (imię nie znane). Między innymi mieszał on morski piasek z tawotem, a potem wprowadzali go do łożysk silników i maszyn jako smarę. Mieli również dostęp do remontowanych łodzi podwodnych podczas zakładania prowizorycznego oświetlenia, gdzie prowadzili podobną działalność. Uszkodzono akumulatory łodzi podwodnych wbijając w ich dno gwoźdźdki o papy, które z czasem powodowały powolny wyciek kwasu. W akumulatorach remontowanych powodowali krótkie spięcia, co wykrzywiało wewnętrzne przegrody akumulatorów i przyczyniało się do szybkiego ich zużycia.

Latem 1942 r. E. Wyszeccki spowodował poważną awarię dźwigu na doku pływającym przeznaczonym do remontów łodzi podwodnych. Odkotwiczył dźwig, który zsunął się i uderzył o burtę doku skrzywiając os. Był to nowy dok przyholowany z Kilonii. Przerwa w pracy dźwigu trwała dwa tygodnie.

PLUTON JANA BĘDZIŃSKIEGO

Do plutonu Jana Będzińskiego należało 18 żołnierzy. Dowódcami drużyn w plutonie byli: Hilary Nowakowski, Marian Pawlaczyk, Henryk Smieszchalski. Do plutonu należał także Czesław Będziński.

Nie możemy w chwili obecnej podać pozostałych nazwisk żołnierzy plutonu. 5 z nich w dalszym ciągu nie życzy sobie ujawniania przynależności do batalionu.

Pluton Jana Będzińskiego został włączony do 1 kompanii latem 1942 r. Przeszedł on do kompanii z THH. Jak to się stało?

W owym czasie układaliśmy raczej nierealne plany walki zbrojnej, a nawet zorganizowania oddziału partyzanckiego z zamiarem okopania się w Borach Tucholskich. Rozmowy na ten temat prowadził Zygmunt Narski z Harrym i Stanleyem Nowakowskimi oraz z Witoldem Nickim. Rezultatem tych rozmów było włączenie do 1 kompanii uzbrojonego plutonu Janka Będzińskiego. THH nie pozwalał wówczas na walkę zbrojną.

Pluton ten dysponował między innymi następującą bronią; pistoletem vis wzór 35, kaliber 9 — 6 sztuk oraz parabellum kaliber 9 — 8 sztuk.

Broń ta pochodziła m.in. ze Szkoły Morskiej, gdzie ukryta została przez obrońców Gdyni. Jan Będziński wykopał tam 16 pistoletów vis, z czego 6 przeznaczył dla plutonu, pozostałe przekazał Łucjanowi Cytkowskiemu. Część broni zdobyła grupa w składzie Jan Będziński, Henryk Smieszchalski, Hilary Nowakowski i Marian Pawlaczyk, część otrzymano od przechowujących ją Polaków.

Broń była przechowywana okresowo u Mariana Pawlaczyka w koksowni przy obecnym placu Grunwaldzkim 16 oraz u Hilarego Nowakowskiego przy ulicy Olsztyńskiej. Następnie broń przekazano do magazynu centralnego w złomowcu przy ulicy Czerwonych Koszyków 66. Pieczę nad magazynem miał Henryk Smieszchalski.

Pluton Jana Będzińskiego składał się z trzech drużyn. Każda drużyna dzieliła się na dwie sekcje. Dowódca plutonu podlegał bezpośrednio dowódcy 1 kompanii Szarych Szeregów. Ponadto pozostawał on w bezpośrednim kontakcie z Witoldem Nickim oraz z wywiadem ZWZ za pośrednictwem Franciszka Gburka.

Do podstawowych zadań plutonu należało:
— walka zbrojna z faszystowskim okupantem,
— zorganizowanie grupy partyzanckiej z ośrodkiem działania w Borach Tucholskich,
— wywiad wojskowy,
— sabotaż gospodarczy,
— zdobywanie oraz magazynowanie broni i amunicji.

Członkowie plutonu Jana Będzińskiego trzykrotnie porzeczali pasy dynamometrowe w podłogach osobowych na bocznicach kolejowych w Chylonii. Przewiercali też otwory w cysternach do benzyny, zatykając je korkami. Wstrząsy w czasie transportu powodowały wypadanie korków i wyciek benzyny.

Hilary Nowakowski, dzięki zatrudnieniu w urzędzie kastralnym, przekazywał wywiadowi ZWZ informacje dotyczące obiektów wojskowych, rządowych i miejskich miasta Gdyni. Tą samą działalnością zajmował się Marian Pawlaczyk pracujący w prywatnym biurze mierniczym Karla Hildebrandta w Sopocie.

Ponadto pluton zajmował się kolportowaniem kartek żywnościowych preparowanych przez Henryka Smieszchalskiego. Niewykorzystane kartki żywnościowe z nieaktualnymi datami przejmował w zarządzie miejskim, prał je i prasował.

KOŃCOWE LOSY I KOMPANII

Po aresztowaniach pod koniec września 1942 r. dowódca 1 kompanii wydał rozkaz o chwilowym zaprzestaniu działalności konspiracyjnej. Było to konieczne ze względu na bezpieczeństwo członków kompanii, którzy mogli być obserwowani. Rozważaliśmy sprawę ucieczki w Bory Tucholskie lub do Warszawy. Ostatecznie zostaliśmy w Gdyni z uwagi na rodziców. W wypadku ucieczki rodzice zostaliby aresztowani.

Po aresztowaniach w końcu listopada 1942 r. członków 1 kompanii reszta żołnierzy tej jednostki utraciła łączność z dowództwem.

W 2 plutonie działała samodzielnie drużyna Jana Szucy. Nadal też działał 3 i 4 pluton braci Nowakowskich pod kierownictwem Stanleya Nowakowskiego. Oddziały te za pośrednictwem Ludwika Walasika utrzymywały łączność z Warszawą, z ZWZ. Po aresztowaniu L. Walasika latem 1943 r. plutony te zaprzestały działalności. Niektórzy żołnierze 5 plutonu Jana Będzińskiego weszli w skład Tajnego Hufca Harcerzy.

DZIAŁALNOŚĆ OBOZOWA SZARYCH SZEREGÓW

Gestapo umieściło więźniów ruchu oporu z Gdyni w obozie koncentracyjnym w Stutthofie i zgrupowało ich na jednym bloku. Byli oni tak zwanymi więźniami policyjnymi, gdyż śledztwo w sprawie ZWZ i Szarych Szeregów jeszcze trwało. Gestapo potrzebowało świadków w przypadku odkrycia dalszych konspiracyjnych jednostek. Sprzyjało to nam w organizowaniu grup konspiracyjnych. Członkowie ruchu oporu z Gdyni podejmowali w obozie pracę kulturalną i polityczną organizując wieczornice z czytaniem wierszy, ze śpiewami i odczytami. Za tę działalność 26 Polaków wysłano karnym transportem do Mauthausen, do karnej kompanii, w tym Jana Kaszubę, Zygmunta Garbego i Zygmunta Narskiego.

Już w pierwszych miesiącach pobytu w obozie Zygmunt Narski zorganizował tak zwaną grupę junacką. Nawiązał do grupy młodzieżowej zorganizowanej w grudniu 1941 roku w Gdyni pod nazwą Związku Juna

ctwa Polskiego. Celem tej grupy było szkolenie instruktorów do przyszłej pracy wychowawczej wśród młodzieży na zasadzie samowychowania przez pracę. Była to grupa polityczna o poglądach postępowych. Liczyła ponad 20-tu członków. Z tej grupy aresztowani zostali: Edmund Wyszcecki, Zbigniew Raczekiewicz, Jerzy Wojciechowski i Zygmunt Narski. W obozie stawialiśmy się na samopomoc koleżeńską.

Zasadniczą grupę sabotażową i ruchu oporu zorganizował w obozie z członków ZWZ i Szarych Szeregów Józef Zmudziński oraz Stefan Szczukowski. Do niej ponadto należeli: Jan Będziński, Franciszek Gburek, Wiktor Januszewski, Brunon Jasiński, Marian Pawlaczyk, Zbigniew Raczekiewicz, Czesław Szlachetkowski, Edmund Wyszcecki, Władysław Zóltaniecki i Zygmunt Narski.

Członkowie tej grupy zatrudnieni w tak zwanym „Gewehrkommando” — w zespole karabinowym — naprawiali broń palną i rowery wojskowe.

Edmund Wyszcecki, gdy został skierowany do sortowania rowerów na złom względnie do naprawy, rozpoczął działalność sabotażową. Pomagali mu w tym Zbigniew Raczekiewicz i Wiktor Januszewski. Według jego relacji złomował dziennie od 5 do 12 sztuk dobrych rowerów. W ten sposób wyeliminował od października 1943 r. do czerwca 1944 r. około dwóch tysięcy rowerów wojskowych.

Organizatorem sabotażu był porucznik Józef Zmudziński. Zjednał sobie szczególnie młodzież Szarych Szeregów. Stanowisko majstra pozwalało mu ingerować w sprawy innych wydziałów, gdzie majstrami byli członkowie ruchu oporu z Gdyni, wstrzymywać tempo pracy oraz udzielać wskazówek odnośnie eliminowania karabinów na złom.

Na strzelnicy żołnierze Wehrmachtu przestrzelali wyremontowane karabiny, kwalifikując je do wysyłki na front. Więźniowie obsługujący tarcze strzelnicze stosowali na jeden przestrzał kilka tarczy, w wyniku czego pewien procent karabinów nie był przestrzelany. Bywały również odrzuty

karabinów ze strzelnicy do skorygowania luf, które po rzekomej korekcie przechodziły wprost do magazynu.

Sabotażu dokonywano także w biurze komanda kierowanego przez sędziego Stefana Szczukowskiego. W porozumieniu ze Zmudzińskim przejmował fałszywe sprawozdania dziennie z wykonanej produkcji. Dzięki temu można było niszczyć części zamienne do karabinów.

Józef Zmudziński organizował także wtajemniczonych do obrony obozu na wypadek próby jego zniszczenia i likwidacji więźniów przez Niemców. Do wtajemniczonych w ten plan należeli: Ryncki (imię nie znane), Felicjan Łada, Wasyl Korszunow z Leningradu, Stiołka Sośnik z Moskwy, Paweł Malinin z Krymu i Duńczyk Martin Nills.

Najważniejszą sprawą z tego punktu widzenia stało się zabezpieczenie broni, której wyboru dokonywali magazynierzy: Edmund Orłowski i Józef Ptach. Oni czuwali nad tym, aby kilkadziesiąt najlepszych karabinów zawsze pozostawało w magazynie. Zebrano także trzy skrzynki amunicji, które zostały umieszczone w magazynie Ptacha. Izolowane nożyce do ciecła drutu pod napięciem zabezpieczył tokarz Sowisło w swoim warsztacie.

POLEGLI ZA POLSKĘ

W latach 1939—1945 oddali swe życie za Polskę następujący członkowie Szarych Szeregów:

Bernard Myśliwek — wizytator Szarych Szeregów

— w gestapo gdańskim w 1942 r.,

Bogusław Fiszer — w gestapo w 1943 r.,

Konrad Łętowski — w obozie Stutthof w 1943 r.,

Edmund Nowak — w obozie Stutthof w 1943 r.,

Łucjan Cyłkowski — dowódca Szarych Szeregów na

okręg gdyński — w obozie Stutthof w 1944 r.,

Witold Nicki — zastępca komendanta THH — w

obozie Stutthof w 1945 r.,

Benedykt Porożyński — komendant środowiska har-

cerskiego w Gdyni przed wojną — w obozie

Stutthof w 1945 r.

Cześć Im i chwala!

Pst...!

Wyzwać?

Kilkunastotonowa skoda Byczkowskiego ma człuchowską rejestrację EC 5797. I to już wystarczy, by zawiany operator ładowarki wyzwał kierowcę od Kaszubów, przedtem jeszcze uszkadzając mu akumulatory udaną szarżą na burtę wozu. Byczkowski o tym opowiada, aż pieni się ze złości i przysięga, że do Dryszczowa więcej po buraki nie pojedzie.

Tymi zdaniem (wyłuszczone drukiem) rozpoczyna Jerzy Gonczarski (Sztandar Młodych nr 264) obszerny artykuł, zatytułowany „Na buraki”, o kampanii cukrowniczej w Rejewcu, gdzie skierowano kierowców z północy kraju — Człuchowa, Koszalina i Bytowa. Obszerny artykuł, ale tematu ze wstępu nie rozwinęto. Nie wiem zatem czy redaktor Gonczarski podziwia wiedzę pijanego operatora, który wie gdzie m.in. Kaszubi mieszkają, czy przestrzega, że rejestracja samochodowa nie jest adekwatna, gdyż na historycznej ziemi kaszubskiej mieszkają również nie—Kaszubi. Z powodu tej rozterki może by tak wyzwać Jerzego Gonczarskiego od warszawiaka i dziennikarza, wszak publikuje w prasie i to w stolicy. A może zapomnieliśmy co znaczy słowo: wyzwać.

Dykteryjka

„Wydawnictwo Morskie”, wydawca książki Leona Roppla pt. „Dykteryjki i historyjki z Kaszub” zamieściło na okładce notę o książce i autorze tak nieporadną, że bez komentarza zamieszczam ją w całości.

„Leon Roppel, urodzony w Wejherowie (1912), mimo że z wykształcenia germanista (z Uniwersytetu Jagiellońskiego), jako główną pasję życiową traktuje własną twórczość literacką i pracę nad publikacjami rodzimego dorobku ludowego. Wydał antologię poezji i prozy kaszubskiej: *Ma jesma od morza*, 1963, *Wybór współczesnej poezji kaszubskiej*, 1967, *Z księgi mądrości morzan*, 1965. Przygotował do druku i opatrzył wstępami krytycznymi twórczość F. Ceynowy, H. Derdowskiego, A. Majkowskiego, J. Karnowskiego, L. Heykego i F. Sędzickiego. Na własnym koncie: zbiór opowiadań kaszubskich *Na jantarowym brzegu* (1939 — niestety nakład prawie w całości spalony przez hitlerowców na wejherowskim rynku); *Nasze strone* (1955 — wspólnie z Janem Piepką); obrazki sceniczne: *Zeglarz złocistego słońca* (o Janie z Kolna) i *We żniwa*.

Obecny tom jest plonem zbieracza różnorodnych ciekawostek, dotyczących znanych i nie znanych Kaszubów, głównie humorystycznych, świadczących zarówno o poczuciu humoru Roppla, jak i bohaterów jego dykteryjek”.

KLABATERNIK

Goscëna

Marian Jeliński

– Leonie, jô dali nie jida przë taczi zawiejio. Stôri Gôsk sę z naji wësemieje. Të doch wiész, że on le mręczi.

– Jak jô dôł słowo, tã trzeba jic.

– Të doch jes Mack, zdrzë le jak to dmie. To doch ni ma co.

– Może jo? Ni ma nic widzec. W ti chojnie bëło wiele lepi. Më jész zblądzymë... Jidzemë nazôd!

Wiatër dął corôz barzi, tak że jima bëło ceżko klëknice na głowie utrżëmac, a kożechama szarpało jaż strach. W dludzië skorznie snięg są na szczëcë nie nabierôł.

– Jidzemë më tãz richtich?

– Mëszlë jo.

Tim razem jim sę udało. Wëszlë na drogę w lese. Po bokach stojalë chójci, chtërynych zelonosc na tle sniegu bëła richtich widzec. Wkoło pòchnęło żëwicą, jaż sę letko oddichalo. Może temu zrobiło jim sę szkooca.

– Wiele më ju jidzemë nazôd?

– Może trzësta łokców.

– Wiész tã, ta koszla z tego lnianëgo plôtna, co Ceszka mie zrobiła, tak grzeje. Ona doch tam pewno czekô. Pamietôs z tã, jak stôrô Gôszczëno wrzuca w grób nieboszczkowi Steńclowi sztëk te plôtna i rzekła: Terôz to ce złodzyju rëszi! Mie sę stało jakos głupie, ale w głëpotë jô nie będe wierzył. A zresztą, jô doch tego nie wziął, le Ceszka mnie to dała, a ona bë mia umrzëc, doch je takô dobrô dlô mie!

– Tam będziesz w głëpotë wierzył. Jidzemë do Gôsków, bo jész doma będziesz le blôs o tim mëślił.

– Tak to pewno będe nôlepi. Chcemë le nawrôcëc!

Znôw jidą pod górkę. Lasem szło sę dosc dobrze, le że jich cos w te stronë cygnęło, wieldzima krokama znôwu wëszlë na pola, gdzie wiatër dął niemiłoserno.

– Na ognia, je to zawiejia. Zdrze le, to od razu nasze spôrë zawiëwô. Przë taczi pogodze to nie je, żebë psa z budë wënëkac.

– Cëz tã powiôdôs z, jaż tak zle to nie je. Zdrze le, widzisz tã ja?

– Cëz tã tam znôwu widzisz?

– Tę wisznją, co kole drodzi rosnie.

– Aaa, wej le – tam ona je! Widzisz tã, më ju jesmë z drodzi zlazly. Człowiek bë mógł zblądżëc i jész gdzie w torfkulę wpadnąc.

– Może to drzewko sę tak noma odwzãczëło za to, że jô go łóńsciego roku nie oblómôł. Më szlë wtenczôs z Ceszka, którą jô potkôł, jak ona szła z koscoła, i tã jô ji tak towarzil ob drogę. Zdrzë, a ta wisznia całô w kwiatach. Biôlich jak ten snięg dzysô. Tã jô pomëslôł, może bë zrobic Ceszce bukiet i rzekł:

– Ta wisznia doch piękno wëdrzy, nië? Jak jô bë cã tak dôł wiele biôlich kwiatów, cëz bë tã na to rzekła?

– Jak bë to bëłë taczë z rutów, jak mróz ob zëmę malëje, tã jô bë wżëła, a ti wiszni dôj poku.

Të jô przëdrzôł sã ji w oczë, a miała je niebiescië, prawie jak woda w gowidlińscim jezozrze. Ona sã usmiëchnęła, a jô rozmiôł, że wszëtko je w nôlepszym porzãdku. W uszach jô poczuł jakãs dzywną muzykë i pomëslôł, jak noma razem je dobrze, cziëj człowiek może sôm ze sebie cos taciëgo wëdostac, cziëj to mu je dônë. Jednym razem Ceszka odskoczila od mie i zaczęła te biôli kwiatë do se przëgarniac. Wëdrzalo to doch piękno. W tim jô zrozmiôł skąd ta muzyka szła. Pszczolë oblatiwalë tã wisznję. Jô rzekł:

– Ceszko, uwazi, bo pszczolë majã żãgla.

– Abe tã jes syn pszczelarza, abo nie? – ona na to:

– Widzisz tã, przë tim to wëszlo, że tã miôł barzi pszczól strach jak ona.

– Czasem mlodi człowiek sę kãsk ozabôdzi, ale może przez to je weselszi?

– Më ju jesmë dzël uszli. Zdrze le, tu ju rosnie ten môli dąbk.

– A wej le jo! A ten, jô mëszlë, dërch je taczë môli. Bo jak jô bëł môlim knôpem, on tãz taczë bëł.

– Sôrenowim ognią! Zawialo to doch.

– Stój le Władis, më, mëszlë, nie pudzemë... copniema sę nazôd?

– Wiész tã, jô sôm nie wiëm, co bë nôlepi zrobic, ale będzemë më doma sedzelë?

– Cëcho le, to mëst kãsk opuscëło! Terô, Władis, chcemë le zadawac. Nôprzôd dwaji wlezmë do Gôska, a tã pudzesz dali. Tã wiész, dwaji le sã dwaji.

Sztachëtë Gôskowëgo plotu bëłë wnet czësto zawiônë sniegiem, ale od wrotów bëło widzec kãsk turë, bo choc droga bëła pewno szëflowónô, zawiãło ją nazôd. Jak wlezlë na podworzë Leonowi zrobiło sę jakos dzywno, ale Władis cygnął smialo do przôdku, do dwierzi. Odmeknął

butnowé dwiérze i włóžł w dóm, gdzie z boku stojała zelonô miotła, zrobionô z brumły. Przędzrôł sę na swoje skorznie, ale nie baro bëło co otrze pëwac. Tymczasem León zaklepôł do dwiérzi i chtos odemkł.

– Niech bëdże pochwalony Jezus Christus.

– Na wieczy wieków.

Wleżł do wieldzi jizbë, w chtërný bëła całô rodzyna Gôsków. Stari Gôsk sedzôł pod piéckiem na dludzi drewniane ławie, a kol niego Gôszczëñô cos opocëszku czëtała, a jiny slëchelë. Knôpi przëwitalë sę z wszëstczima. León zarôz oboczil swoję Ceszke, chtërnô sedzała kqsk stôdë, ale jak oni wleżłë, ona sę jakbë zaczerwieniła na gëbie a ji oczë ozëlë. Leónowi zrobiło sę ceplô i on sobie pomëslôł: To doch je cëdownô, że Ceszka je na tim swiece i że më sę należłë. To ji jedno przëdzrzenië wëstarczy, żebë zabôczëc o całi mordëdze i zlim tego swiata choc na chwilë.

– Zebujta że te kozëszcza – rzekła Gôszczëñô.

León scygnął kozëch i dôł go Ceszce, chtërnô przë nim stojała. Wladis przë podôwaniu swojégo kozëcha rzekł:

– Wez go le barzi na wiërzch, bo jô chcę jic zarô dali.

– Le przesëdz kqsk – rzekła Gôszczëñô.

– To dzys je apartnô pogoda – rzekł Gôsk.

– Jo, kqsk to dmie, ale czë sę dobrze oblecze, të to nie je tak zle – rzekł Wladis.

– Przë niedzeli młodi mogq so kqsk wëlecec – rzekła Gôszczëñô.

– Ko to je tëż prôwda. Dërch za piéckiem tëż ni moze sedzec.

– Moze wa bë so czego napila – spita Gôszczëñô.

– Wiesz të, białko, jô tak prawie mëslôł, żebë sę przëdało co ceplëgo wëpic.

– Ko czë wë tak mëslice, të më do towarzëstwa tëż cos wëpjemë – rzekł León.

– Ceszko, moze të bë zagotowa mlëka i robiła go z miodem i z masłem – rzekła Gôszczëñô.

– Jo, mëma, jô zarô jidë. A je tam drewków dosc? – spitała Ceszka.

– Knap moze na to mlëko wëstarczy, ale przëdałobë sę tëż w piécku podskacëc – rzekła Gôszczëñô.

– Moze jô bë tich drewków halôł – rzekł León.

– Jak chcesz, të biëj. W tich twojich skorzniach të bëdziesz raz dwa tam – rzekła Gôszczëñô.

– Na mie je ju czas – rzekł Wladis.

Przë oddôwónim kozëcha Ceszka rzekła:

– Ce to pewno cygnie do Weñtowi Reginazi?

– Lëdze wiedzq – rzekł Wladis. Pożegnôł sę i wëszëł.

León tymczasem podłôžil na odzin w blace i rëszil biegiem do szaura za drzewem. Jak on brôł drewka na łono, w nôrce zauwazil topór do czosani drzewa i pomëslôł:

– Chto wie, czë taczë topórë mielë Kaszëbi, czij oni z naszym królem Jónem lełë Tërków pod Wiedniem. Moze ju nië, ale pewno niejeden Krzëzôk taczim nôrzedzem oberwôł. Do cze richtich sq te wojnë, że jeden muszi zabijac drëdziego? – mëslôł León po drodze, jak szedł z łonem drewków do dóm.

– Jô widzë, że të, Ceszko môsz prawie to mlëko zagotowónë – rzekł León włôzajac do kuchni.

– Ko jak të w tim blace podchajcowôł, të to sę pôli jaz wëje.

– Moze to trzeba kqsk rusznikiem rozgarnac, bo jész mlëka wëczipi – rzekł León i chutko złapil Ceszke za remiona i zazdrzôł gëbok w ji niebieszi oczë. Ceszka sę wërwała i rzekła:

– Uwôzi, bo mlëko pudze z dëmem!

León sôłł sobie na ruczki i rzekł:

– Të wiësz, co të richtich gotëjész?

– Pewno że mlëko, a potemu dodóm miodu i masła.

– Mlëko z miodem! Wej le, to nasza kaszëbsko zemia nie je takô biednô?! Tu tëż je mlëko i miód. Mlëko po to, żebë zëc, żebë na ti naszi zemi roslë fest chłopi, a miód po to, żebë lëdze moglë nalezc sladkosc w tim zëci, żebë i fest chłopi nie obrôcelë sę w bandziorów i nożowników, co zëjq z dnia na dzëñ, bez cëlu. Czij jô jem przë ciebie, Ceszko, të mie miodu ni ma nôt, bo të jes wiëcy wôrt niż nôlepszi miód.

– Biëj le të, të tak rozmiësz bakowac.

– Łoñsciego roku mie pomôgôł Jôzka, ale terô Agnesa je umarlô, a z Jôzka osta le połowa. Pamietôsz, të, jak to bëło na tym Steñclowim pogrzebie? Jô nie wiëm sôm, co z tq koszłq zrobic po tim, co sę z Agnes stało, ale w gusła jô wiëzrec ni mogë – gôdôł cecho Ceszce.

– Të doch wiësz, że jô tego na naszë lechi nie chca!

– Boze, Ceszko, jakbë të umarla? Nië, nië, co jô gôdóm, të ni mozesz umrzëc! Pôdzi jô zëjë i të bëdziesz zëla.

– Smiercy ni ma co szëcac, ona przindze sama. W naszi wierze më doch nie umrzëmë. Leónie, më bëdzëmë zëlë wiecznô!

– Czeszko – rzekł León i przëgarnął jë do se, ale ona zaczęła kaszlac sëchim kaszlem i chtos szedł do kuchni. León sôłł nazôd na ruczki.

Małô Lënka przë włôzanim do kuchni rzekła: – Mëma mie przëstała. Moze jô môm tobie. Cesza, co pomóc?

– Wezë halij sztëk wëdzy z miodem z ti sledzôwczu do mlëka.

– Jak më bëdzëmë rêchtowelë ten miód, jô cë powiëm bajkë, jak to bëło z przmiëlem i z pszczołq – rzekł León.

– Powiëdżë.

– Wej le, Lënka je ju nazôd, ona pewno tëż bëdze chcala to czëc – powiedzôł León. – Przmiël chcôł sę ôzënic z pszczołq. Czij kwitłô nôwiëcy kwiatów i bëł nôwiëksi zbiór miodu, przëlëcel do pszczołë i rzekł:

– Slëchëjle, pszczoło, më bë sę moglë dwoje ôzënic!

Pszczoła na to:

– Dopiere nië, bo je za wiele robotë, jaz pôżni po zbiorze miodu.

Przëszła jesëñ i przëlecala pszczoła do przmie-

la, chtëren sedzôł zgruzdżiony, czësto zgrabłali na głowici.

– Stëchëjle, przmiëlu, terô më bë sę mogłë żenic – rzekła pszczoła.

Na to przmiël:

– Dej mie puku, bo jô spadnę.

– No terô to bë ju bëło fërtich. Dodac kask masła i rozlôc do tasków – rzekła Ceszka.

– Możemë jim zaniesc, co Lënko?

Terô znôwu sedzelë wszëscë razem i popijalë.

– Jo, to je richtich cos dlô mnie – rzekł Gôsk.

– Terô jô sę nie dzewię, że choc krôsniëta szukałë miodu czë jich kolega bëł czëżko chori.

– Powiëdzte, tata, jak to bëło – rzekła z zaczekawienim Lënka.

– W szafie w garku stojôł miód. Jednym razem pod podłogã zrobił sę jaczis dzywny trzôsłk i bëło czëc tacji słabi głos: – Péter je ju dôł. Chtos odemknął dwiërczi od szafë i w garku nalôżł złotą taseczkë. Tim razem biëdnë krôsniëta nie zdążëlë wëlëczëc chorëgo koledzi miodem.

Goszczëno zdrzała na Lënkë i rzekła:

– Wej le, jak to dzewczë czekawë stëchö. Ono mô jaż gëbë odemkły.

– Białko, ni môsz të jescze cos od tich marchewników. Mie cos na te nasze orzechë zachëcëło – rzekł Gôsk.

– Lënko, biëjże halij ten wiëdżi talërz ful orzechów z komorë – rzekła Goszczëno.

– Może po tich orzechach dostóniemë wiëkszã moc, żebë w raze czëgo dobëc tego kosë, bo ten zbójca sę w tich stronach tłëcze – rzekł Gôsk.

– Bożë broń nas od te nieprzëjôcela – rzekła Goszczëno. – Że tëż sę tacji lëdze po tim swiece kręcã.

– Dobrze, że taczim mocnym lëdzóm, co tak drëdzich krziwdzã, Bóg nie dôł wiëdżiego rozëmu – rzekł León na to.

– W pijacczych rodzynach sę różny wërôdcë zdôrżają. Ten zbój zgwołcël swojã sotrë, czëj ona miała 9 lat. Jô nie wiëm, że ta zemia jescze taczich lëdzy nosy – żólëła sę Ceszka.

– To ji mało felowało, a ten Farmelów parobk, bëlbë go hakã zatłukł, ale nicht nie chce miëc prawie człowieka na sëmienim. Ten lôntrus leżôł na ówsu Farmele. Cziëj on włôżôł za tim ówsem po drôbce, ten niebëlnik ripnął go czims aż chłopisko spadło, ale to zmerka jego córka i zaczęła wrzeszczec. Té przëgnôł ten Farmelów parobk z hakã i ten go wele dobël, a potemu związôł linã i chcôł go dac szandaróm. Jak on przëszedł z szandarã nazôd, osta wele ce lina, ale te niekarusa ju nie bëło. Pewno tim razem sôdza nie bëła mu jescze pisónô – opowiôdôł Gôsk.

– Të tak spokójno gôdôsz, że mu nie bëła jesz sôdza pisónô, ale co ten mô lëdzóm szkodë narobionë! Czul të, że on temu Masowie oczë wëbił? To chłopisko pomôgalo cëzym przë budowie, jak jego białka urodzała niesplôdzëwóno sëna – pierwszy dzecko po 10 latach od jich slëbu. Chłop sę wiëce tak ucesził, że wziął o wieczórk jesz jinych z ti budowë i szlë na piwo. Kos sedzôł w të karczmie tëż. Tak Masowa i jemu piwo postawił, choc go wcale nie znôł. To piwo ten

niebëlnik ani pëti wëpił, bo w jego kałdun to jakbë w beczkë bez dna lól i podszedł do Masowë i rzekł: Weżte postaw jész jedno. Masowa sę letko uniósł na stólku, może chcôł mu dac piëniãdze, ale nie zdąził, bo palce Kosa so nalazëlë w jego oczach. Chłopisko jaż zawëło z bólu, a Kos ucekl. Tak Masowa nigdë nie obôczil swojigo dzecka – dokónczëła Gôszczëno.

– A te Lawreńca jak on otlukł w karczmie, tēj dwa miesiãce on nie bëł do nicze – zaczęła Ceszka. – Lawreńc wëpomôgl z biëdë jedno dzewczë, na chtërnã Kos napôd. Ale Kos mu pózni odplacył za to.

– A wele, z tymi Miszkim jak to bëło? – zaczęł Gôsk. – To chłopisko zaszło do naszigo cesli za drzewem na budowa, ale oni so jakos ni mogłë zgodzëc. Zarô potem Miszk wstãpił do karczmië, a Kos tam wele sedzôł. Miszk go nie znôł, a on do niego tak piëkno: – Wóm mëst dzysô lëcho szło?! Czë Kos sę dowiedzôł, jak to bëło, tēj on rzekł: – Nie martw sę, chłopie, jô môm drzewo i jô je sprzedóm. Przindz to jô je ce pokôza. Po drodze on doch pewno te chłopa oglëszil i okrôdł, ale jak Miszk przëszedł do se, Kos leżôł przë nim tëż nibë oglëszony. Za jaczis czas ju Kos nibë przëszedł do se i so pitôł: – Chtëż nas tak ripnął? Ale Miszk ju piëniãdzy ni miôł.

– Temu Steńclowi – zaczęła Ceszka – on złómôł szczëkë i to chłopisko sę lëczëło bez trzë miesãce.

– Kunkla on oglëszil tak, że on bëł dlëgszi czas od se. Tak naprôwdë, to on mô wiele krziwdë ledzóm zrobionë – rzekła Goszczëno.

– Jô woma powiëm, jak to bëło z mojim szwa grem – zaczęł León. – To je, ju kawãł chłopa, tego tam bële chto nie zwiguje, a do biotków on mô tëż dosc wprawë. Rôz on kupil od Lësa bulew, a tēj oni wstãpiele do karczmië na piwo. Lës bëł umëczony i jak kask wëpił zarô zaczął spac. Jaczis jego znajomi zaczęle go budzëc i gadac: – Lësu, pój do dóm. To sę wele Kosowi nie widziało, bo on pewno merkôł, że Lës miôł piëniãdze i chcôł go okrasc. Tak on do te chłopa, co Lësa budzył. Tēj szwagier sę podniósł i do Kosa z pëskiem: Jak chcesz, tēj pój buten. I sę brôł ostrôżno do dwiërczi, a tam zarô Kos wele zmiëkl. On sę pewno na szwagra nie czël, bo oni dwaji sę wcale nie znelë. Kos zaczął: Na co më dwaji sę bëdzemë bilë, lepi sę pogodzëmë, wëpijemë na të czesc i fërtich. I oni zaczęle pic, a potemu szwagier jész z nim zaszedł do jaczis budów, do koleżków Kosa. Tam oni jesz pilë, ale szwagra nie okredlë, choc sę z nim szarpelë. Dzys, czë on bë szwagra spotkôł, tēj on bë mu so choc ukłonił. Szwagier uwôżôł, że jakbë go spotkôł, tēj bë mu gnôtë polómôł.

– On jesz na swojigo nie trafił – zaczął Gôsk. – Jô wiëm, że piërwi bëł tëż tacji jeden podobny. Rôz on wëpił jednému czieliszek wôdczi, a tēj mu tak do oczu zazerôł i rzekł: – Të cë sę pewno nie widziało. Ten mu na to: – Za fejn to doch nie bëło. I cë mu miëdzy slëpia rogiem od tobaczi. On le pôdł i so zalôł krwiã. Potemu ten chłop mu jesz na wiërzch wdzerzgnął, ale od te czasu o tim lôntrusu nie bëło czëc. On ju pewno przebrôł miarë i trafił na swojigo. Ten co

mu tak włēmił, to le podobno bēł taczi sobie chłop.

– Jō mēsłę, że przīndze czas i Kos na swojigo trafi. To doch też le je człowiek – rzekł León.

Wkoło bēło ju cernno. Małima rutoma szarpōł wiatēr. Jednym razem za oknem dalē sę czēc jaczis kroczi. W jizbie zrobiło sę czēsto cēcho. León posēnł sę na swoim stōłku lekko w nōrt jizbe. W Gōskowich oczach wēczuwało sę przerażeniē. Wēcygnł rękę za pieck i złapił kēbk welnē, wiązēdło i spice, a trzimōł w ręce na ławie. Chtos włōzł w dōm i zaklepōł do dwiērzi.

– Chtēz tam? – zawolōł Gōsk.

– Władis – odezwōł sę głos za dwiērzama. León podniōsł sę ze stōłka i odemknł dwiērze.

– Leōnie, poj do dōm. To je na nas czas.

– A to wele mój bracyna nas tak wēstrasził.

– Czemu wēstrasził? Jō sę zastanōwiōm, cēz tu u waji tak cēcho bēło, jak jō włōzł w dōm – rzekł Władis.

– Mē tu prawie gōdelē o Kosu, a złe nie spi – stwierdził León. – Ceszko, dajze mie ten mój kozēch.

Po drodze za kozēchem León tak rzekł do Cezci: – Uwazi na se. Tē doch le jes takō mētlēca, cēz bē tē zrobiła, jakbē ce Kos napōdł. On doch je, mēsłę, natrzasił, bo jak szwagier z nim pił i gōdōł, tē on sę domēsłōł, że to je pewno ten, co swoję sotrę zgwołcył. Mē o tim chidēs gōdelē. Kos sę jemu zapiērōł w żewi oczē i gōdōł: Zabij mie, a jō nie pamiętōm. – Gōdōł to z taczim przekonaniem, że wēzdrzało na to, jakbē on nic o tim nie wiedzōł. Može on nie je richtich w głowie, abo co mu sę tēj stało?! Taką krziwdę jak on zrobił swoji sostrze! Jak bē on tō zrobił tobie, jō bē go, mēsłę, zabił; zebrał lēdzy i go zabił. Szwagier i jiny bē mie pomocē nie odmōwilē. On bē zdzinł, choc bē i jō miōł pōzni żdzinac.

– Leōnie, dēj poku, Bōg gō oszady.

– Može mōsz prōwdę. Cos tacziego dlō nas to bē bēła kara boskō – rzekł León. Przēcēsnił Cezkę do se i powiedzōł: – Bądz z Bodziem. Jak mała a mała pudze tē jō znōwu przīndę. Potem León rēsził do jizbē, zebē podzēkowac za goscēnē i sę pożegnac z Gōskōm. Po wińdzeniu z chēcżów León spitōł Władisa:

– Mōsz tē co twardzyszigo przē se w raze czego?

– Kawalk żelazka jō tu móm, a na nas dwóch bēle plēwka sę nie dō.

– Mōsz prōwdę. Jak tam bēło u Wēntē Dopkēgo?

– Wēnta je chłop w porzādku! Može temu, że mō to samo przezwēstko co mē – zazartowōł Władis.

– A Regina?

– Reginka? Wiēs, ona je jesz mlōdō, i može czekō za krōlem z bajczy. Ale bēło fejn, ni ma co gadac.

– Pewno jo. Trzeba garnac pod chēcż, a wiele nie gadac, bo w tich smiotach to jidze tak czēżko, jakbē z tētu cygnł mocno zaladowōny wōzyk.

– Wōzyk w piōchach trēkac przēsżlobē pewno czēżi, Leōnie!

Szłē jeden za drēdzim wedle jaczigos podwōrzigo. W danach za płotem stojōł budink. Jego fundament i zwele zapadōł snieg, ale czēsc slupów, rygle, czēsc stropów i murbalka z boku posmarowōnō smolą drzewną na czōrno wērazno so odbijale od biōłēgo muru zrobionēgo ze sztekōw i korbōczów, oblepionēch glēnā i okalkowōnēch. Ze strzēnowēgo dachu wēstawōł w gōrę biōły komin, z chtērnēgo sę prawie dēmiło. Z jednēgo małēgo okna, zacygniātēgo gardinama, pōdała smuga swiatła i slabo oswietliwala wisznię, co krōtko tego okna rosla.

– Zdrze le, Władis, jak ta chēcż tu fejn sedzy, jak grzib, co on z mechu wērōstō. Lēdze sedzā pod ceplim piēckiem i jedzā wieczērō, a mē tu o wieczōr pokutējemē.

Władis wiele nie gōdōł, le dzarł do przōdku, smarowōł pod tē wisznię, co jim donād bēła tak pomocnō. Pomału zaczele sę podsēwac pod las. León zaczął jidz pierszi i torowac drogę. W lese szło sę dzel lzi, nie bēło taczich wialdzich smiotów. Terō droga sę roz dwa minēła i przēsżlē do dōm. Pochwōlēlē Boga i wleziē do jizbē.

– A przēsżła wa, wēdrōwczice – rzekła jich matka.

– Jo, mēmko, terō mē jesma nazōd – odezwōł sę León.

– Nie chcelē oni tam waji przē ti nieplēdze wēnēkac – zazartowōł jich ojc.

– Tatku, twoji knōpi nie sā dēcht pēchorzem wēstrasżony. Mēma, mē jesmē glodny jak wilcē – rzekł Władis.

– Chto po wsē chodzy, ten sōm so szkodzy. Mē ju mōma wszētko zjadłē – żartowōł dali jich ojc.

– Wēzta so, tam w kuchni je wieczērza dlō waji – rzekła jich matka. Jak oni wēsżlē, tēj rzekła do swojēgo chłopa: – Wiēs tē, Fręcū, ta Gōskowa Cezka mēsł mō temu naszēmu Leōnowi czēsto we łbie zawrōcony. Tē wiēs, ta jich Agnesa je ju cały szterk umarlō. Lēdze gōdajā, że ona umarla na suchotē, a ta Cezka tēz je mō podobno miec. Ta rodzyna je jakōs slabō na plēca. Zebē on nōma jesz jaczi chorosc do dōm nie przēwlōkl. Wiēs, mie je richtich żōł te knōpa, ale cēz jō biednō mogē mu pomoc

– Jo bialko, wiele lēdzy umiērō na plēca, ale nawetka w roczynach, gdzie lēdze na suchotē umiērājā, niejedny doch sā czēsto zdrōw. A ti Gōsce ze swoim gospodarstwem czēsto dobrze stojā. Može ta Cezka je prawie zdrōw. Ale co lēdze gōdajā mozemē Leōnowi rzec, on doch ju nie je małim dzeckiem, mō oczē a swōj rozēm i niech robi, jak uwōzō.

– Može bē z nim pogōdōł, jak oni sę najedzā. Jak tē mēsżlisz, Fręcū?

– Ko pogōdōc doch mozemē.

Za chwilę wszedł do jizbē León dosc zamēsżlo ny, ale rzekł:

– Jo, terō mē sę ducha zreperowala. Tē, mēma, tak wele o nas dbōsz; ta wieczērza jesz bēła fejn ceplō.

– Ko wejle, choc mēminę robotę widzisz, synku. Mē tu z tatā tak prawie o waji z Cezkā gōdelē. Jak ona sę tam miewō?

– Bóg zapłac, że wa o nas mészlita. To mēma mie zdrów urodza i jô mészlę, że wa mię na nō-gorszego człowieka nie wēchowa. Jem prosti i zdatny, a zēcē koždęgo tļęcze. Mogę bęc wdęcny za to, co wa dlō mnie zrobiła i jak jô będa mógł woma mała a mała pomoc, tē jô a waji nie zabōczę.

– Mē bē chcelē tobie pomoc – zaczęła mēma. – Tē mēst, sēnie, ni mōsz nōlepi trafiony. Gōsce kqsk pōnów szpilejā, ale to nie je nōwōżniējszi. Lēdze gōdajā, że ta jich Agnesa umarła na suchotē, a ta Ceszka tēz je moze miec.

– Mēma, powiedzże, jak jô móm temu zaradzęc. Cēz jô móm zrobic...? Jak jô bē chcōł, że bē ona zēła. Jō nie jem zycher, że ona je chorō, ale ona je takō bladō, a czasem ona dostōnie taczī sēchi kaszel i tē cali sztērk to ję męczi. Jakbē jô chcōł ji pomoc! Ale jak, Boże, jak ji po moc? Móm jô ję ostawic za to, że ona mō moze suchotē. Cēz ona za to moze? Moze człowiek tak zrobic? Jak bē lēdze ji powiedzelē: – León ce ostawił, bo tē mōsz suchotē. Powiedz, mēma, co bē to bēło? Moze jô tēz witro zachorzeję i wszęcē lēdze mię ostawijā. Co jô móm robic? Moze sę modlęc do Boga, żebē on ji dōł zdrowie i żebē miedzē lēdzama na zemi nalōzł sę taczī cobē wēnalōzł jaczi lēk na tē straszna chēre.

– Jo, sēnie – rzekła matka – rōb, jak uwōzōsz, i sę modlē. To je ju pewno czas spac. Władis mēst ju chrapie w swoim werze.

León ukłēknął przē swoim łōzku, zaczął mówic pōcērz i modlęc sę o Ceszķę, że lēdzy chorēch na suchotē i żebē Bóg dōł jaczimuz człowiekowi taczī rozēm, cobē on wēnalōzł lēk na tē chorobę. Potemu on legnął w łōzko, pod pierzynę, ale dlugo ni mógł usnāc. Po dlēgszim czasie jednak spik go zmorzil. Jak on sę reno obudził, przēwitōł go piēkny sloneczny dzień. Tē on sę chutko umēł, oblōkl i rēsził do robotē po zmōwieniu pōcērza.

– Niech będze pochwōlony Jezus Christus – rzekł po drodze matce, chtērna ju bēła wstōnō i cos wiēzła na spicach. W chłēwie León zaczął futrowac chowę. Za jacziś czas przēszedł jęgo ojc i rzekł: – Leónie, biōjże obacz do naszich pszczōł, moze tam trzeba kqsk oczniczi odszēfłowac, abo poprawic dēle na ocznikach.

León rēsził do piēnków z pszczolama, przēszedł przed ocznikama. Na jednym dēlek nie lēzōł richtich, ale dwie dzurci w oczniku bēlē zatkōny papiorem jak trzeba, a przē wiērzchowōnim bēło dobrze oblepionē glēnā. León pozērōł na smarowōna smołā wiērzchlewinę piēnków, chtēr nē razem z częscā piēnków wēzdrzałē jak wieża wojennē. Zēmujācē w tich piēnkach pszczolē przēpominalē mu spijācē wojsko. Moze to sā ti kaszēbsczi wojōcē, spijācy we wieżach wojennych, a nie gdzes pod zēmiā. Jęgo rozmēsziāniē przerwała matka wołanim na frisztēk.

Przē frisztēku jich ojc rzekł:

– Wiēta wa, knōpi, dzys tak fejn swiecy slūńce, moze mē bē zrobiłē pszczolom nowi piēnk na lato. Jō tam móm w błotach takā fejn brzōzķę wēzdrzoni.

– Pewno mozemē jic – rzekł León.

Po frisztēku kqsk poszedzelē, a potemu rēszielē w błota; w wēlnianych rękawicach, z zōgā, szecroczim sydrem bursowim. Jak doszēł do brzōzci, chtērna jic jim pōkōzōł, odkopelē wkōł ni snięg i na wēsokoscē jich pasa od zemi zaczęłē zōgowac.

– Tata, wiele ta brzōza moze miec lat? – pitō León.

– Kol sto będze miała.

Władis tēz włōkl zōgę fest tak, że raz dwa poderznelē drzewię z jedny stronē a potemu z drēdzi i drzewo golnelō o ziemię. León mēsłōł: – Tēli lat to drzewko rosło, mē dostelē go na ziemię i wiēcy ono sę ju nie zazeleni. Pewno ju tak musi bęc; je czas sēniēgo i czas żniw.

– Terō wezta le ten syder bursowi i tē dzurę we wēstrzōdku wēwiercā, a jō pudę do dōm.

Knōpi wzelē sę ostro do robotē, le sę wiōrē sēpatē, czē oni chodzelē wkōł jak w rozwerku i włōklē za brzeszczōnk sydra. Jak brzeszczōnk doszedł do stojów drzewa, skuńczelē sydrowaniē, wzēłē zōgę i odzōgowelē ten kunć drzewa od pnia, potemu szlē z nim do dōm. Doma dlutem prostim i krzēwim, a na kuńcu struzķiem, robilē wēstrzōdk piēnka.

Opowiadanie wyrōznione III nagrodā w I konkursie na utwory pisane po kaszubsku.

Kociewski rok obrzędowy

Longin Malicki

Rozpatrując doroczne obrzędy ludowe, trzeba wyjaśnić, że Słowianie — podobnie jak Germanie — dzielili pierwotnie rok według miesięcy księżycowych, jedynie na dwie pory: zimę i lato; później zaś na trzy pory, bez uwzględnienia jesieni. Ślady tego podziału są jeszcze dziś widoczne w cyklu obrzędowości rocznej.

Następnie wypada dodać, że w obrzędowości tej zawarte są różne składniki: staropogańskie (przebieranie się za zwierzęta, magia wody i ognia, niektórych roślin i drzew, ozdabianie jaj itp.); antyczne (np. święta zmarłych) i chrześcijańskie (szopka, Trzej Królowie, Herody i in.). Do tego dochodzą pewne specyficzne cechy regionalne.

Chryścianizm zmienił wprawdzie kalendarz obrzędowy, ale nie wypenił — a częściowo nawet przejął niektóre przeżytki pogańskie (np. smaganie różgami, majenie domów, święcenie wianków zielonych, jądła, jaj i in.), przystosowując je do własnego kalendarza obrzędowego.

Tak więc przeżytki zwyczajów pogańskich splotły się z obrzędami chrześcijańskimi i współistnieją już przez całe wieki. Przetrwale szczątki obrzędowości ludowej są odbiciem pradawnej kultury pasterskiej i rolniczej i zachowują jej odwieczne doświadczenia.

Na skutek postępującej cywilizacji technicznej, tradycyjne obrzędy i zwyczaje poczęły się zatracać na Kociewiu już z końcem ubiegłego wieku. Pozostałe, obchodzone jeszcze w niektórych miejscowościach, są na ogół ubogie i częściowo zniekształcone.

Tym bardziej należy je sobie przypomnieć, a relikty chronić od całkowitej zagłady, gdyż stanowią one wraz z innymi składnikami folkloru, ważny i barwny czynnik kulturowy regionu.

Zacznijmy rozpatrywać kociewski rok obrzędowy od zimowego przesilenia, które przeobraziło się z nastaniem chrześcijaństwa w święto Bożego Narodzenia. Okres ten obfituje w szczątki bardzo starych obrzędów, sięgających czasów pogańskich.

Do takich obrzędów należą tzw. „gwizdy”, „gwizdory” lub „gwizduchy”, czyli maskary przebierańców obchodzących dawniej w adwencie chałupy na obszarze całego Kociewia. Dochowały się one do dziś jedynie w niektórych wsiach na południu od Starogardu (Czarna Woda, Koteż, Rzeżęcin, Skórcz, Zdroje).

Podstawowymi maskarami w tych podchodach są postacie zwierzęce: koza, bocian, niedźwiedź z przewodnikiem i gdzieś indziej koń z jeźdźcem; dalej zaś dziad z babą, kominiarz, diabeł.

Szczególną uwagę poświęca młodzież przysposobieniu „maszek” zwierzęcych. Przebrany za kozę przyodziewa kożuch odwrócony włosami na wierzch i dzierży przed sobą fantastyczną rogatą maskę; bocian okryty białą płachtą, wysuwa spod niej długie, kłapiące czołobki drewniane; niedźwiedź okryty jest grochocinami lub powróstami słomianymi. Dziad i baba odziani są w różnobarwną odzież dziadowską i zbierają do koszyka ofiarowane im prowianty.

Pradawny ten obrzęd o znaczeniu ongiś agrarnym, zmienił się z biegiem czasu w tradycyjne, barwne widowisko ludowe dostosowane do gustów śródowiska wiejskiego.

Jeszcze od początków bieżącego wieku panował na Kociewiu zwyczaj kołędowania chłopców przed Bożym Narodzeniem — z szopką wypełnioną kukiełkami rzeźbionymi w drewnie lub wykonanymi ze szmatek.



Dawne szopki kociewskie miały kształt niedużej przenośnej stajenki, otwieranej z przodu. Zawieszano ją na sznurkach i noszono na piersiach, dzierżąc chałupy — chłopcy śpiewali kołędy. Dziś spotyka się mniej ciekawe szopki tekturowe z figurkami wyciętymi z kolorowego papieru (Grabowo, Kokoszkowy, Skórcz i in.).

Szopka wywodzi się z średniowiecznych misteriw klastycznych i kościelnych. Przeniesiona na wieś, przekształciła się w małe widowisko dramatyczne o naleciałościach ludowych w charakterze regionalnym.



W wigilię świąt powszechna jest dziś na Kociewiu choinka z świeczkami i przystrojem; niekiedy wieszają się na niej opłatki. Choinka jest nabytkiem nowszym, przeniesionym na Pomorze w początku ubiegłego wieku z Niemiec.

Tradycyjna wieczerza wigilijna niestety zanika; dawniej podawano na Kociewiu 9 dań, m. in. zupę piwną, rybę lub śledzia, kapustę z grzybami, pierogi — czasem żur, barszcz albo zupę owocową.

Charakterystyczne dla tego wieczoru były rozliczne wróżby prorokujące zamążpójście dziewcząt lub ożenek chłopców. Wieczorem stosowano też obwiązywanie drzewek owocowych powrótami słomianymi — dla wymuszenia urodzaju.

W Szczepana (drugie święto) przynoszą w woreczkach lub chusteczkach owies (czasem groch) do święcenia; później obrzucają się nim oraz karmią konie i inwentarz — „aby się zboże rodziło”, a zwierzęta były dorodne. Piewotny sens tych praktyk tkwił w chęci utrzymania ciągłości vegetacyjnej.

W przeddzień Nowego Roku (Sylwester) istnieje dawny zwyczaj „wypędzania starego roku” za pomocą



trzaskania batami, bębnienia, dzwonienia, klekotania drewnianymi kołatkami, bicia w patelnie itp. Jest to magiczne odstraszenie hałasem wszelkiego zła.

Powtarzają się znów przeróżne wróżby dziewcząt z lupin orzechów albo węgielków drzewnych puszcanych na wodę, z lanego ołowiu itp.

Rozpowszechnione są też psoty nocne młodzieży objawiające się smarowaniem drzwi gliną, wyważaniem bram i wrót lub ich blokowaniem, przestawianiem płotów, rozbieraniem i przenoszeniem wozów itd. Wszystko to uchodzi płazem, jako że w Nowy Rok nie należy do nikogo żywić urazy.

Starym zwyczajem praktykowanym tylko we wsiach nadwiślańskich (Lignowy, Pieniążkowo, Komorsk, Warlubie) było wypiekanie „nowego latka” — figurek

ludzkich i zwierzęcych z ulepionego ręcznie ciasta. Używano je dla wróżenia przyszłości a pokruszone dawano do spożycia zwierzętom dla zachowania dobre go zdrowia (zwyczaj znany na Dolnym Powiślu i Lubawskim).

W okresie Trzech Króli kołędowali do niedawna „Trzej Królowie”, zwani też „rogalami”. Byli to parobcy lub chłopcy odziani w długie, białe koszule a na głowach mieli ozdobne „korony” tekturowe; jeden z nich dzierżył osadzoną na kijku dużą, efektowną „gwiazdę” obrotową, podświetlaną od środka. Śpiewali oni kołedy przy wtórce „burczka” (beczulkowaty instrument), za co otrzymywali dary, a zwłaszcza słodkie ciasta w postaci świątecznych „rogali”.

Zazwyczaj w osobnej grupie występowały też „Herody” — parobcy przebrani za żołnierzy, śmierć z kosą, anioła, diabła, króla Heroda. Obchodząc wioski produkowali się z widowiskiem jasełkowym, wygłaszając rymowane oracje i śpiewając kołedy. Po otrzymaniu darów intonowali zwykle następującą śpiewkę:

Za te dari, za kolanda, dzianki wóm,
za nasz pokaz, swe łuznanie ji podzianka dajta nóm.
Już żegnóm, swe życzenia złożyli.
bišta zawdi zdrów ji wesół życie swoje spandziyli.

(wg W. Kirsteina)

Niekiedy grupy „rogali” i „herodów” łączyły się ze sobą i występowały razem. Oba te widowiska obrzędowe nawiązują do kalendarza chrześcijańskiego.

Po tych obrzędach zimowych następuje przerwa, którą ożywia nieco „Gromniczna” (2 lutego). Tego dnia święcą gromnice, którym przypisują siłę magiczną chroniącą od pożaru, gradobicia, chorób itp. Z „Gromniczną” wiąże się też przepowiednie pogody i urodzajów, szczególnie na okres lata. Początek lutego uważa lud pomorski za przełom zimy, zwiastujący zbliżającą się wiosnę.

Ożywienie obrzędów następuje w zapusty. Powtarzają się w tym okresie znów pochody przebierańców tzw. „maszek”: jeźdźca na koniku, kozy, bociana, niedźwiedzia, dziada i baby; chodzą „po plackach” zbierając żywność, m. in. tzw. „ruchanki” — żytnie placki, które później wspólnie spożywają.

Ongiś odbywano powszechnie skoczne tańce „na długi len”, a w miejscowościach rybackich — „na dobry połów” (Opalenie). Były to zabiegi magiczne dla spowodowania pomyślności urodzaju. Urządzano też w karczmach zabawy, na które gospodynie przynosiły w rzeszotach chleb, kielbasę, placek — dla wzajemnego poczęstunku.

Do lat 70-tych ubiegłego stulecia istniał w popielec zwyczaj pozorowanego „golenia” przez kobiety wszystkich mężczyzn wchodzących do karczmy — za co „ogolony” musiał stawiać wódkę. Były to psoty sygnalizujące koniec zabaw zapustnych, a rozpoczęcie postu.

Istotne nasilenie obrzędów wzmaga się jednak dopiero w okresie wielkanocnym. W „kwietną niedzielę” święcą wiązki gałązek wierzby z baziarnymi (pąkami kwiatowymi) — zwane „palmami”. Gałązki te — symbol odradzającej się przyrody i sił żywotnych — służą do rozlicznych praktyk magicznych. Przechowuje się je w izbach i daje do stodół dla ochrony od gromu i nieszczęć. Składa się je też w pasiece, zatyka na roli, albo popiół z nich rozsypuje się na polu dla spowodowania obfitego urodzaju. Bazie czyli „puśki” ludzie polykają a także dają bydłu dla ochrony zdrowia.

W pierwsze święto wielkanocne, przed wschodem słońca, dziewczęta (dawniej boso i w bieliźnie) udają się do strumyka lub zdroju — dla obmycia twarzy. Przynoszą też wodę źródlaną lub rzecznicą do domów dla dokonania ablucji całej rodziny. Według odwiecznych wierzeń — poprzez obmywanie bieżącą wodą — dokonuje się odnowa zdrowia i sił żywotnych, jak też oczyszczenie moralne człowieka.

Tradycyjnym jądłem świątecznym jest „święconka” złożona nade wszystko z mięsiva, chleba, jaj barwionych, placka, babki — które wg dawnego zwyczaju gospodarz kropił wodą świeconą.

Ogniś ozdabiała kobiety kociewskie jajka świąteczne skromną ornamentacją pisaną roztopionym woskiem za pomocą dutki gęsiej lub ostrego patyczka; następnie jajka gotowano w wvwarze zielonej oziminy, łupinach cebuli, cykorii lub kawy, uzyskując pożądaną barwę. Wiosenne ozdabianie jaj związane jest z prastarą tradycją czczenia jajka jako symbolu życia i płodności.

W drugie święto chodzi młodzież męska po „dyngusie” zwanym też „smagustrem”, chłoszcząc dziewczyny po nogach zazielenionymi gałązkami brzeziny — a starszym kobietom składają je z uszanowaniem u nóg. Wygłaszają przy tym dowcipne, niekiedy śpiewane oracje:

Puda ja do gaju,
nowó różdżkó z maju
cisną państwu do nóg.
Dajcie, dajcie co Bóg każe
po jajeczku i po parze;
jak biście nóm jedno deli
to bim wóm podziankoweli,
sukianka na latko, kozuszek na zima —
smyk, smyk różdżka pod psyrzyna.

(Barłożno, k/Starogardu)

Gdzieniegdzie praktykowany jest dyngus lany, który dawniej przybierał często formy żywiołowe; wynoszono np. czasem dziewczęta wraz z wyrkiem z chaty i rzucono do stawu!

Na „Zielone Świątki” Kociewiaci „mają” powszechnie domy, a szczególnie odrzwia i sienie brzezina, „kalmusem” czyli tatarakiem, który rozrzucają też przed chałupą i na podwórzu. W zwyczaju tym tkwią przeżytki pradawnego kultu roślin i drzew.

W „Boże Ciało” przystraja się zielenią i wieńcami kwiatnymi kapliczki wiejskie i krzyże przydrożne — co przydaje krajobrazowi sporo uroku. W ósmy dzień po tym święcie wiją kobiety zgrabne wianeczki z ziół, które po poświęceniu wieszają nad obrazami i w nadprożach chałup. Zioła wianuszków (grzmotnik, macierzanka, rozchodnik itp.) stanowią uznany przez lud środek magiczny (ochrona przed burzami) i leczniczy.

W śródlęciu wyróżniają się obrzędy świętojańskie przypadające na 24 czerwca — punkt przesilenia dnia z nocą. W okresie tym wegetacja roślinna osiąga pełny rozwój — stąd jej waga w zwyczajach i obrzędach. W wilię Jana zbiera się więc zioła lecznicze: rumianek, bez czarny, czarowną paproć i inne; później zbierane zioła nie są dobre, gdyż są zbezczeszczone tańcem czarownic odbywającym się o północy. Przeciwdziałając złym mocom czarownic, zatykano dawniej pod strzechę gałązki dzikiego bzu (jego zapach odstrasza!), bylicy i łopianu (przyczepia się do włosów i odzieży) lub pisano kredą krzyżyki na ścianach chaty.

Do niedawna palono jeszcze ogniska sobótkowe (niekiedy bezkę ze smołą), połączone z żartobliwymi śpiewkami, dookolnymi płasami i skokami młodzieży przez ogień (Jaźwiska, Osie, Rombark, Pieniążkowo, Skórcz, Warlubie i in.). W osadach nadrzecznych i nadjeziornych puszczano wianki na wodę. Zwyczaj te są przeżytkami pogańskich świąt miłości, podczas których następowało łączenie się młodych par.

Obrzędy nasilają się znowu w okresie żniwnym. Na rozpoczęcie kośby (siana i zboża) istniał do czasów międzywojennych obrzęd „chrztu” czyli wyzwolin młodych kosiarzy: wbijano w ziemię trzy „strychołki” (osełki), sadowiono na nich parobczaka, obok stawiając kose; przodownik zadawał młodemu fachowe pytania i pouczał o nowej pracy. Następnie „golono” egzaminowanego ostem. Za przyjęcie do grupy kosiarzy — wyzwolony dawał „wykup” w postaci wódki.

Podczas koszenia zboża istnieje zwyczaj „wiązania” każdego, kto pojawi się na polu kłosisłym powrósiem przez ramię, kolano lub nogę; niekiedy przypina się im do ramienia wiązkę z trzech kłosów — za co należy się wykup.

Dużą rolę w obrzędowości żniwnej odgrywają ostatnie kłosy. Żniwiarze plotą z nich tzw. „pepek” — bukiecik przewiązany wstążeczką, który wręczają gospodarzowi.

Ostatni snop żniwny zowią także „pępkiem” lub „starym”. Snop ten wraz z kilku innymi wiązą razem tworząc tzw. „babę” (albo „dziada”), przyodzianą daw

niej w sukmanę i kapelusz. Okazała tę kukłę stawiano wysoko na ostatniej furze i od czasu do czasu nią poruszano, zaś przyglądający się oddawali jej pokłony. Przy wjeździe fury na podwórze — oblewano ją wodą. Dla zwrócenia uwagi na ową furę, wkładano kij między szprychy koła, co powodowało klekot.

Na zakończenie żniw urządzają wielkie gospodarstwa rolne i zamożniejsi chłopci dożynki zwane „wianiec”, „wiancowe” lub „okrężne”. Żniwiarce wypłatają z kłosów ostatniego snopa żyta lub różnych zbóż, kolistą wieniec (o średnicy 80 cm) ozdobiony kwiatami polnymi; niesie go „przednica” na grabiach w darze dla gospodarza.

Stosowano też okazalsze i efektowniejsze „koruny” żniwne, wplecione na szkielecie z kolistego kabłąka i skrzyżowanych nad nim dwu pałaków (wys. 25-40 cm); całość ozdabiano różnobarwnymi wstążkami. Niekiedy oprócz „koruny” nosiły „wiązarki” dodatkowe „wiance” — dla gospodyni i ekonoma. Gdy orszak żniwny podchodził pod dom gospodarza, chłopcy oblewali go wodą (życiodajną). Przednica wkładała sobie koronę na głowę, skąd zdejmował ją gospodarz i zanoślił do domu zawieszając u powąży w sieni. Podczas obrzędu śpiewali żniwiarze pieśni dożynkowe z których jedną tu przytaczam:

Na szyrokam polu zboże sia złociyło,
czyste, bez kónkolu, jaż popatryñ mniyło.
Mi je kosó ściani, powiózeli w snopi,
postavili w mandle, deli wielkie kopi.
Tatuniu, mamuniu, łotwisyrejta wrota,
niesiy wóm łozimiec ze szczyrygo złota.
Łoto próbi zboża tutaj wóm przynosim,
a za trudi nasze ło musiku prosiyim.

(Wysoka; wg W. Kirsteina)

Na zakończenie „wiancowego” odbywają się tańce połączone z poczęstunkiem.

Po pracochłonnych żniwach następuje orka i siejka jesienna oraz wykopki ziemniaków. Zapoczątkowanie poszczególnych czynności rolniczych związane jest również z pewnymi zwyczajami. Ziarno siewne miesza się z ziarnem wykruszonym z ubiegłorocznego wieńca i skrapia święconą wodą. Pracę rozpoczyna się w czyszy, z powagą i namaszczeniem, rzucając pierwsze ziarno na krzyż. Czyni się to wszystko dla uzyskania pomyślności urodzaju.

Ostatnim większym świętem w obrzędowości dorocznej są zaduszki poświęcone pamięci zmarłych. W dzień ten (2.XI) tłumnie odwiedza się groby członków rodziny, przystrajając je zielenią, kwiatami i wieńcami. O zmroku zapala się świece (dawniej woskowe, do mowego wyrobu).

Z głęboką czcią dla zmarłych połączona jest wiara, iż dusze przodków błądzą w nocy zaduszkowej po świecie (szczególnie na cmentarzach, w kościołach, wokoło własnych zagrod, w domach), w czym nie należy im przeszkadzać. Toteż dawniej przysuwano ławy do pieca, aby duszyczki mogły się ogrzać i odpocząć.

Rok obrzędowy kończy się na „marcinkach” listopada (11.XI), podczas których zawierano dawniej wszelkie umowy służebne. W dzień ten spożywano uroczystie gęś świętomarcińska, a wieczorem bawiono się przy muzyce i tańcach.

Na zakończenie wypada dodać, że kociewski rok obrzędowy obfituje w liczne przysłowia i przepowiednie, których mądrość oparta jest na prawach przyrody i fizyki, i które zawierają dużo trafnych obserwacji.

Wszystkie ważniejsze obrzędy doroczne wiążą się też z pieśniami, muzyką i tańcami — co razem wzięwszy — stwarza barwną całość, nacechowaną swoistym, rodzimym piętnem.

Obrzędowość dostarcza wiele materiałów użytecznych dla twórców i zespołów ludowych, dla ośrodków kultury, szkół itd. — zaś pielęgnacja wybranych wartości kulturowych stanowi ważny czynnik w utrzymaniu atrakcyjnych odrębności regionalnych.

Literatura

Władysław Kirstein, Pieśni z Kociewia, Gdańsk 1970.
Władysław Łęga, Okolice Świecia, Gdańsk 1960.
Longin Malicki, Kociewska sztuka ludowa, Gdańsk 1973.
Bożena Stelmachowska, Rok obrzędowy na Pomorzu, Toruń 1933.

O Stanisławie Brzęczkowskim

Edmund Puzdrowski

Przed osiemdziesięciu laty, 24 września 1897 roku, urodził się w Koronowie świetny grafik i typograf Stanisław Brzęczkowski. Jeden to z nielicznych artystów-plastyków, których w okresie niewoli wydało Po morze. Przypomnieniem tej osobowości, jego drogi życiowej i doświadczeń twórczych stała się wystawa grafiki Stanisława Brzęczkowskiego urządzona w Bydgoszczy i Koronowie oraz okolicznościowe, bardzo piękne wydawnictwo, w którym Marian Turwid zamieścił swój szkic „Słowo o Stanisławie Brzęczkowskim w 80 rocznicę urodzin”.

Twórczość Stanisława Brzęczkowskiego powinna być bliska każdemu czytelnikowi „Pomeranii” nie tylko z racji mistrzostwa uprawianej przez niego sztuki ksylograficznej, ale i z tego powodu, że w swojej działalności twórczej i społecznej był Stanisław Brzęczkowski związany z postaciami Aleksandra Majkowskiego, Mariana Mokwy oraz Władysława Pniewskiego i podejmowanymi przez nich inicjatywami wydawniczymi.

Gdy po doświadczeniach pierwszej wojny światowej młody, uprawiający spontanicznie sztukę artysta pojawił się w Gdańsku, spotkał się tam po raz pierwszy z opiekuńczym, starszym druhem — szczerze przyjętym nieokreślonym jeszcze talentem współ-rodaka. Tym starszym druhem, również jak Brzęczkowski zatrudnionym w dyrekcji Polskiej Kolei Państwowej, był Stanisław Przybyszewski. W jednym z listów, który cytuje Marian Turwid, napisał Stanisław Przybyszewski do redaktora naczelnego poznańskiego „Zdroju” Jerzego Hulewicza: „Posyłam ci człowieka który jest mi bliski, bo posiada wszystkie znamiona człowieczeństwa: ciszę, pokorę i głęboką wdzięczność. Będzie ci bratem młodszym — może jedynym jakiego posiadasz, a czym jest jako artysta dowiesz się z teki, którą ci jednocześnie z listem wysyłam. Mam wrażenie, że będzie dla ciebie podniecią i ukojeniem. Nazywa się Brzęczkowski, ma lat dwadzieścia pięć i pracuje na równi ze mną w dyrekcji kolei. Wy go pokochacie, bo ja go do serca swego przytulilem...”.

Drugim autorytetem, który w owym okresie najszybciej wpłynął na osobowość Stanisława Brzęczkowskiego był Aleksander Majkowski. W pierwszej „Wystawie Sztuk Pięknych Artystów Pomorskich”, którą Rada Pomorska urządziła na przełomie 1921 r. w Grudziądzu, Stanisław Brzęczkowski uczestniczył rysunkiem i albumem, zawierającym rysunki piórkiem. W owym okresie Aleksander Majkowski był prezesem Rady Pomorskiej. Autor „Życia i przygód Remusa” musiał zapamiętać młodego grafika, czego dowód stanowią okoliczności związane z projektowanym przez Al. Majkowskiego herbem Kartuz i kontrowersje w związku z żądaniem zapłaty honorarium za rysunek herbu, który Stanisław Brzęczkowski wykonał dla magistratu w Kartuzach.

W 1925 roku, gdy A. Majkowski przystąpił do wydawania trzeciej serii „Gryfa” okładkę, rysunki a zapewne i układ typograficzny jedyne go zeszytu, który się ukazał, zaprojektował Stanisław Brzęczkowski. W tym samym numerze opublikował S. Brzęczkowski swój szkic pt. „Sztuka ludowa czy sztuka stosowana?”. Dopiero, gdy w sześć lat później przystąpiono do wydawania „Gryfa” po raz czwarty udział Brzęczkowskiego w tej inicjatywie zaowocował wspaniałą szatą

graficzną czasopisma. W tym okresie ukazywały się w „Gryfie” nie tylko reprodukcje rysunków i drzeworytów, ale także recenzje i artykuły St. Brzęczkowskiego. W owym okresie sztuka St. Brzęczkowskiego, po epizodzie ekspresjonistycznym przeobraziła się w sposób radykalny, zbliżając się do tendencji wyznaczonych programem „Rytu”. Od tej pory inspiracją dla St. Brzęczkowskiego bywały częstokroć motywy kaszubskiej sztuki ludowej i elementy pejzażu oraz architektury pomorskiej. Ekspresjonistyczne drzeworyty, którym towarzyszył czasem także para-poetycki tekst, publikował St. Brzęczkowski w wydawanym przez Mariana Mokwę miesięczniku literacko-artystycznym „Fale”.

Swoje związki z Pomorzem i Kaszubami udokumentował artysta licznymi rysunkami i grafikami. W 1936 roku, gdy Stanisław Brzęczkowski był już kierownikiem technicznym znakomitej „Biblioteki Polskiej” w Bydgoszczy, ukazała się jego pierwsza „Tekka miast pomorskich”, zawierająca 10 autolitografii, za którą w następnym roku artysta otrzymał nagrodę Bydgoszczy. Nie była to jedyna nagroda, którą Stanisław Brzęczkowski otrzymał za swoje prace graficzne, już od wielu lat systematycznie pokazywane na polskich i zagranicznych wystawach sztuki.

W 1938 roku udał się Stanisław Brzęczkowski za granicę, gdzie zwiedził najważniejsze ośrodki przemysłu poligraficznego. Po studiach nad zagadnieniem szaty graficznej książki, które odbył pod kierunkiem prof. Tiemanna w Akademii Grafiki w Lipsku, powraca do kraju obejmując w centrali „Biblioteki Polskiej” w Warszawie stanowisko redaktora graficznego.

W latach okupacji Stanisław Brzęczkowski pracował w dziale antykwarycznym księgarni „Biblioteki Polskiej”, dzieląc pod jej koniec tragiczny los mieszkańców Warszawy.

Tuż po wyzwoleniu Stanisław Brzęczkowski powraca na Pomorze, organizując — jako pełnomocnik Ministra Informacji i Propagandy — przemysł poligraficzny. Pomimo rozlicznych obowiązków zawodowych współdziała przy tworzeniu artystycznego i intelektualnego środowiska Bydgoszczy; jest współorganizatorem Okręgu Pomorskiego Związku Polskich Artystów Plastyków i członkiem kolegium redakcyjnego miesięcznika „Arkona”.

Od pierwszych lat po wojnie uczestniczy Stanisław Brzęczkowski w licznych wystawach sztuki. Prace eksponowane na jednej z nich: „Pomorze w grafice Stanisława Brzęczkowskiego” przekazał w darze do zbiorów Muzeum im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy. Jako pedagog i wysokiej klasy artysta-typograf wychował Stanisław Brzęczkowski w Liceum Sztuk Plastycznych w Bydgoszczy zastęp młodych artystów-typografów.

Przedwczesna śmierć w 1955 roku przerwała to pełne twórczego niepokoju i artystycznej pasji życie.

Marian Turwid — Słowo o Stanisławie Brzęczkowskim w 80 rocznicę urodzin. Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne oraz Biuro Wystaw Artystycznych, Bydgoszcz 1977. Opracowanie graficzne — Zbigniew Papke. Liczne drzeworyty tłoczone z oryginalnych klocków ksylograficznych.

Jak wiemy z różnych publikacji (na przykład: Andrzej Bukowski „Działalność literacka i społeczna Hieronima Derdowskiego w Ameryce (1885-1902)”, Gdańsk 1961), Derdowski wydał w Ameryce pracę pod tytułem: „Nórcek kaszubski, albo Koruszk i Jedna Maca Jędrnyj Prowde. Pozbierol Mejster od Pieśni „O Panu Czorlińskim co do Pucka po sece jachoł” Drekowoł Jarosz Derdowści w NórtoWyj Ameryce 1897”. Stronę tytułową znamy, ponieważ drukował ją Derdowski w różnych numerach „Wiarusa” jako reklamę dla swojej książeczki.

Sama książka — o ile mi wiadomo — zginęła. Nie znajduje się w posiadaniu rodziny Derdowskiego w St. Paul (Minnesota), nie ma jej w Polish Museum w Chicago ani w Historical Society of Minnesota w St. Paul (gdzie przechowuje się na przykład komplet „Wiarusa”), ani w Library of Congress w Washingtonie.

W związku z tym może będzie dla Państwa ciekawe, że niektóre wycinki z tej publikacji drukował Derdowski również w „Wiarusie”; te, które znalazłem, przesyłam Państwu. Są to kopie zrobione nową metodą prosto z mikrofilmu; nie są najlepsze, ale można je odczytać.

Jest to fragment listu z dnia 29.10.1977 r. do redakcji „Pomeranii” Ferdinanda Neureitera z Salzburga. Otrzymaliśmy również fotokopię trzech numerów „Wiarusa” z „Nórckem Kaszubskim” Hieronima Derdowskiego.

Są to numery: 45 z 5. XI 1896 r., 12 z 25 III 1897 r. i 20 z 20 V 1897 r.

W numerze najstarszym (45 z 1896 r.) Derdowski zamieścił w „Nórcku” krótkie powiastki: „O morach”, „O krosnietach”, „Djobli kam” a także powiedzonka oraz przysłowia pod wspólnym tytułem ZORKA PROWDE. W następnych numerach „Wiarusa” w „Nórcku” opublikowane zastały tylko powiedzonka i przysłowia, wprawdzie bez dodatkowego tytułu ZORKA PROWDE, ale stanowiące kontynuację poprzednich. W „Wiarusie” nr 12 podano, że jest to odcinek IV, w numerze 20 — że odcinek VI.

Uznaliśmy za celowe zapoznanie Czytelników z przysłowiami (w oryginalnej pisowni) zebranych przez Derdowskiego i opublikowanych osiemdziesiąt lat temu w dalekiej Ameryce.

(wj)

Zorka prowde

Hieronim Derdowski

Na święty Walk nima pod lodę balk.

Ciej jedna owca obarchnieje, tej wszecie za nią barchnieją.

Niemiec do pocerza jak kot do maślanci.

Skąpy rechlij sztek polca be so urnął, niżbe komu co doł.

Belesma miała pieniądze, wszetko dobrze bądze.

Cegąńsko belnota nie wszetkim do smaci.

Bogocz bele na polce ciwnął, zaro do niego lecaj

Dzyso ju niejedna bjałka bukse nosy.

Owca decht tak bleczy jak baran,

Na blesnego niżodnego nie ma lęku.

Potrzebny jak dziód w bobnice.

Po niedozdrzałym brzadzce zawde brzecz boli.

Owce są buchteją ciej wilka czeją.

W piątk deszcz, cały tydzień dreszcz.

Wilk sę nie boji baraniego bleku.

Mo szek jak żyd do flińte.

Szczesce mo bleszcz na slepiach.

W noce wszecie kote są bure.

Cencie plótno i cencie kochanie prętko się rwią.

Zarzeko sę jak cegąn, ale nicht mu nie wierzy.

W twardy pniok mocno trzeba cyc.

Cmuli sę do dzewczęca jak zły dech do smołe.

Cóż mnie pomoże dom, ciej wezewienio nie mam?

Chto na krze płynie, niedalek zajedze.

Słabo gałaz cido sę od nąmniejszego wiatru.

Na dużą swynię trzeba grebego cija.

IV

Sząnuj lat młodych, be cy zdrowio zbiegło

na stare.

Gdzie drwą rąbią, tam zrębe padają.

Bjes na Bożą mękę ni może zgarac.

Gbur w szandze na mniescu ubędzie.

Szczuka i w klepie rybcie požero.

I głodny wilk kamienia nie ugreze.

Łatac dure, póci jesz małe.

Ju łeseje, a jesz szpalcie mo we łbie.

Chłopa nie mierzają ni łokcem, ni korcem.
Tłoczy się jak blecha do wucha.
Nowy grzebin dobrze wiszcze.
Wiatru i słowa, na łyńcuchu nie urzeszysz.
Lesny bez flințe jak pies bez ogona.
Letko rzec, ciężko zrobić.
Nie lez gdzie cę nie proszą.
Ju za pódzde pipe lemnic.
Doł Pań Bóg chorosce, do i lecie.
Pań Jezus nolepszý lekarz.
Kuszo go, ale rad be go użar.
Kaszebsko notera cygnie do ryb i zorobeczku.
Szczesco nie kupisz.
Chto karuje próżno, do piekła drewka wozy.
Komu obiecują niewitro, temu oddają na święty
nigdy.

Pies co wiele łaje, nikogo nie kąsy.
Wiercy się jak mesz w szestnice.
Prze kumnia każdy prosok równe mo prawa.
Kurich baba w chłopa orze.
Każde celę zdrzy za swoją nenką.
Za wiele białk kucharzy, to się lecho darzy.
Bieda z nędzą okoma idą.
Plech niemówny i kot nielowny niewiele worcy.
Czego ob dzień nie naleziesz, tego i ob noc nie
szukiej.

Szlachectwo kapuste nie oboni.
Za szlachectwo i mace bulew nie kupisz.
Cze tak, cze sak, w końcu będzie jednak.
Co się szade urodzy, to i szade dzinie.
Każdy so wreka czechli.
Do Pań Bóg i na kaminiu komu chce.
Idz pomału, a bieda dogoni ciebie.
Idz chutko, to te biedę dogonisz.
Szed pies bez reż, a seka bez jorkę,
Doł pies na piwo, seka na gorzolkę.

VI.

Pokolenie Mszczuga, do sece i pluga.
Nie wszetko złoto co się łyszczę.
Za moje myto jesz mnie webito.
Mumocz, plapę umocz.
Chto goni za szczesem, nimo czasu do jedzenio.
Babście godanie, a pse łajanie.
Mądry jak Salamánowe bukse.
Mniedze ślepymi lupa je królem.
Nie mniała baba kłopotu, kupiła so prośę, a to
prośę zesrało się.

Jacie zdrowie, tako mniaźdra.
Mnierzeł w zajka, trafił lajka.
Święty Mnichoł wrota rozpychoł.
Łżyj uczes się za młodu, jak bec głupim na stare
lata.

Lepij bądź sąm, jak w zły kapanii.
Co dobrze rozpoczęte, to do połowe skuńczone.
Trzeba drzewo nadzibac, póci je młode.
Ciej so nórt zapoda a staro baba zagoda, tej ni
ma kuńca.

Gdzie nic nima, tam i djocheł nic nie nalezę.
Czym lepszo prowda, tym łżyj ją rozumniec.
Nikomu nie kładz na grzbiet mniecha, co bes go
sąm nie choł dwigac.
Chto nie wie ciej milczec, nie wie ciej godac.
Komu Pań Bóg do urząd, temu do i rozem.

No każdą nimoc je przemoc.
Sromo się jak pies, ciej palecę uzdrzy.
Pokorny jakbe po żebrokach chodzeł.
Gdzie je woło, tam je i droga.
Ciejbe każdy mniol na łesenie co mo na sąm-
nieniu, tobe so mucę na ocze wduseł
Czym więcej bjałka patrzy w zwiercadło tym mniej
zaglądo do kuchni.
Poczodło lato po ledzach, jak pszczoła po
wrzосу.

Nie każdy kąso co wąsami trząso.
Sprach le za procętami chodzy, o sztamę mo u
Pańa Boga.

Je w nim rzetelnosce, jak w koszu wodę.
Rób sano, póci słuńce swięcy.
Bogoczowi więcej zazdroszczą bogacze jak
biedoce.

Nie to co zrobisz, le to co odłożysz, ciebie bogacy.
Zły dech precz się neko, jak zastanie dwierze
zamkłe.

Wiara nie leży w gębie, le w sercu.
Komu się rebe nie dostanie, ten na polewce
przeszanie.

Chto za wiele mesli, temu się we łbie meksy.
Ciężko przewlec powróz przez wucho od jigle.
Jedz co cy się widzy, te obuwej się tak, abe się
drudzim widzało.

Z mola rusz pomału, a tej możesz chutko
pomknąc.

Nie przerynej so jęzeczem gordzele.
Pytej worka co kłasc do garka.
Rzemniosło to nalepszo poleca na wędrówkę.
Ciej przerzeko białogłowa, pisz na piasku její
słowa.

Każdy pasturz swój rączok chwoli.
Chto obiecuje, ten dług zacygo.
Próżny to mnieszko co je ful cedzech pieniędzy.
Gęba otwarto, le mnieszko zamkły.
Na święty Wawrzyńc z kosą w żeto przyńc.
Wet za wet, a darmo nick.
Chto się dobrze weposcy, nie szuko w chlebie
oscy.

Gorzolka więcej ledzy potopiła jak morze.
Szczesce robi przejocoł, a nieszczesce ich
próbuje.

Pól bróta chleba lepsze jak żoden.
Chto się długo jimo, niech go pędzy, abo trzymo.
Za pódzde koniowi owsa, ciej zdrzy do psa.
Zjadły chleb ciężko się zarobio.
Rebąm wodą, ledzám zgodą.
Znęta je gorszo, jak notera.
Jutrzejso pomoc za późno na dzysejszą biedę.
Warpowe fache są ju dzwoso buten szeku.
Dobry żort tynfa wort.

Chto mo mniemca strach, niech go szlach.
Gdzie w zbożu dzwońc, tam chleba kuńc.
Macecha djoblo pucecha.
Piorun trzasnie, jak mełnio chlasnie.
Chto seje groch w marcu, warzy go w garcu;
chto w maju, warzy go w jaju.

Chytry żyd, chytrzejszy Kaszeba.
Żeczność za żeczność.
Bjałcę bez szentucha, jak krowie bez ogona.
Szczescy mu się, jak zdechły kobele u żeda.
Krący się jak piord w rzece.

Jaromira Labudda

Mowa

Mowa najô ukochónô,
Co no nie zaznaje słuńca,
Od prastarków erbowónô
Nie doždaje nigdë kuńca.

Mowa, co no wiedno bëła
Wedle jinsech pokrziwdzonô,
Nie będze sę nigdë dżęła,
Nie będze z nas wërzuconô.

Dozerac ję wiedno mdzemë,
Będze przez nas wëmujkónô,
Spiëwné tónë dac ji chcemë,
Le w tim na nas jesmë zdany.

Mowa — to je dësza lëdu:
Chto ję straceł, straceł siebie!
Nie żdzë znikądka tej cëdu
Tu na zemi ani w niebie!

Wspomnienia z młodości ⁽¹⁾

Anna Łajming

Z Chojnic do domu, teraz już do Parzyna, pojechałam poraz pierwszy kiedy zbliżała się jesień. Z okien wagonu przyglądałam się pustym polom i żółknącym już drzewom. Wiedziałam, że 18-letniego brata Janka zaciągnięto do wojska na front rosyjski i, że urodził się braciszek — Józef. W torebce od Klary, starej ale z zamkiem mocno trzaskającym, trzymałam landrynki dla rodzeństwa i cioci Mali.

Wsiadłam na stacji Lubnia. Zza rogu czerwonego budynku kolejowego ujrzałam najpierw rudą głowę naszego kucyka, później czekającego na mnie ojca. Po przywitaniu się z ojcem, który był maciejówce i długich butach, zapytałam, jak wiedzie się rodzicom w Parzynie. Ciekawa byłam jak wygląda ta wieś, której prawie nie znałam. Zapytywałam też o zdrowie matki i cioci, ale ojciec, szykując mi miejsce na wozie, jakby nie słyszał a powoli wycedził:

— Widzysz córeczko... Umarła ta Kryzelka w Przymszewie.

— Jęny kochany! — wymamrotałam nieprzyjemnie zaskoczona — to Erna ju ni mo matczy!

Dopiero kiedy kucyk ruszył ojciec opowiedział mi, że mama chciała być na jej pogrzebie w Sominach, które teraz leżą za granicą i przy tej okazji odwiedzić Heringów, za którymi nam tęskno, ale odprowadziła trumnę tylko do granicy... Osoby, które nie były na liście pogrzebowej, cofnięto, musieli zawrócić i do domu wróciła smutna. Ojciec mówił też, że Janek jest już po ćwiczeniach, może teraz już na froncie... Były

to smutne wiadomości. Pamiętam jak ojciec przystanął i zabrał jakiegoś żebraka, który zmierzał do Leśna. A kiedy znowu zostaliśmy sami i koła wozu cicho obracały się w głębokim piasku, chciałam zapytać o małego braciszka, ale ojciec zaczął mówić, że dziś ocieliła się krowa — Liza, i o panu v. Wittersheimie z Przymuszewa, który już dwa razy prosił ojca do siebie, ale jeszcze miał czasu pójść, ani nie może się domyśleć czego może od niego chcieć?

W lesie wjechaliśmy na drogę bitą z gliny, prostą jak sznur. Wtedy w dali na drodze ujrzałam czarny punkcik, który szybko się zbliżał. Był to nasz pies, który tam czekał a teraz biegł na nasze spotkanie. Kochane, stare psisko wskoczyło na wóz. Krótco potem po prawej stronie prześwitywało przez drzewa parzyńskie jeziorko, a po lewej, w niskim gaju, ujrzałam wysoki krzyż ogrodzony niziutkimi sztachetami. Ojciec najpierw zdjął maciejówkę a potem mówił:

— Tę Bożąmkę postawili tu w czasach gdy panował mór... Ledze tede podole jak muche. Tu boł masyowy grób i na ten mol, na pamiątkę postawili ten krzyż.

Już pokazało się jezioro a w dole most i kilka murowanych domków. Tylko dwie chatki były z drzewa, i pod strzechą. Pierwszy dom po prawej — to leśniczówka, w której mieszkał kiedyś Niemiec Preller. Za rzeką, którą zdobiły olchy i niskie krzewy orzechów laskowych, ciągnął się nasz ogród aż do samego długiego domu z czerwonej cegły, który spalił się w końcu II-

giej wojny światowej. Naokoło wsi rósł niski, gęsty las, ale wieś przyozdobiały olbrzymie, wiekowe, dziś pod ochroną dęby oraz młode niskie świerki.

Weszłam do małej sieni z której poprzez drzwi wiodły strome schodki na strych. Na wprost były drzwi do kuchni a na lewo drzwi do dwóch pokoi o wysokich progach. Moja głuchoniema ciocia Mała wybiegła z kuchni do sieni i po przywitaniu się ze mną, rozplakała się. Zrobiła się jakaś niska. Na migi pokazywała, że Janek na wojnie, która wciąż jeszcze trwa i mogą go zabić jak Bernarda Heringa i, że umarła pani Kryzel. Pies wspinał się na mnie i poszczekiwał radośnie. Mama, już w modnie skróconej sukni, pokazała mi małego braciszka. Opowiadała, że ciocia bardzo tęskni za mną i Jankiem. Przypomniałam sobie wtedy, jak kiedyś Janek bardzo brzydtko psocił się jej. To było przy wykopkach. Leniąc się, został w tyle i wtedy rzucił w ciocię zgnitym kartoflem, który rozprysnął się na jej plecach. Ciocia wstała z klęczek, obróciła hak i trzonem pojechała moim plecym. Ja ścierałam jej plecy a Janek zrobił się żywszy, szybciej opróżnił nasze kosze, wysypując kartofle do worków, a nawet zaczął jej nadszkakiwać. Teraz patrzyłam na tę niziutką, przygarbioną postać, na jej siwiejące włosy i zgrube białe, duże ręce, które niegdyś tak często tuliły mnie do siebie.

Po obiedzie poszłam z młodszym rodzeństwem ogrodem do rzeki obsadzonej czarną olchą. Jej brzeg zdołała twarda murawa. Po żółto kwitnących mlecza-kach pozostały tylko badyle, z których puszek już dawno zdmuchnął wiatr. Woda z jeziora wypływała pod mostem, dalej płynęła przez las aż do parzyńskiego młyna. W głębi ciemnego i gęstego lasu panowała głęboka cisza, że aż dzwoniło w uszach. Ptaki już dawno zamilkły i tylko gdzieś tam, pojedynczo przeskakiwały z gałązki na gałązkę maleńkie sikorki albo ogromny, pstry dzięcioł. Grzyby rosły jeden przy drugim. Brzozaków nie zbierano. Wtedy uważano je za trujące.

Do domu wróciliśmy pod wieczór. Pod papowym dachem, tak samo jak w Przymuszewie, jaskółki zbudowały gniazdko za mułu.

Najbliższymi sąsiadami byli Rekowscy, mieszkali w drugiej części domu a sprowadzili się z Swornegac. Rekowskiego trapiły owrzodzone nogi oraz dychawica, mówił mało i pisał. Najstarsza ich córka, 16-letnia Marta leżała chora. Nie mieli własnej ławki pod domem dlatego sąsiad wolnym krokiem po nierównym bruku zbliżył się do naszej, która stała pod oknem i usiadł. Z pokoju widać było tylko jego głowę w kape luszu. W pięciu zabudowaniach we wsi mieszkało dziewięć rodzin: Modrzejewski, Leper, Rekowski, dwóch braci Zblewskich, Windorski i Okuniewski. Chłopi parzyńscy nazywali siebie skróconym nazwiskiem jak: Modrok, Rekus, Zblech, Windela i Okuneka. Ten ostatni, Okuniewski, którego bieda wyrugowała aż z osady dowania „Polaszek”, zarozumiale podkreślał, że rodem jest od Gdańska, że wsi Puzdrowo i to prosił brać pod uwagę. Chępli się też, że ma dwóch dorosłych synów, Floriana i Antona, którzy kręcą się po świecie a jeden z nich jest nawet wyuczonym młynarzem, oraz córkę Klarę, która kiedyś służyła u Widra w Przymuszewie a obecnie w Gdańsku. Jako ostatni przybysz z „Polaszka”, gdzie pokłócił się z sąsiadem Sisielą, otrzy-mał najmniejszą osadę i najbardziej jałowy szmat ziemni, położony pod samym lasem. Wobec tego nie mógł trzymać konia. Był jednak bardzo obrotny, bo załatwił sobie pracę woźnego u wójta w Leśnie. Wielki gaduła o zamasztych ruchach, lubił wanożyć z kijem w rękę od wsi do wsi, nawet poza rejon wójtostwa, bo aż do Chojnic. Zasięgał i roznosił wiadomości, które potem rozgłaszał w Parzynie. Mrużył oczy i jednocześnie szczyrzył zęby spod rudego wąsa kiedy kogoś wypatrywał. On też pierwszy przyniósł wiadomość o zatru-ciu się smardzami rodziny Somionków w Kaszubie, w wyniku którego zmarła matka i dwoje dzieci. Ojciec z czworgiem wyzdrowiał.

Mieszkańcy Parzynie skupili się koło naszego wejścia. Na długiej ławie zabrakło miejsca. Okuniewski, który zjawił się wprost z wędrowki, z braku miejsca musiał oprzeć się na naszym płocie. Rekowski buteleczkę z tabaką ukrył w kieszeni i wszyscy zamilkli, czekając na nowiny. Myśleli, że jak zwykle opowiadać będzie o Murawcu, który nie wiadomo skąd wydoby-

wał pieniądze i rozdawał biednym, lecz woźny przyniósł inną nowinę.

— Doch doraza — zaczął — wczora w nocie Wirkuso wi w Rólbiku stodoła się spoloła. Ostała le gromada popiołu.

Wszyscy z wrażenia zamarli a Rekowska żegnając się lewą ręką zawołała: — Krysta mater! Pewno że-brok podpolo? Abo piorun trzasno?

— Ij gdzież! Som Wirkus, jucha, usnoł w stodole z fyfką w zębach i odeckł, czede ju się sioma poloła. Ca le szcześnie, że wiater boł z taczi strone, że płomien chote nie chwecoł.

— Ale, że me nie oboczeł łune?

— Jakże nom oboczeł łune czej nom tu las zawodzo.

— Ledze meszła, że jak je Polska, ju się nikogo ni muszą bojec i z fyfką leżą do stodole — krzydzeli chłopi.

Kobiety wyrażały obawę, że Wirkus chodzić teraz może za zbiórka, a tych marek, choć jest po Jochimie, nikt nie ma. Może Murawiec cos wemeśli? Wszyscy radzili i mówili naraz.

— Cecho, bieśe! — krzyknął Okunek. — Co za rejbach! Słowa nie dadzą rzeknac. Doch doraza papier od szółesa on ju mo i od jutra będzie żebroł...

— Ala biedo! To on do poltra będzie przeleze? — za pytywali zaniepokojeni chłopi.

— Weżegiejta to słowo! — zawołał Okuniewski. — Jo mo radzoł nopierwi lesc w Goche...

— Dobrześ zrobił, Okunku — pochwalili chłopi z ulgą i wtedy nastąpiła cisza bo każdy się smutnie zamyslił.

— Co za szkarada, taczi odzin! — dopiero wtedy zapiszczał Rekowski. — Odzin i woda to są dobrzi siu dze, ale leche pane. — Chłopi wzdychali i pomrukiwali. Widziałam, że mama z ojcem krzątała się wokół obory. Tymczasem Okuniewski, który miał zwyczaj czyścić nos palcami wprost na ziemię, odszedł na bok a kiedy wrócił, zapytał:

— A wa czuli o tem, że Teodorek z Kaszube u-czoł w Główczewicach dzece w szkole; za darmo po polsku czetał i pisac? Aż tu jednego dnia przestał młodygo, prowadzewigo szkolnigo i Teodorek dostał laufpas. Chcąc niechcąc, muszoł lesc z kwintą do dom. Tak to je. I do co se pcho, gdzie mu nie kozali?

— A nie wiesz, Okonku, cze ten wdowiec Somionka z Kaszube nie będzie się żenioł? — zapytała Rekowska zaciekawiona.

— Doch doraza nie wiem. Ale on ju kole koscoła się obzoroł i rozmowioł z tym rajczem, Turzynscim z Mutkowa. Pewno mu kogos nastreży...

W tej chwili mama zbliżała się do domu. Wracala z chlewa, gdzie rano ociełiła się krowa.

— Wejle! Dzys do sarę. Byczok cze krowka? — zapy-tał Okunek.

— A krowka — odrzekła mam i zaraz weszła do do mu. Widziałam, że mama z obecnego sąsiedztwa nie bardzo jest zadowolona.

— Hej na swiecie! Jo tu stoję a przeszłam pożyczec krega na platę — zawołała Rekowska i poszła za mamą do kuchni. — Mój się stłukł i ani rusz ani war, ni mogę małego trygła wstawic; a muszę naszi chori Marce cos lepszygo przetrzasnac. — Mama podała jej krążek z płyty i obiecała dla chorej Marty siary, jak tylko się ugotuje.

— Bóg zapłać — odrzekła sąsiadka i wyszła.

Kuchenka nasza była mała. Naczynia wyszorowane przez ciocię popiołem aż ślniły. Obok ławy na której siedziałam stał niski stół z centryfugą. A mama gotu-jac siare krzałała się przy siekaniu kartofli dla świń i jednocześnie grzała wodę do kąpeli małego braciszka. Widziałam, że nie miała czasu ze mną pogadać, a przecież chciałam jej opowiedzieć, czego już nauczy-łam się w Chojnicach; przy kuchni, przy praniu, w szwalni, w ogrodzie. Przez tydzień sprzątałam w sa-lach chorych III klasy i to mi najbardziej przypadło do gustu. Cieszyłam się, że mogłam komuś coś podać, posłużyć, w czymś ulżyć. Wówczas nie było oddziałów. Chirurgia, choroby wewnętrzne, zakaźne, chorzy psy-chicznie — wszystko leżało na jednej sali wraz z dziećmi. Pierwsze i drugie klasy były dla chorych bo-gatych. Zamyślona, łokciem oparłam się o parapet okna i przypomniało mi się, jak na sali w kącie za drzwiami, obok łóżka z małym chłopcem, stało łóżko

z młodym człowiekiem umierającym na gruźlicę. Przez cztery lata wojny uniknął kuli a teraz bezradnie leżał na łóżku, ciężko łapiąc powietrze otwartymi ustami, dysząc i pokaszłując. Twarz miał nieogoloną. Kilkakrotnie podawałam mu spluwaczkę ale odkaszusić nie miał sił. To rzucał się na łóżku, to wzrokiem prosił, by otworzyć okno. Rada bym mu ulżyć ale nie wiedziałam jak? Stałam więc przerażona i na chorego wytrzeszczałam oczy.

Na salę weszła zakonnica.

— Nie stój tak bezradnie, dziewczyno! — rzekła do mnie. — Ukłęknij i mów litanie za konających. On już umiera. — Podała mi książkę.

Litanie mówiłam długo i nabożnie, klęcząc u łóżka chorego. Niektórzy chorzy pomagali mi w odmawianiu tych modlitw. Zbliżała się już północ i choć tak modliłam się, by przestał się męczyć, chory wciąż rzeził. Wreszcie zjawiła się zakonnica by mnie zmienić. Szeleszcząc habitem przyklękła u łóżka chorego. Na drugi dzień rano sprzątałam salę u kobiet. Myślałam i czesałam pacjentki chore. A kiedy dowiedziałam się, że chory jeszcze żyje przeraziłam się znowu. U kobiet wydawało mi się weselej. Były to przeważnie dziewczęta po połogu z maleństwami, które leżały obok matek w jednym łóżku. Były wesołe, ale kiedy zjawił się lekarz były przerażone, bały się wypisania ze szpitala jak straszego wyroku. Reszta kobiet cierpiała na świerzb, hiszpańską grypę, zapalenia płuc, owrzodzenia lub gruźlicę. Od tych drugich wreszcie dowiedziałam się i to w brutalnym objaśnieniu, z jakiej przyczyny dziewczęta dostają dziecko. Byłam wstrząśnięta i tak zaszokowana, że nie mogłam rozmawiać i milcząc krztałam się jak błędna. A więc Ida, którą kiedyś odważyłam się o to zapytać, nie powiedziała mi o tym. Może dlatego najpierw wargi wyduła w dziób i długo się namyślała.

— Co te tak zamieszona siedzysz, córeczko? — żywo zapytał ojciec, wchodząc do kuchni.

— A tak sobie mesłłam o Idze... — odrzekłam, nie patrząc na ojca.

— Jo, Ida... — westchnął ojciec — Rechenberg tam u nich boł, bo go mama o to prosoła, to powidoł, że Ida i Hering leżą... A Marta mo z nimi wiele robote. Zemi mają więcy do obróbczi niż w Przymuszewie, a je gor szo. sam piosk i kamień. A dziecko też mają małe. Tacz je stare jak Józefek.

— Heringowie dali nos wszeteczich pozdrowic — do dała mama. — A Rechenberg je teru bardzo rozmówny. Choc po polsku nie umie, ale tu chce ostac jak Wider.

Mama wyłożyła łóżka na talerz przegotowaną siare i podała mnie, abym zaniosła ją chorej Marcie Rekow skich.

„Ich wejście” było w drugim końcu domu, taka sama sień z schódkami na strych. Marta leżała w drugim pokoju i na mój widok uniosła się zdziwiona.

— To ja sąsadow Anusia, ta z Chojnic — przedstawiła mnie Rekowa. Ja byłam jeszcze bardziej zdziwiona. Takiej chorej jeszcze nie widziałam. Na głowie miała wysoki turban poplątanych, zlepionych włosów, tzw. kołtun. Choć już wiele słyszałam o kołtunie, wtedy widziałam go poraz pierwszy. A sąsiadka mi objaśniła, że kiedy go będzie można ściąć, wtedy będzie zdrowa. Zaniemówiłam, a Rekowa dodała z westchnieniem: — Tak szkapigo mleka żebe dło ni dostac, to be zaru boła zdrowo i wstała, le gdzie go szukac. Podobno na plebani szkapa se ozrebiola i jo chcę jutro w niedzielę tego mojigo tam posiac ze szklonką... Tec głowe mu nie zerwia.

Wszystko to brałam poważnie do serca i zadowolona, że jeszcze czegoś się dowiedziałam, z nieznaną mi dotąd chorą Martą rozmawiałam długo aż wreszcie pożegnałam się.

Chciałam jeszcze przed zmierzchem porozmawiać z ciocią, dlatego najpierw weszłam do kuchni, gdzie ciocia akurat nakładała pod płytę drzewo. Najpierw motając, zapytała z zaciekawiona, czy na głowie dziewczyny widziałam kołtun?

Przytaknęłam.

Ciocia zaskrzeczała cieniutko i z lekkim uśmiechem przez chwilę patrzyła na mnie, kiwając głową. Zaraz posmutniała i dodała, że jest coraz bardziej szczerbata i często boli ją głowa. A ludzie tu jej się przytują i coś do siebie mówią... A ona nie słyszy.

Mówiła też, że mama jadąc z Brus do Lubni w pociągu zostawiła swoją parasolkę, która jej tyle lat służyła. Kręcąc głową, zmartwiona machnęła ręką. Natomiast pochwalała urodzaj w Parzynie. Pokazała mi dużą marchew i cebulę oraz kartofle wielkie jak brukiew.

Po kolacji, którą z powodu ciasnej kuchni spożyliśmy w pokoju i o zmroku, ciocia składała talerze a młodsze rodzeństwo w drugim pokoju układało się do snu. Chłopcy spali na górze. A rodzice rozmawiali między sobą z niepokojem o Janku. Mówili o leśniczym Tomaszewskim z Parzyna, samotnym człowieku, rodem z Warszawy, który jakoby wcale leśniczym nie był. Ojcu podpadło, że o lesie pojęcia nie miał, ale że dobrze mówi i pisze po polsku, to chyba wystarczy. Mówili też, że w Dziemianach buduje się kościół, o ślubie kuzynki Stasi Drzewickich, i o tym, że w Przymuszewie skasowane zostało nadleśnictwo, skoro sprowadził się tam dzierzawca Łukowicz. Za drzwiami najstarsza z sióstr śpiewała małemu braciszкови kołysanki do snu, te same, które kiedyś śpiewałam ja, a w ciemnej kuchni Alfons piszczał na skrzypcach. Asystowała mu śpiewem siostra Zofia. Były to tony pożegnalne, bo nazajutrz w niedzielę Alfons sprzedać miał skrzypce za dwa ule pszczoł. Tak uradziła mama, która od ojca była dużo rozsądniejsza. Twierdziła, że jeśli np. nawiedzi nas grypa albo zabolę gardło, muzykowanie nic nie da, a miód leczy wszelkie choroby. Potem mówiono o naszym kucyku, który za słaby jest na tyle ziemi. Trzeba będzie go sprzedać i kupić mocniejszego, lecz do tej transakcji trzeba zaprosić Alberta Kalinowskiego z Wilczewa, który nie tylko, że się na koniach zna, ale jest sprytnym człowiekiem i szukać się nie da.

Wtedy zateśkniałam do cioci. Po omacku i ostrożnie wdrapałam się na górę, i otworzyłam drzwi do mrocznej komórki o małym okienku. Głucha ciocia tym razem nie nie przeczuła, bo zmęczona, z twarzą ukrytą w dłoniach, klęcząc przy łóżku modliła się cicho. Tylko kiedy się poruszyła i głęboko westchnęła, wypowiedziała na głos swoje: hepe, te, te, te... — Chciałam ją trącić w ramię, lecz mogłaby się przestraszyć. A że rozmowa z nią po ciemku byłaby niemożliwa, wycofałam się. Mocno trzymając się poręczy, zesłam po stromych schódkach na dół.

Nazajutrz rano natknęłam się na ciotkę w sieni. Miała na głowie okład z octu. Jednak ganek przed domem już był czysto zamieciony i posypany białym piaskiem.

Do kościoła do Leśna przechodziło przez Parzyn wiele ludzi z Kruszyna, Odnogi, Białej Łaty, Kramarskiej i Polaszka. Ciągnęły też przez naszą wieś wozy. Ojciec również zaprzęgił konia i ja cieszyłam się, że będę mogła w naszym kościółku uczestniczyć w nabożeństwie.

W Leśnie poszłam z mamą najpierw w stronę szpitala, do domu ubogich kobiet. Weszłyśmy jak zawsze do izby po stronie prawej. Tam półwidoma Kuliszsko z głową okutaną chustką przyjrzała się matce z bliska. A kiedy ją poznała, razem z garbatą Rózłą zapłakały. Bo dawno już mamy nie widziały, a przecież mają teraz wiele do oznajmienia, choćby to, że pieniądze, które jeszcze w czasie wojny dały proboszczowi na swój bractwem, przepadły bo leżały w banku. Tak im powiedział ksiądz. I co mama na to?

Mama je pocieszała, że tak to każdemu szło kto miał pieniądze w banku, lecz one jej przerwały:

— Ale to było złoto, sosterko, to było złoto!

Wtedy mama zmieniała twarz a nawet wysunęła koniec języka i pokiwała głową tak, jak to robiła jeszcze w Przymuszewie, kiedy Hering przyniósł osobliwą nowinę. Pocieszała je jednak jak umiała, że to niby już na tym padole placzu inaczej nie będzie i z torby wyciągnęła jakieś zawiniątko. A kiedy napchany woreczek położyła im na szelbiagu i prosiła o modlitwy w naszej intencji, Rózela czym prędzej w szufladzie komody wyszukała pusty woreczek należący do nas i oddała go mamie. Niemal równocześnie na wieży kościoła zadźwięczała sygnaturka i mama, nie przyzwyczajona do dzwonu, wzdręgnęła się.

— Ju je czas... — zaszepotały kobiety i gorączkowo porwały chustki, którymi okryły ramiona. Wychodzi-

łyśmy razem. Mama pierwsza otworzyła drzwi do sieni i wtedy widziałam, jak z izby po lewej stronie również wychodzili ludzie, spiesząc do kościoła.

Świątynia pełna była rozmodlonych ludzi. A kiedy zabrzmiały organy wzruszona modliłam się za rodziców, aby długo nam żyli, oraz za Heringów i chorą Idę. Rzewna modlitwa nie trwała długo bo uszy prędko oswoiły się z muzyką i zaczęły mnie trapić przeróżne myśli. Myślałam, ileż to razy w życiu okłamałam tę dobrą ciocię Małą, bo kiedy nie potrafiłam jej czegoś wyjaśnić, zmyślałam naprędce coś co ją mogło wzruszyć lub przerazić a ona żałośnie skrzecząc, kołysała głową. Rozglądałam się też po kościele, wrokiem szukając ławki, w której siedziałam na nauce religii; przypatrywałam się chrzcielnicy, przy której mnie ochrzczono. Myślałam o jutrzejszym powrocie do Chojnic i przypomniałam sobie o dzbanku, który stłukłam w ostatniej chwili przed samym wyjazdem. Nikomu nic nie mówiąc, zgrabnie zesta-wiłam skorupy dzbanka jakby był cały i wyjechałam. Kto też na niego pierwszy się natknął? — myślałam. Wreszcie ksiądz się obrócił i przeżegnał wiernych, udzielając ostatniego błogosławieństwa. Ludzie przy-klekleli a potem zaczęli wychodzić z kościoła.

Do domu kucyk biegł zwiawiej. Zaraz za wsią, przy kopcach tamtejszego obszarnika, ludzie siadali jeden przy drugim i zdejmowali buty, by iść do domu na bo-saka. Nie zauważyliśmy jak i kiedy z tyłu na wozie znalazł się Rekowski. Siedział skwaszony i milczący. Z kieszeni jego marynarki wyzierała pusta butelka, zatknięta papierowym korkiem. Dopiero po południu mama dowiedziała się, że w plebance prosił o szkapie mleko i nie dostał a tylko go wykrzyczano.

Niedzielne popołudnie wydawało mi się bardzo nudne. Siostry wozily małego Józefka, a ja usiadłam w ogrodzie na ławie obok cioci, której proponowałam spacer do lasu, lecz ona pokazała mi stopy w gu-zach, które bolały ją w butach a w drewniakach nie wypada chodzić w niedzielę. Smialiby się ludzie. W rękę trzymała rozwiniętą gazetę grudziądzką, w której oglądała jakieś zdjęcia i prosiła, abym opowie-działa co w niej napisano, jak z wojną? Ojciec krzą-tał się w zagrodzie a potem z kocami na ramieniu zbliżał się do domu. Wtedy na drodze ujrzelśmy Agatę z Mutkowa. Spiesząc się szła z podwiniętą, już dawno niemodną, szeroką spódnicą, a idąc przez wieś, wcale jej nie opuściła. Ojciec zdziwiony przystanął i zawołał do niej:

— Do nos idziesz, Agatko?

Agata zaśmiała się złośliwie i zawołała:

— Rzec na waju wepne! — I szła dalej. Zaraz się obróciła i dodała: — Teru te obaczysz, co to je gbur-ka w Kaszubie, a biedny pachtorz w Porzynie!

— Ala — odkrzyknął ojciec, śmiejąc się z cicha i wszedł do domu.

Kiedy Agata doszła do drogowskazu gdzie skręcić miała w stronę Kaszuby, obejrzała się w moją stronę i zawołała: — Powiedz mamie, że jo jesz do mij za-zdrzę!

Mama bardzo się dziwiła, że Agata nas ominęła i prosiła dokładnie powtórzyć jej słowa, nad którymi się mocno zadumała.

Ledwie usiedliśmy do podwieczorku, kiedy przez okno ujrzelśmy w dwukółce jadącego pana v. Wittersheima z Przymuszewa, który skręcał na nasze podwórko. Mama zmrużyła oczy i wierzyć nie chciała.

— Weleż do niego, ale chutuśko, żebe on tu do nos nie wloż! — prędko rzekła do ojca.

Pan v. Wittersheim przystanął i spoglądał na nasze okna. Już odpinał skórzany fartuch bryczki gdy ojciec wyszedł z domu. Niemiec uśmiechnął się i z dala wy-ciągnął do ojca różową rękę. Obaj rozmawiali przez jakiś czas. Aż w pewnej chwili zauważyłam, jak ojciec zakłopotony oparł się o bryczkę i milcząc zapatrzył się w ziemię. A. v. Wittersheim nachylny w jego stro-nę coś do niego mówił. Mama zaciekawiona przyglą-dała się przez okno, nie zważając, że zjawiała się u nas Rekowska z butelką w rękę.

— Może be Wider miol tego szkapigo mleka? — zapytała.

— Ten mój be se jego o to mleko nie pytol — od-rzekła mama i sąsiadka wyszła.

Widziałam, że ojciec wciąż stał zamyślony a Nie-miec przyglądał mu się badawczo. Po dłuższej chwili ojciec coś mu odrzekł. Wtedy v. Wittersheim magle się cofnął i wyprostował. Twarz miał oziębłą i na oj-ca patrzył podejrzliwie. Pomału zbliżał się już do nich, na westce jeszcze ziewając, ciekawy Okuniewski, a z drugiej strony Rekowska. Wittersheim ujął lejce i odjechał.

Ojciec wszedł do izby markotny.

— Co on choł? — żywo spytała mama.

— A tec...

— No co, a tec?

Po namyśle rzekł: — Nopierwy on mnie se pytol jak nom tu idze? O ciebie, o dzece, o Janka... A tej on se do mnie nachyloł i spytal, cze jo mom zlotto? No tej jo beł haf. Nie wiedzolem co odrzec i zem se moc-ko zajakol. Bo co ten bies mogł chcec? Jak powiem, że zdziebol mom, to powie że je we wojnie Kaizrowi nie oddol.

— Ach, teru w Polsce on o Kaizru zabocoł. Co dali?

— No dali to on może mesloł, że jo nie choł po-wiedzec, bo zaczął ferfotac, że on ju je stary i gospo-darką zawiadowac dali nie chce, ale chołbe przedac ją dobrym ledzom i z nimi w Przymuszewie do smier-ce mieszkac.

Mama klasnęła w dłonie, mówiąc: — To kupma je od miego!

— A za co? I po co z Niemcem se kantrac? To je chimerny dziod i jesz zlotto mu nie doszlo. A na pe-wnioka tak mesli jak Preller, że za dwa lata Niemce będą znowu tu. Moma w Porzynie nolepszto ziemię i lecho mom nie je.

Mama, która całe życie tęskniła za własnym ka-wałkiem ziemi odrzekła z westchnieniem: — W Po-rzynie lecho nie je, ale jakbes boł co wort i umiol se zakrecec, to be me ju downo jaczi gburstwo gdzie blezi bane i koscoła mieli. A te stoisz jak drag i mes-lisz, meslisz i nic nie wemeslisz. Le teru raptem w polityce se rozjachrotol.

— Człowiek muszy bec z tego kuñtent co mo — rzekł ojciec i powoli skierował się ku drzwiom do sieni, a stamtąd wdrapał się po schodach na górę, by się zdrzemnąć.

Mama westchnęła i teraz sama się zamyśliła. Siostry bawiły się w ogrodzie a Alfons był w Sko-szewie w sprawie pszczół. Maks wędkował ryby. Dla-tego w domu zrobiła się cisza dopóki mały Józefek, budząc się, nie zapłakał. Wtedy mama z ponownym westchnieniem zabrała się do przewinięcia i piasto-wania swego trzynastego dziecka. (c.d.n.)

Przed układem kępińskim (6)

Przed burzą

Jan Powierski

DYPLOMACJA

Widzieliśmy poprzednio, jak Krzyżacy w 1238 r. zabezpieczyli sobie swobodę działania na terenie Prus, uzyskawszy zapewnienie swych sąsiadów, Świętopelka gdańskiego i Kazimierza kujawskiego, że nie będą wspierać pogan. Zapewnienie ze strony pierwszego z tych książąt było Zakonowi szczególnie potrzebne, bowiem atak krzyżacki skierował się przeciw dotychczasowym sojusznikom Pomorza, zamieszkującym wybrzeże Zalewu Wiślanego Warmom, którzy w pierwszej połowie 1238 r. nie dopuścili do umocnienia się rycerzy zakonnych na drugim (w stosunku do Elbląga) krańcu ich terytorium, w okolicach grodu Honeda. W następnym jednak roku mimo oporu Warmom Krzyżacy opanowali tenże gród, zwany odąd Balgą, a następnie bronili się w nim szereg miesięcy przed zaciekłymi atakami pruskimi, aż doczekali się saskiej krucjaty, przyprowadzonej przez księcia brunswickiego Ottona, wnuka Henryka Lwa przez ojca i Waldemara II duńskiego przez matkę. Podczas rocznego prawie pobytu Ottona w ciągu 1240 r. pokonani zostali nie tylko Warmowie, lecz także Natangowie i Bartowie, a Krzyżacy umocnili swą władzę na ich terenach przez budowę dalszych grodów.

Trwał tymczasem spór między Zakonem a Konradem Mazowieckim i jego synem Bolesławem o ziemię lubuską. Sprzyjający Krzyżakom legat papieski Wilhelm z Modeny rozstrzygał spór w Płocku, potem w Dobrzyniu i wreszcie 11 lutego 1240 r. w Michałowie (są to wszystkie grody dzielnicy mazowieckiej — a więc preceptor Zakonu musiał podczas procesu stawiać się na terenie swego mazowieckiego zwierzchnictwa), nie zdołał go jednak rozstrzygnąć. Sytuacja dla księcia Konrada była wówczas niezbyt sprzyjająca: ten krewki książę musiał w tym czasie ratować swą reputację przez Kościołem, polecił bowiem w 1239 r. powieścić kanonika płockiego Jana Czaplę, wywierającego poważny a nie po myśl starego księcia wpływ na jego syna Kazimierza. Stosunki między tym ostatnim a ojcem musiały więc być napięte; zaś dla zdjecia sankcji kościelnych musiał Konrad szczerze obdarować nadaniami dóbr i przywilejów podległe sobie instytucje duchowe.

Groźniejsze dla Zakonu Niemieckiego były słuszne skargi biskupa pruskiego Chrystiana, który wczesną wiosną 1240 r. przybył do papieskiego Lateranu. Został tu nastroje niechętne wobec Krzyżaków. Już w 1238 r. rozgorzał na nowo konflikt między papieżem Grzegorzem IX a cesarzem Fryderykiem II. 20 marca 1239 r. papież rzucił (już po raz drugi) klątwę na Hohenstaufę, a „pismem okrężnym” z 21 maja uznał go za heretyka. Tak się złożyło, że w dniu klątwy zmarł mistrz Zakonu Herman v. Salza, który potrafił umiejętnie pośredniczyć między dwoma przeciwnikami i lawirując między nimi, wyciągać korzyści dla swego bractwa. Następca Hermana, Konrad landgraf Tyngii, blisko powiązany z Fryderykiem II, udał się do kurii papieskiej z propozycjami rozjemczymi, nie potrafił jednak sprostać zadaniu, i sam został obłożony ekskomuniką. Już 11 czerwca Grzegorz IX zagroził Zakonowi cofnięciem przywilejów, pisząc do Krzyżaków: „złe nam za dobre oddając, udzielacie rady i przychylności nieprzyjacielowi Kościoła, zwalczającemu wiarę katolicką i depczącemu wolność kościelną”. 12 stycznia 1240 r. papież ustosunkował się przychylnie do pretensji joannitów do zwierzchnictwa nad Zakonem Niemieckim, polecając temu ostatniemu dowieść swej prawnej odrębności. 23 marca Grzegorz IX polecił Wilhelmowi z Modeny

postarać się o uiszczenie kar za naruszenie zakazu handlu z Prusami, przeznaczonych na wykupienie zakładników, pozostających u Sambów za biskupa Chrystiana (tzn. jego brata Henryka i siostrzeńca lub wnuka Chrystiana), zaś 11 kwietnia nakazał biskupowi Miśni i dwu innym duchownym, aby zadbał o to, by Krzyżacy zadośćuczynili biskupowi pruskiemu za wyrządzone mu krzywdy i odpowiednio go wyposażyli, albo przynajmniej przybyli do kurii papieskiej celem rozstrzygnięcia sprawy drogą sądową. Przed Zakonem stanęła groźba przywrócenia w Prusach politycznej konkurencji biskupstwa pruskiego. Agent papieski Albert z Passawy zakazał na dodatek papierania Krzyżaków w podboju Prus.

24 lipca 1240 r. zmarł mistrz Konrad tyuringijski i Zakon pozostał przez jakiś czas bez głowy. Następca Hermana Balka na stanowisku mistrza krajowego pruskiego, Poppo, nie stracił jednak głowy i z wyraźnym poparciem legata papieskiego Wilhelma z Modeny, niepomnie go na konflikt papiesko-krzyżacki, działał na rzecz umocnienia pozycji Zakonu nad Bałtykiem.

Jak wiemy, pozostał nie załatwiony spór między Krzyżakami a księciem gdańskim Świętopelkiem, który w nowej sytuacji dyplomatycznej — ze względu na powiązania z biskupem Chrystianem — stawał się bardziej niebezpieczny. Książę gdański tymczasem wykorzystał okres względnego pokoju na wschodzie do dalszego rozszerzenia swego księstwa. Najpóźniej w 1240 r. zajął on księstwo słupskie i w tym samym mniej więcej czasie, po śmierci swego sojusznika Władysława Odowica (5 czerwca 1239 r.), także wielkopolskie Nakła, biorąc tym samym w kleszcze straconą na rzecz Kujaw Bydgoszcz. Zajęcie Nakła okazało się na przyszłość nie dość przemyślane, bowiem wciągnęło potem synów Odowica do sojuszu antypomorskiego. Może jednak Świętopelk opierał się na jakimś wcześniejszym porozumieniu co do losów Nakła ze swym wieloletnim wielkopolskim sojusznikiem; zapewne też nie spodziewał się sprzeciwu młodocianych i słabych Władysławowiców? W każdym razie dzielnica Świętopelka rozrosła się i nie miał ona zamiaru iść na ustępstwa wobec Krzyżaków w sprawie cel i granic.

W tej sytuacji braciom rycerzom musiało zależeć na umocnieniu ich sojuszników a zarazem niedawnych i potencjalnych wrogów księcia gdańskiego: jego młodszych braci (Sambora i Racibora) i biskupa włocławskiego Michała. Między Samborem a Michałem istniała jednak dość niezgoda; sprawa uiszczenia dziesięciny z dzielnicy Sambora. W uregulowaniu sporu zapośredniczyli więc mistrz Poppo i Wilhelm z Modeny. 21 lutego 1241 r. w krzyżackim Toruniu biskup i Sambor zawarli polubowny układ, na mocy którego biskupstwo zamiast dziesięciny bezpośrednio z ludności całej dzielnicy uzyskało zrównoważony ekwiwalent w postaci nadania jako własności ziemskiej terytorium gorczyńskiego. Te odsunięte od Wisły dobra nie stanowiły co prawda spełnienia szczytu marzeń biskupa Michała, jednak uzyskał on ważną bazę ekonomiczną na Pomorzu Gdańskim. Nie mogło być po myśli Świętopelka ani to umocnienie pozycji biskupstwa włocławskiego pod jego boki, ani tym bardziej zawieranie przez podlegającego mu młodszego brata ugody bez wiedzy zwierzchnika a za to z inicjatywy krzyżackiej. Mistrz Poppo mógł się z tego natomiast cieszyć.

Wiosną 1241 r. na ziemię południowopolskie spadła wała mongolska (tatarska). 9 kwietnia pod Legnicą zginął książę Krakowa, Śląska i południowej Wielkopolski, Henryk Pobożny. Mongołowie, dla których Polska nie by-

ła istotnym kierunkiem ekspansji wycofali się, ale pozostały po nich zgłiszczą. Małoletność synów Pobożnego, za których regencję sprawowała księżna-widowa Anna, osłabiła najsilniejszą dzielnicę Polski, krakowsko-śląską. Odżyły wówczas krakowskie marzenia księcia Konrada Małopolce. W lipcu opanował on Kraków. Przysporzyło mu to ambicji, ale i wrogów. Rządy swe w Małopolsce oparł głównie o ród Lisów, zapewne odległych krewnych Świętopelka. Członek tego rodu, Mściwój, został mianowany wojewodą krakowskim. W nowej sytuacji politycznej, mając też zapewne na uwadze spór z Krzyżakami o ziemię lubawską, książę Konrad zdecydował się na porozumienie ze Świętopelkiem. 18 września spotykamy go wraz z synami: Bolesławem mazowieckim, Kazimierzem kujawskim i najmłodszym Siemowitem na wiecu z księciem gdańskim, na lewym brzegu Wisły naprzeciw Kępy Pędzewskiej (w pobliżu Solca Kujawskiego), a więc tuż przy ówczesnej granicy kujawsko-pomorskiej. Na granicy często spotykali się dotychczasowi przeciwnicy. W otoczeniu Konrada było kilku przedstawicieli Lisów — może to oni podsunęli myśl porozumienia ze Świętopelkiem, zabrakło zaś może biskupa wrocławskiego Michała, chociaż wiec odbywał się w jego diecezji.

Spotkanie jednak nie dało pożądanego efektów. Obok nierozstrzygniętego sporu pomorsko-kujawskiego o Bydgoszcz zapewne też związane z objęciem tronu krakowskiego dążenia Konrada do przywrócenia zwierzchnictwa nad Pomorzem Gdańskim dzieliły partnerów z Pędzewa. Brak porozumienia Konrada i jego synów ze Świętopelkiem miał w najbliższej przyszłości zaciążyć na dziejach politycznych północnych ziem polskich w następnych kilku nastu latach. Być może natomiast spotkanie pędzewskie odsunęło na jakiś czas wybuch wojny.

Zmarł tymczasem papież Grzegorz IX (22 lipca 1241 r.), w ostatnich latach swego życia niechętny Zakonowi. Nastąpił dłuższy czas, gdy, nie licząc krótkotrwałego pontyfikatu Celestyna IV (25 X—10 XI 1241), tron papieski pozostawał nie obsadzony. Poprawiło to znacznie dyplomatyczne położenie Zakonu i wznowiło ręce sprzyjające mu legatowi papieskiemu Wilhelmowi z Modeny. O działaniach tegoż ostatniego świadczą pośrednio pewne nieco późniejsze informacje. W bulli z 29 lipca 1243 r. nowy papież Innocenty IV upoważnił go do dokonania podziału Prus i ziemi chełmińskiej na 4 diecezje, a już tego samego dnia Wilhelm wystawił akt podziału z określeniem granic. Wytyczenie granic musiało nastąpić gdzieś na terenie Prus, w oparciu o bullę papieską z 30 maja 1234 r. podczas gdy bulla z 29 lipca 1243 r. była przyspieszonym ponowionym upoważnieniem ze strony nowego papieża. Może więc prawdopodobna jest późniejsza tradycja, że podział został dokonany nie w 1243 r. lecz nieco wcześniej (według tradycji w 1241 r.) na synodzie toruńskim, w którym mieli brać udział arcybiskup gnieźnieński oraz biskupi: płocki, wrocławski i wrocławski. Miejscem synodu miał być klasztor franciszkanów. Jeśli tradycja podaje prawidłową datę roczną, należałoby przyjąć, że domniemany synod odbył się w jakiś czas po śmierci Grzegorza IX. Może jednak w odpowiedzi, zaginionej dziś zapisce, została opuszczona pałeczka w dacie rocznej, a wówczas nie można by wykluczyć datowania synodu na 1242 r. Nie wykluczone, że stało się to wkrótce po kwietniu tegoż roku, gdyż w tym miejscu Wilhelm z Modeny odbył podróż przez teren Prus. 6 kwietnia 1242 r. w Elblągu wystawił on przywilej, przyznający Krzyżakom prawo patronatu do wszystkich szpitali na terenie Prus: już istniejących (Toruń, Elbląg) i w przyszłości zakładanych. W pewnym stopniu godziło to w interesy biskupa pruskiego Chrystiana. 19 kwietnia Wilhelm był obecny w Baldze, gdzie Krzyżakom inflanckim zezwolił na zbudowanie pewnych zamków w diecezjach kurońskiej i semigalskiej. Może to wówczas Wilhelm zbierał dane, potrzebne dla dokonania podziału Prus na diecezje.

Tak czy inaczej szczegóły podziału zostały postanowione najpóźniej w 1242 r. Sama idea podziału diecezji pruskiej za życia pierwszego jej biskupa, Chrystiana, oznaczała uszczuplenie praw i władzy tego ostatniego. Wilhelm uzyskał jednak także pewne ustępstwa ze strony Krzyżaków. Mianowicie postanowiono, że władzą z biskupów pruskich miał uzyskać jako władztwo trzecią część terytorium swej diecezji. Był to pewien kompromis, gdyż na mocy ugody między Zakonem a Chrystianem z 1231 r. biskup-

stwo pruskie miało zapewne otrzymać, na wzór inflancki 2/3 terenu Prus, a z drugiej strony aktualnie władza nad całością spoczywała w rękach Zakonu. Dla Chrystiana było to tym bardziej niekorzystne, że zamiast 2/3 całych Prus miał otrzymać tylko trzecią część diecezji (stanowiącej trzecią część kraju), a więc 1/9 całych Prus. Być może początkowo Chrystian, jeszcze w czerwcu 1241 r. pozbawiony jakiegokolwiek uposażenia na terenie swej diecezji, zgodził się na proponowane warunki podziału terytorialnego. Wiadomo w każdym razie, że na podstawie tych warunków dokonano najpóźniej w 1242 r. podziału przynajmniej ziem lubawskiej a może i innych ziem pruskich. W oparciu o nową bazę terytorialną Chrystian zaplanował fundację klasztoru cysterskiego w Prusach, który służyłby mu pomocą w działalności misyjnej a także umacniałby tu jego pozycję. Projekt fundacji został zgłoszony na kapitule generalnej zakonu cysterskiego we wrześniu 1242 r. Kabięła, zgodnie ze swą stałą praktyką, zleciła opatom z pomorskiej Oliwy i wielkopolskiego Łądu dokonanie inspekcji w terenie celem sprawdzenia, czy planowane uposażenie klasztoru gwarantuje jego byt. Postanowiła też, że nowy klasztor będzie filią wielkopolskiego opactwa w Łekanie, już dawniej zaangażowanego w misję pruską.

Nowe warunki nie mogły jednak zadowolić biskupa Chrystiana. Zobaczmy, o czym mówi się w liście 11 opatów cysterskich do nie wymienionego z imienia papieża:

Dokumenty poprzedników Waszych, szczęśliwej pamięci panów apostołskich Inocentego (III), Honoriusza (III) i Grzegorza (IX) przez czcigodnego pana biskupa Prus (okazane) wdziliśmy nie uszkodzone, nie pokreślone i w żadnej sęści nie unieważnione i słowo za słowem odczytaliśmy je w te słowa...

Dalej wpisano następujące dokumenty: 1. pełnomocnictwo Honoriusza III dla biskupa Chrystiana, upoważniające go do udzielania krzyżowcom takich samych przywilejów do Prus, jak idącym na krucjatę jerozolimską; (1217 r.); 2. papieża Innocentego III potwierdzenie posiadania przez Chrystiana ziemi lubawskiej; 3. tegoż potwierdzenie posiadania ziem lędziańskiej; 4. bullę Grzegorza IX, nakazującą arcybiskupom Moguncji, Kolonii, Magdeburga, Bremy, Salzburga i Gniezna i innym duchownym z ich prowincji nakładania kar kościelnych na tych wszystkich, którzy przeszkadzaliby Chrystianowi w dziele misyjnym i niszczyli jego posiadłości (1227 r.); 5. potwierdzenie przez Grzegorza IX nadań biskupstwa płockiego i księcia Konrada dla Chrystiana (1227 r.); 6. podobne potwierdzenie Honoriusza III (1223 r.); 7. bullę tegoż papieża, zezwalającą Chrystianowi na ustanawianie biskupstw w Prusach i wybór ich biskupów (1218 r.); 8. zezwolenie tego samego papieża, by Chrystian mógł nakładać kary kościelne na tych krzyżowców, którzy bez jego woli wkroczą na tereny naofitów pruskich i będą próbować ich podporządkować sobie. Po tekstach wymienionych dokumentów opaci dalej piszą do papieża:

Jak zaś i ile tenże biskup Prus w kraju owym pracował dla oświecenia dusz! Wystawiając się bowiem na śmierć za imię Chrystusa, znosił z cierpliwością jeniecwo, więzy i więzienia oraz ciężkie cierpienia. Teraz zaś niektórzy rywale jego próbują odsunąć łaskę, ustąpią mu przez Stolicę Apostołą kę z racji pewnych dokumentów, w których, jak mówi się, nie ma wzmianki o przedniejszych, osłabić jego pracę szukając tego, co jest ich, a nie tego, co należy Jezusowi Chrystusowi. Stąd, klęcząc u stóp Waszej Świętobliwości, prosimy za niego i z nim, aby łaskę przez Was i przez poprzedników Waszych nadaną mu godnie zatwierdzić, nie zważając na dokumenty, jeśli jakieś zostały uzyskane przez wrogów jego z krzywdą dla niego.

List opatów, napisany podczas jednej z wrześniowych kapitul generalnych cystersów, nie wiadomo jednak którego roku (1239, 1240 lub 1243), ale i bez względu na dokładną datę, ukazuje te prawa biskupa Chrystiana, których egzekucji domagał się on w tym czasie.

Jest możliwe, że częściowe ustępstwa Krzyżaków pruskich wobec Chrystiana, jak i następne — wobec księcia Konrada, związane były z pogarszeniem się sytuacji politycznej w ciągu 1242 r.

Oto 5 kwietnia 1242 r. znaczne siły Zakonu i biskupów z Inflant, dowodzone przez wicemistrza inflanckiego Andrzeja v. Velven, zostały rozgromione przez ówczesnego księcia Nowogrodu Wielkiego, Aleksandra Jarosławowicza, w bitwie na łódzie jez. Peypus, znanej dobrze czytelnikowi z nie zawsze ścisłego obrazu w filmie „Aleksander Newski”. Księka zahamowała krzyżacką ekspansję na północną Ruś i ożywiła opór podbijanych w tym czasie przez mistrza inflanckiego Dietricha v. Groningen Kurszów (Kuronów), bezpośrednich sąsiadów Prusów, i Zemgalów (Semigalów). Pośrednio księka w Inflantach mogła wpłynąć także na sytuację Prus, gdyż ewentualne posiłki z Niemiec musiały być kierowane do bardziej zagrożonych Inflant. Przede wszystkim jednak księka mogła mieć znacze nie moralne, gdyż była to pierwsza większa porażka Krzyżaków, podważająca rodzące się poprzednio przekonanie o ich potęgę, w istocie poważnej tylko w okresach pobytu krucjat z Rzeszy.

W tym kontekście należy widzieć układ, zawarty przez nowego mistrza krajowego Prus, Henryka v. Weida, z Konradem Mazowieckim i jego synami 20 września 1242 r., którego tłumaczenie warto przytoczyć w całości.

SOJUSZ PRZECIW ŚWIĘTOPEKOWI

My Konrad, z łaski bożej książę Krakowa i Łęczycy, z synami naszymi: Bolesławem, księciem Mazowsza, Kazimierzem, księciem Kujaw, i księciem Siewielit, czynimy wia domym wszystkim, że brat Henryk, zwany z Wida, preceptor domu niemieckiego w Prusach, za radą i zgodą swoich braci (zakonnych), rozważywszy także zarządzenie, uroczyste niedgdyś wydane przez pana legatę w sprawie między panem biskupem Prus Chrystianem a braćmi z domu niemieckiego o podział ziemi lubawskiej w ten sposób, że trzecia część jemu przypadłaby a dwie samym braciom; z tej części, która do nich należy, ustąpił połowę synowi naszemu Bolesławowi, wyżej wspomnianemu, aby tą częścią on sam i jego dziedzic zostali zadowoleni i ją posiadali z jej użytkami na wieczność z pełnym prawem, pod tym warunkiem, że my książę Konrad i inni synowie nasi do niczego więcej ze wspomnianej ziemi poza tą częścią. A ponieważ Świętopek, pan Pomorza, tymże braciom i ich ludziom gwałt kilkakrotnie wyrządził i zamierza nadal wyrządzać, więc tą koniecznością przymuszeni przyrzekli nam i synów naszych przeciw niemu z dobrą wiarą wspierać, jak długo ten Świętopek będzie żył lub dopóki nie zadośćuczyni przez sprawiedliwość lub przez układ polubowny, który poradzilibyśmy im przyjąć. My także nie przyjmujemy od niego żadnego zadośćuczynienia za krzywdy nam wyrządzone, jak to, które wspomniani bracia według boga uznaliby za pożyteczne. Pokoju żadnego z nim nie zawrzemy, jeśli nie byłoby pożyteczny dla wspólnej korzyści ziem obu stron. Po śmierci zaś tego Świętopeka żadna ze stron nie powinna wzajemnie wobec drugiej nieprzyjaźnie działać, za sprawą żadnego człowieka, lecz jeśli między nami zrobiło się coś, co mogłoby zasłać niezgodę, niech będzie usmierzone przez stolicę apostolską lub przez sędziów polubownych. I tak przyrzeczmy pokoju niech będzie zachowywane bez naruszenia, jeśli nie przeszkodził specjalne polecenie apostolskie. Kiedy by zaś wspomniani bracia spotkali by się z nami dla organizowania wyprawy, my osobliwie z synami lub co najmniej synowie nasi niech idą, wspierając ich według naszych sił. A jeśli grody za ich radą chcielibyśmy zbudować, niech służą nam pomocą, na ile mogą. A jeśli zostałyby obłożone gród, który pospolicie zwie się Bydgoszcz, lub jakkolwiek inny, który zostałyby zajęte z ich pomocą, zobowiązani są go według swoich sił uwolnić. Jeśli by zaś te grody wymagały nakładów, niech zatoszą się, na ile mogą, o pewny przychód. Obiecali także, że, jeśli by niewolni nasi lub kościołów lub którychkolwiek innych (właścicieli), którzy są pod nami, uciekli do ich ziem, zostaną nam zwrócony według prawa swojej ziemi, i my im odwrotnie uczynimy to podobnie. A jeśli wolni ludzie z ziem naszej części chcieliby przesłizby do nich, uprawomocnimy. Obiecaliśmy także, że w tej wojnie nie będą chwytani chłopcy, mający mniej, niż 12 lat, dziewczęta i niewiasty, a także, że nie będą łupione ani także chwytane osoby kościelne. Żadnej krzywdy nie mają ponieść kościoły, cementarze i dobra kościelne, tak same, jak i w tym, co należy (do nich) czasowo; i to przyrzeczenie przez obie strony będzie dotrzymane. Przyrzekli ponadto bracia nam a my im, że ich twierdza dla nas a nasze dla nich w czasie tej wojny stać będą otworem, z tym jednak, że żadna ze stron przez to nie ucierpi. Przyrzekamy zaś braciom wspomnianym, że ludzie ich wiecznie zwolnieni będą w zupełności od wszelkiego uiszczania cła tak na wodach, jak na lądzie, w księstwie Pomorza. W księstwach zaś naszych, w których władamy, przestrzegaliśmy byliśmy starych cel, znosząc to, co być może świeżo zostało dodane, i powinniśmy im przedstawić starą formę opłacania, wyrażoną na piśmie, aby została wykluczona wątpliwość opłacania i niezależnego ciężaru. Wszystkie nowe cła, które zostały ustanowione po przybyciu wspomnianych braci do Prus, zupełnie zostaną uchylone. Pielgrzymi i inni wolni ludzie, wchodzący do Prus, niech przechodzą bez opłaty cła. Aby zaś zamknąć drzwom niezgodom, to obie strony uzgodniły, że Wisła granicę ziem ma oddzielać aż do Przemysławy i Przemysława niżej do ujścia do słonego morza, tak, że same wody po połowie zostaną podzielone. Ponieważ zaś do dochowującego wiary szczerze powinno się wiary przestrzegać, Sambora i Racibora, panów części Pomorza, którzy wiary braciom dotrzy-

mali, w posiadaniu tego, co teraz mają, i owego, co powinni otrzymać od brata prawem podziału a co gwałtem im zaprzeczyl, nieumniejszone chcemy zachować; jeśli tylko ośmielią się dotrzymać swej obietnicy, którą dali braciom. Aby zaś wyżej wymienione postanowienia, przyrzeczenia i układy zyskały moc wiecznej siły, dołączamy (klauzulę), że jeśli by któraś ze stron chciała się przeciwstawić podanym wyżej postanowieniom i przyrzeczeniom, nie będzie związana więzami kłątwy stolicy apostolskiej, a jeśli by, pouczona, w ciągu 4 tygodni pozostawała uparta, za karę swego przekroczenia niech będzie pozbawiona przyrzeczeń i zobowiązań strony drugiej, od własnych jednak zobowiązań niech będzie zwolniona i nigdy od sznurów kłątwy nie będzie uwolniona, dopóki nie okaże odpowiedniej poprawy. Ten zaś, który nie (?) ziośliwie cokolwiek zaniedba z przyrzeczeń, jeśli w ciągu 4 tygodni nie naprawi, niech podlega wspomnianej najgorszej karze. Uczynione roku łaski 1242 w 12 kalendy października, indykcji 15, z zapisaniem tych świadków: pana Michała, biskupa kujawskiego, Helwiga, opata św. Gotarda, Wolmira, kanclerza księcia Konrada, Andrzeja, kanclerza księcia Bolesława, Piotra, kanclerza księcia Kazimierza, Boguszy, kasztelana krakowskiego, Czcibora, wojewody łęczyckiego, Witka, kasztelana płockiego, Krzywosąda, łowczego i licznych innych, którzy wówczas byli. Na większy zaś dowód rzeczy uczyniliśmy, że umocniono niniejszą kartę pieczęciami naszymi i biskupa Kujaw i proceptora Prus.

Jak widzimy, przedstawiony dokument jest aktem przy mierza księcia Konrada i jego synów z Krzyżakami. Mowa jest w nim m. in. o sojuszu wojskowym przeciw Świętopekowi, którego motywacją są jakieś bliżej nieokreślone gwałty, wyrządzone samym Krzyżakom i ich poddany. Sformułowania dokumentu nie mówią o jakiejś prowadzonej przez księcia gdańskiego wojnie ani o jego sojuszu z Prusami. Poza owymi gwałtami i inne przyczyny sojuszu podane są pośrednio; możemy je czytać między wierszami. Skoro więc Konrad zwałnia na przysłość Zakon i jego poddanych od uiszczania cła wodnego i lądowego na Pomorzu, widocznie ono należało do głównych przyczyn sporu pomorsko-krzyżackiego – w swych dzielnicach zresztą Konrad cło zachowuje, mimo pewnych ograniczeń. Wobec tego, że Konrad zgadza się, by Wisła i Przemysława stanowiły granicę pomorsko-krzyżacką, należy przyjąć, że przedmiotem sporu były też tereny na wschód od tych rzek. Są to przyczyny konfliktu krzyżacko-pomorskiego, dobrze już nam znane z poprzedniego okresu.

Zalutnienie tych spraw spornych po swojej myśli było główną motywacją zawarcia sojuszu przez Zakon. Sojusz ten Krzyżacy okupili nawet pewnymi ustępstwami wobec Konrada i jego synów, głównie kompromisem w sprawie ziemi lubawskiej. Jest to zrozumiałe wobec sytuacji strony krzyżackiej w tym czasie, uwzględniając zarazem rosnącą potęgę księcia gdańskiego.

Mniej wyraziście rysują się motywacje Konrada. Ze sformułowań o możliwości obłożenia grodów przez przeciwnika, zwłaszcza zaś Bydgoszczy, wynika, że chodziło co najmniej o obronę kujawskich zdobyczy z poprzedniej wojny. Skoro zaś mowa o grodach, które na korzyść Konrada mogłyby zbudować i zaopatrywać Krzyżacy, to niewątpliwie nie może tu chodzić o grody kujawskie lub tym bardziej leżące dalej od planowanego teatru działań wojennych, lecz o grody na terenie Pomorza. Zapewne więc Konrad i jego synowie zamierzali opanować dalszą część dzielnicy Świętopeka. Wyznaczenie przyszłej granicy na wspomnianych rzekach wskazuje, że Konrad miał nawet zamiar albo opanować całe Pomorze Gdańskie, albo narzucić mu zwierzchnictwo. Ten maksymalny plan ówczesnego księcia krakowskiego i łęczyckiego należy wyjaśnić dążeniami jego do wykorzystania posiadania stolicy Polski celem narzucenia swego zwierzchnictwa innym dzielnicom. W przypadku Pomorza Gdańskiego oznaczałoby to co najmniej powrót do stanu z przed 1227 r. Interesujące, że wśród świadków dokumentu sojuszu nie ma przedstawicieli rodu Lisów, może nie przyjmującego z entuzjazmem nowej pomorskiej polityki Konrada.

Dokument dostarcza jeszcze jednej interesującej informacji, a mianowicie o obu młodszych braciach Świętopeka. Nie wiadomo, jakie były przyrzeczenia ich wobec Krzyżaków: czy chodziło tu tylko o poprawne stosunki, czy o sojusz. Mowa przewiduje ewentualność rozszerzenia dzielnicy Sambora i Racibora, co świadczy o niebezpiecznych nadziejach układających się stron na ich aktywny udział w walce przeciw starszemu bratu. Wydarczenia lat poprzednich te nadzieje czyniły realnymi. Być może celowo w dokumencie nie wymieniono zobowiązań obu juniorów.

Realizacja celów wojennych Konrada, jego synów, Krzyżaków, i pośrednio pomorskich juniorów, oznaczałaby całkowitą ruinę tego, co Świętopek zdołał zbudować w ciągu

dotychczasowych 25 lat swych rządów. Sukcesy tego księcia wynikały stąd, że działał on w zasadzie zgodnie z kierunkiem ówczesnych procesów dziejowych, prowadzących do rozdrobnienia feudalnego Polski. Konrad działał raczej z pozycji konserwatywnego władcy, jakim w istocie był, zmierzającego do zachowania silnej władzy książęcej w swojej dzielnicy, i w miarę możliwości odbudowywania jedności państwowej Polski. Obu tych władców trudno więc potępiać. Sojusz z Zakonem, mimo dotychczasowego sporu (ale właśnie powiązany z jego kompromisowym rozwiązaniem), nie może być rozpatrywany z punktu widzenia późniejszych stosunków polsko-krzyżackich, decydujących o dalszych kierunkach polityki obu stron. Wszak Zakon, chociaż kłębny (ale ileż to innych klasztorów zajmowało taką postawę wobec władców!) pozostawał pod formalnym patronatem Konrada jako współfundatora Zakonu. Traktowano go zapewne na dworze księcia jako coś swo-

jego, chociaż nieco kłśliwego. Nie inaczej też traktowano Świętopelka.

Obiektywnie, z punktu widzenia późniejszych wydarzeń, sojusz mazowiecko-krzyżacki nie był korzystny dla Polski. Kto jednak mógł wówczas przewidzieć przyszłość. Sam Świętopelk został wrogiem Zakonu z konieczności. Czuł się na siłach przeciwstawienia się mu. Działania Konrada i Świętopelka były do siebie zbliżone. Obaj byli przedstawicielami tej samej epoki, czuli się silni, chociaż trochę przesadnie. Nie unikali rostrzygnięć orężnych. Przed Świętopelkiem nie było co prawda mirażu zjednoczenia Polski, bo nie był Piastowicem, ale za to, na ile tylko mógł, skupiał w swym ręku różne ziemie.

Jak widać wyraźnie z tekstu aktu sojuszniczego, chodziło o wojskowy układ zaczepno-odporny, z większym bodajże jednak akcentem na atak. W tej sytuacji jawne działania zbrojne wisiły na włosku. (c.d.n.)

Na pustkowiu

To, co jeszcze kilkadziesiąt lat temu fascynowało ludową wyobraźnię nadmorskich gawędziarzy, czyli miejsca odludne, trudno dostępne i niebezpieczne tracą dziś zupełnie swą tajemniczość i grozę. Na dużych obszarach kaszubskiego wybrzeża Bałtyku rozciągały się niegdyś bagniste tereny podmokłych torfowisk, z którymi wiązano setki najdziwniejszych opowieści i podań. Diabelskie pustkowia, stanowiące realne zagrożenie dla ludzi nie znających groźnych praw panującej tu przyrody, identyfikowano od wieków z siedliskiem wszelkich złych mocy. To tu przecież Smętek przesuszał w blasku księżyca pieniądze, a wiedźmy znajdowały u purtka swoisty azyl.

Nieostrożnych wędrowców, którzy zapuszczali się zbyt późną godziną zawsze oczekiwało niezbyt przyjemne spotkanie z duszami potępionych Krzyżaków, Szwedów i Francuzów, których dusze skazane zostały na błąkanie się po bezdrożach, podobnie, jak czynią to błękitnożółte płomienie błędnych ogni przyciągających swym tajemniczym lśnieniem naiwnych wędrowców w samo serce bagna, skąd nie ma już żadnego ratunku.

Podmokłe pustkowia stało się krainą, gdzie schronienie znalazły wszelkiego rodzaju boginki, elfy, skrza-

ty i gnoy o pogańskim jeszcze rodowodzie, zachowując swą lokalną, regionalną odrębność. Rekwizytem diabelskiego bagna były złowrózbe odgłosy ropuch. Z daleka wabiły one (o określonej porze roku) przechodniów swym niezwykle nawoływaniem, przypominającym z dużej odległości ponoć dźwięk szklanych dzwoneczków. Słyszac je, mieszkańcy wioski położonych nieopodal mokradeł przewidywali nadchodzące nieszczęście. Innym motywem charakterystycznym dla pejzażu, tego niezbyt gościnnego obszaru były skarłowaciałe olchy — drzewa, których pochodzenie bezpośrednio kojarzono niegdyś z postacią szatana. Jego to bowiem krew zabarwiła na czerwono słoje ciemnych konarów.

Całe demoniczne teatrum rozpoczyna się na kaszubskich pustkowiach dopiero o północy. Każdego, kto wówczas zbyt daleko zapuścił się w dzikie ostępy owej ponurej krainy czeka śmierć, zanim to jednak nastąpi dane mu będzie oglądać raz w życiu tańczące nad topielą córki króla olch. Oto, jak atmosferę takiej nocy opisuje w jednym z wierszy Bernhard Borck.

BAŁTOSŁAW

Bernard Borck

Diabelskie bagno

Jak zakłete wśród szuwarów
Tkwi na pustkach czarcie bagno,
Gdzie przed nocą, w porze czarów
Chóry ropuch ofiar pragną.

Wędrujące błędne ognie
Przemykają po nizinie,
Oczekując na przybycie
Córek króla olch w wierzbini.

Nagle w ciszy trzęsawiska
Zamajaczą tajemnicze
W korowodów drżących płasach
Nimfy — błotne topielice.

Rechot żab zamilknie w łkaniu
Głucha błyskawica zblednie,
Nim dolinę w mgieł woalu
Widmo bagna znów obejmie.

z niemieckiego przełożył:
Jerzy Samp

Wiersz ten w wersji oryginalnej pt. „Das Teufelsmoor” publikowany był w r. 1910 w „Berenter Kreiskalender”.

Jumneta

Alojzy Nagel

Nowe bajki kaszubskie

Gbur, warna i sroka

Jeden gbur mieszkôł szprzëti lasu. Jemu wiedno dzinę kurżëta. Dostrzegł, że kradniszem je warna i sroka. Dulczel na to żebë je żewë chwôcëc. Nastawił sëdła, w chtërnë sę i warna i sroka zapëzгла. Chłop zamknął je w klôtkę i rzekł jima, że on je skôzôł na smierc.

— Pusc mie na wolę — prosa sroka. — Jô nick wice ce nie zemknę. A za to wiedno czilë dni wprzôdk cziëj mdze miôł deszcz padac, těj jô przindę do chëczy i rzekę ce o tim. — Mie těj wë puszcz — prosa warna — nie mdę wice bra nizôdnëch kurżëtów i i cziëj mdze miôł snięg padac, těj jô ce czilë dni wprzôdk przindę rzec o tim. Gbur bël mitczigo serca i wëpuscel na wolę i warnę i srokę.

Wiedno cziëj miôł deszcz padac sroka przëszła rzec gburowi o tim. Cziëj miôł snięg padac těj warna też przëszła rzec o tim ale kurżëta i warna i sroka czë mia leżnosc těj wiedno zemklë.

Gbur stojeł na podworzim i gôdeł sóm do se: Jô bël natrasli, że jô të nipocë ptôchë z klôtczy wëpuscel. A warna ze sroką sę wëszczërza: kra, kra, kra.

Jumneta

Chodz dzysô je gard Wolin, tam przed latamë latecznema bël gard, chtërnë zwôł sę Jumneta. Niechtërný lëdzë zwôlë go Wineta.

To bël baro bogati gard. Wkól gardu bëlë dwanoscë wiadzich złotëch brómów, budinczi, stëpnie i mëlë bëlë tam z czëstego jantara, zwonë ze strzëbra i bawidła dlô dzëcy ze złota. Tu przëjëzdzôlë Rzëmioni, Wikinkowie, Arabowie i Żëdzë przëdawac swoje toworë i do dom brôlë kupiszë z Jumnetë, osoblëwie jantar. Kaszëbi z Jumnetë bëlë baro bogatë i szło jima w zëcëm baro dobrze. A cziëj jima szło tak dobrze těj oni zabëlë o kaszëbsczi mowie, o kaszëbszczich zwëkach, o kaszëbszczich obleczeniach i przëjimë lë baro rôd i chutko wszëtko co bëlë cëze.

Cziëj o tim dostôł wiedzë nôwtksi bóg Kaszëbów Świętowit w Arkonie, chdze ów miôł swoje dodom, těj on sę baro rozgorzel i poslôł do Jumnetë starëszka, chtërnë zwôł sę Stolp, bo bël baro wiadzci.

Starëszk cziëj przëjachôł na hiszku do Jumnetë, těj on sôdl na wiadzim kamie i jał glosno wolac: „Kaszëbi bôczta, żebë wama nie bël

wzëti waji brzôd. Dozerejta mowë i zwëków starców. Żelë wa to poniechota, těj Świętowit sę na waji rozgorzi i nie dô sę wicy udobrëchac, i těj zdzinita wa i waji pëszny gard na wiedno”.

Ale lëdzë z Jumnetë abo udôwôlë że nie czëją ostrzedzi dobrego starëszka, abo sę z nie wëszczërzôlë, bo mësłëlë, że on je letczy w głowie.

Cziëj starëszk przëszedł do dom i o wszëtczim opowiedzôł Świętowitowi, ten těj zowolôł Paróna i kozôł jemu Jumnetë abo udôwôlë że nie czëją ostrzedzi dobrego starëszka, abo sę z nie wëszczërzôlë, bo mësłëlë, że on je letczy w głowie. Postësznë Parón sôdl w okrët i chutko përowôt w czërënk u nieposlësznego gardu.

Cziëj on tam przëjachôł, těj wzôł swoje baranie i powstôł wiadzci grzëmot i liskani, i piôsk Bôł tu zasëpôł cali gard. Nicht z lëdzë ani ze zwierzëtów sę nie zretôł, a cziëj chto tam przëszedł z cze kawotë zazerac, temu w głowë zachodza od okropnotë, chtërną tam widzôł. Tak skôrôł Świętowit Jumnetë za ochëbë swoji tatczëznë.

Zarzekło macka

Jedni lëdzë mielë baro snôżq otroczëcë. Baro wiele kawalerów chca ja miec jakno przindną bialkë. Sprzëti mieszka straszno baro baba, o chtërnï lëdzë gôdôlë, że je cota. Ona bëlã nôzdronô, i ji sę to ni widza, że ji sąsodze mają taczci sposobny dzëwczë. Kawel chcôł, że bëlô sëche lato i prawie wszëtczci stëdnie bëlë powëschlë, le w stëdni chdze mieszka cota bëlô jész dosc tëlï wodë.

Goszka — bo taczci bëlô miônô dzëwczëca — wzë szchanie dwa wëbórczi i szło za wodą. Cziëj ona przëniosła wodë do dom těj ona wzëła taskę i jęła pic wodë. Cziëj ona le përna ni wodë wëpila těj od razu sę przemienia w mackë i cziëj jã starszi przëszlë do dom i uzdrzelë w chëczy macka, těj ję wënkôlë précz. Przë nieszczescëm bëlô těj szczescë bo oni przez nieostrôżnosc wëlôlë wszëtcką wodë, a woda bëlã zarzeklô.

Macka chodza od wsë do wsë, od jednych pustków do drëdzich i nicht ję nie chcôł w chlëw wpuscëc, wszëdzie ja wënkëiwôlë. Rôz ona uzdrza na wëdze karno szopków. Dostrzegła těj, że jich pasturk haszko. Krëjamko wmiësza sę midze szopczy i razem z nima szła do dom. Cziëj własta szopków uzdrzôł mackë, těj on těj ję chcôł wënkëac, ale on miôł malińczy knôpiczka, chtërnë go uprosël żebe maccë nizôdny krzywdë nie robił. Macka tak do knôpiczka są przënëca, że ona jadła trôwë z jęgo rëczy.

Nastata wilějô świętego Jana. Pasturk pěrznę rěchli nĕkòł szopczi do dom, żebĕ mógł zdżęc na czas na sobòtkę. Pasturk razem z drĕchamĕ skòkòł przez odziń. Pasturce klòdlĕ w rĕdze swoje kłoboczi, żebĕ je lepi moglĕ poznać, to przerwiesziwòlĕ do nich bestri blewiqzci. Dzewczĕta brałĕ kłoboczi i z tim pasturkem chtĕrnĕgo bĕł kłobuk dzĕwczĕ tancowa do rena. Wójtkowigo kłoboka nizòdne dzĕwczĕ nie wĕbra. Wójk nò-przòd sedzòł sòm nasowiali i rozmislòł nad tim co zrobic, bo wiedzòł, żelĕ on ostònie dali przĕ sobòtcĕ, to drĕszĕ z nie sĕ mdq wĕszczercac. Po temu sĕ udbòł, że pudze do dom.

Darga do dom prowadza przez las. Nògle w lesĕ zrobia sĕ widno. Miesac wĕzdrzòł zza blò-nów. Wójk uzdrzòł przed sobq kwitnącą paproc.

– Czĕ to możebne – rzekł sòm do se. Zerwòł paproc i nĕkòł jak le nòchutczĭ mógł z nim kwia tem do dom. Sprzĕti chĕczy Wójk uzdrzòł swojq mackę. On podbieglĕ do ni a ona zjadła mu kwiat paprocĕ. Pasturk sĕ urzasł i zawrzeszczòł: – Co za nieszczescò! – Cziĕj on przĕszedł do se, tĕj przed nim ju nie bĕło nizòdny maczci, le pĕszny dzĕwczĕ.

Wójk szedł z dzĕwczĕcem do ji dodomu. Za mòli sztòt bĕło jich wieseli. Tatk Goszki zapisòł Wójkowi swoje gburstwo i jaż do smiercĕ Wójk f Goszka żelĕ szcieszlĕwie ze sobq.

Królewiònka i pasturk

Jeden król miòł baro pĕszną otroczĕcĕ, chtĕrnq on barzĕcko kochòł. Cziĕj ona mia ju dwadzesse lat, tĕj król rzekł do ni: – Terĕ dzĕwczĕ je ju nòwĕjszi czas, żebe mĕ wĕszukòlĕ dlò ce chlòpa.

– Czĕ, tĕ tatk u spelnisz mojq zĕczbĕ – spita sĕ dzĕwczĕ.

– Wierĕ, że jò – odrzekł król.

– Żelĕ tak je – rzekła tĕj otroczĕca – to niech mojim przĭndnĕm chlòpem mdze ten, chtĕrĕn nòlepi znajĕ historĕjĕ najigo kròlestwa.

Noprzòd przĕjachòł jeden kròlewiònk i opowiedzòł ji historĕjĕ jich kròlestwa stolatnq.

– To je za malo – rzekła kròlewiònka i kròle-wionk odjachòł smutny do dom.

Przĕjachòł drĕdzi kròlewiònk, chtĕrny ji opowiedzòł co w jich kròlestwie sĕ dzejało przez dwasta lat.

– To je też za malo – rzekła kròlewiònka tak drĕdzi kròlewiònk też odjachòł smutny do dom.

Za jaczis sztòt przĕjachòł jeden gdòwc, król wialdziego i bogatĕgo kròlestwa i opowiedzòł kròlewiònce piĕcsetletnq historĕjĕ jich kròlestwa.

– To je też za malo – rzekła kròlewiònka i gdòwc sĕ rozgorzòł i jak oszalali pĕrowòł na swoim hiszku do dom.

Po jaczims czase król ze swojq otroczĕcą jachòle przez las i uzdrzòł że na wialdzim kamie sĕdzy pasturk i graje na skrzĕpicach i zdzywielĕ sĕ baro oboje, cziĕj czĕlĕ, że pasturk wĕspiewòł jima tĕsacletnq historĕjĕ jich kròlestwa.

– Ten niech mdze mojim przĭndnym chlòpem – rzekła kròlewiònka.

– To je nie możebne – rzekł ji tatk – żebe taczĭ zoratny pasturk bĕł mojim zĕcem.

– Ale tatk u – rzekła otroczĕca – co tĕ mnie przĕrzekł, że tĕ spelnisz mojq zĕczbĕ – i król przĕstòł na to, żebe nen pasturk ostòł chlòpem je go otroczĕcĕ.

Za kròtzcĭ sztòt bĕlĕ jich wieselĕ. Pasturk nauczył sĕ wojarszczigo warku. Kochòł baro swojq bialkĕ i mądrze rzqdzĕł kròlestwem.

Zarzekłĭ zedzer

Bĕło to we wilĕjĕ Godów. Wieczĕrza ju bĕło zjadłò, gwĭòzdczi ju uszlĕ. Na podłòdze stoja wĕstrojonò danka, chtĕrny czĕpk sygòł jaż do po sowĕ. Pod dankq zabòwia sĕ z bestrim puczkiem malinkò Szulka.

Tak jak kozòł stòri kaszĕbszcziĕ zwĕk, nego dnia całò chowa dosta lepszą jòdĕ, drzewiĕta bĕ lĕ mocno obrzeszonĕ słomq, żebe nie zmiarzlĕ. Zòs tòsz z pujkem wĕgrzewòlĕ sĕ kol ceplĕgo piecka. Starka, starka, tatk i nĕnka szlĕ na pasterkĕ. Doma osta le Szulka. Ona haszka minie w łòzku. Odeckła, cziĕj stròri zedzer wĕbił dwanosce razy. Nògle zĕdzĕr odezwòł sĕ lĕdzczĭm goworem i pitòł sĕ sòm se: – Jak dlugo jò jesz mdĕ zdòł.

– Na co – spita sĕ dzĕwczĕ i cziĕj sĕ przĕzdra tĕj zamiast zĕgra uzdrza knopiczka w swoim wieku.

– Chto tĕ jes – spita sĕ Szulka.

– Jò jem knòpem w twojim wieku.

– Kuli tĕ mòsz lat.

– Sto – odrzekł knòp.

– To nie je możebno – zdzĕwia sĕ dzĕwczĕ i przĕzdra sĕ na scane i sĕ urzasła.

– Chdze ostòł zedzer

– Jò bĕł zĕgrem – rzekł knòpiczk.

Rozgorza sĕ terò Szulka i rzekła: Łzesz.

– Nie, jò gòdòm pròwdĕ – rzekł knòp. – Sto lat temu nipocò cota zamienia mnie w zedzer i rzekła, że rĕchli nie mdĕ miòł z nowa lĕdzczĭ pos taczĕj, jaż chtos z dzecĕ w wilĕjĕ Godów mój gwòr uczejĕ.

– Terĕ jò wszĕtko rozmiejĕ – rzekła uceszonò Szulka.

Cziĕj starcĕ i starszi dzĕwczĕca przĕszlĕ z pasterki do dom tĕj sĕ zdzywielĕ, że kol nich doma je cĕzĕ knòp.

Cziĕj dzĕwczĕ jima opowiedza co tu sĕ w nocie dzejało, teĭ przĕjelĕ Brunka, bo taczĭ bĕło jego miòno, jakno otroka do swojigo dodomu i wszĕt cĕ, i starkowie i starszi, Szulka i Brunk żelĕ w nòlepszĭ zgodze.

Nòlepi doma

Bĕło to jesz wicy nizlĕ sto lat temu, cziĕj na jednĕch pustkach w Szwajcarĕji Kaszĕbszczi żyl chlòp, chtĕrĕn miòł tam malińczĭ mòlĕczk. On bĕł baro robocy. Robił od porĕnòszku do pòzdnĕgo wieczora, ale choc on niĕ bĕł nizòd-nem zgniĕlusem, to jednak tĕj sĕj zazĕra jemu

bięda do oczi, osobliwie na zymku, bo jego pole było baro piószczęti.

Jednego dnia jego białka węcżęta jemu w gącęcę, jak to węgodno żęją so lędżę chdżę iindżę. Od nego dnia nen chłop chodżęł wiedzno zamęszlony i sę jisceł: Czemu jō muszę czurzec tu na tich pustkach, i ni mgę żęc tak węgodno jak ni lędżę, o chtęrnęch mie moja białka w gącęcę węcżęta.

– Co z tobą tērę sę sta – pita go sę białka – tē je wierę obarchniałi.

Chłop dalij wcyg męsleł o tim, żebę węgodno żęc i chodżęł zamęszlony.

Rōż cziej on wiōł z mlęna mąkę do dom tēj on spotkał na dardze stolema. Miōł wiele częti o nich od swoji starczy ale na swoje oczę on jich jesz niechdę nie widżęł. Chłop opowiedżōł stolęmowi o swoich jiwrach, a nen rzekł: – Zawiez chutko swoję mąkę do dom i tēj poj do mie, jō tu buten mdę na ce zdōł i ce z twojich jiwrow wępomogę.

Cziej chłop węcżęł buten stolem ju sedżęł na jaczimsz więdzim dzywnym ptōchu, wziął chłopa jak bawidło i wsadżęł na to dzywny lejcadło, i ptōch pęroweł z nima chutko jak strżęła.

– Tērę mój dręchu – rzekł stolem – tē uzdrzisz jak węgodno żęją so lędżę w jinsżęch kra-jach. – Cziej oni tak lecelę, tēj więdzi kaszębszczi jezora wędzrza jak malińczi plētę, a lasę jak obrōzczi ze szkołowi ksązczi i chłopu bęłno kraca sę w głowie, i jemu sę zdōwa jakbę całą noc w karczmie kornus pił.

Lecelę i lecelę.

– Kureszce mę jsmę na mōlu – rzekł stolem.

Chłop uzdrżōł przed sobą więdzi gard a w nim ful kominów węcższich niżle nōwikszzi dębę na Kaszębach. Buten tēli bęło dęmu jak w jacżis kuzni, wszęcęcę lędżę tam sę pospiewelę i gōdęję baro dzywno, że Kaszęba nick z tego nie rozmiel.

Stolem zawiōł chłopa nad jezoro i sōłł z nim w więdzi czōłno, wzięł jadro i lowilę rēbę. Łowile calutinczi dopōlnia i nick nie złowile. O przępōtni stolem zaprowadżęł chłopa w las i kōzōł jemu szęcac grzēbów. Drzewięta w tim lese bęłę baro zmetlałi, nie bęłę tak zelone jak kol naj. Chłop szukeł całi oprżępōtni grzēbów i nick nie znalazł nawetka nizōdnęgo potrusa. Terę stolem wzął go do gardu i kōzōł chłopu oblec jasny ruchna, i kōzēł mu czile godżęn wanożęc.

– Jō terę tu nick nie robił i moje obleczeni je często potrzepōny. Jō chcę jak nōchutczy do dom – rzekł chłop.

Stolem z nowa wsadżęł chłopa na, nego więdzigo, dzywnęgo ptōcha i zawōłł go do Szwajcariji Kaszębszczi. Cziej chłop bęł ju doma, tēj uklękl na swoim polu i dżugo, baro dżugo kuszekł ziemię, rozplakęł sę i rzekł: – Ni ma to jak doma.

Ju nichdę wicy sę nie jisceł, że muszi niewęgodno mieszkac na pustkach.

Młody książę

Lech Bądkowski

Wiał boczny wiatr i co chwila rzucał wierzchołki fal na rozkołysaną łódź. Wioślarze rytmicznie zginali się i prostowali, a sternik w krótkich odstępach rzucał im „raz — dwa, raz — dwa”. Książę siedział skulony pośrodku, w najniższym miejscu, gdzie chyba było najmniej. Przedtem już oddał morzu wszystko co zjadł wcześniej przed świtem, i od tamtej pory nie tknął jedzenia. Inni posilali się ukradkiem, aby widok placków i suszonych ryb nie drażnił władcy. Surowy i ruchliwy ten Świętopelk, a oto zsiniały i drżący, szczelnie okryty ciepłą oponczą — obraz dla nich nowy, któremu się dziwili starannie ukrywając zadowolenie. Szypnik radził, aby wyciągnął się na dnie jak długi, z głową wspartą o odbijacz. Książę go ofuknął i dalej cierpiał na siedząco z półprzymkniętymi oczami. Co pewien czas otwierał je i przełamując cierpienie spoglądał ku ładowi. Rzadziej kierował wzrok na pełne morze; sam widok rozhuśtanej niezmiernej dali przyprawiał go o jałowe mdłości. A jednak kazał daleko odpłynąć od brzegu, chociaż nie było potrzeby i nikt nie wiedział dlaczego. On wiedział. Chciał znów, po latach, doznać na sobie, jak się pływa na nieosłoniętym wzburzonym morzu, na które wysyłał swe łodzie dla handlu a czasem też do walki. Kazał innym trudzić się i czegoś doświadczać, to i on musiał znać smak. I musiał pokazać, że wytrzyma.

Raz po raz rzucał też okiem na ludzi i zwłaszcza na Mściwoja. Nikt z nich nie chorował. Wszyscy, prócz syna, byli wojami morskimi i wszyscy brali udział w łupieskich wyprawach na brzeg sambijski, na wybrzeże sławieńskie, gdzie jeszcze pojawiali się Duńczycy, albo na statki płynące niedaleko od Małego Morza, jeśli nie należały do Lubeczan. W tych bitkach sternik stracił dwa palce u lewej ręki a zyskał kilka blizn, szypnik miał na czole głęboką szramę i prawie każdy nosił na sobie ślad obcego oręża.

Syn nigdy jeszcze nie odbywał tak długiej wyprawy morzem. Sprawował się dobrze. Ani na chwilę nie opadła go słabość, ani razu nie okazał strachu. pilnie przyglądał się pracy wioślarzy i sternika, pomagał im ustawiać żagiel. Pływał na Motławie i Wiśle i nawet, z rybakami, na bliskich wodach Małego Morza. Ale ojcwowa wielka łódź wojenna różniła się znacznie od tamtych kurpów i wyjście nią na otwarte wody dawało uczucie prawdziwej wyprawy. Przeżywał ją i patrząc przed siebie szeptał w zapierający oddech wiatr: „To jest moja ziemia, i to jest moje morze, i wszystko to po ojcu będzie do mnie należało. Ja tu będę panem, i powiększę księstwo, i zdobędę nowe ziemie, znajdę je aż za morzem, gdzie ojciec nigdy nie był”. Uważał, żeby go nie słyszano.

Ale musiał te słowa powiedzieć, nie tylko pomyśleć; gdy on je słyszał, były prawdziwe.

Trzy razy wychodzili na ląd w przystaniach rybackich: w Wąskim, Lipie i Łysicy. Osady te leżały na Mierzei, a właściwie na wysepkach, które razem nazywano Mierzeją, oddzielonych od siebie strumieniami spływającymi z Żuław. Środkiem wysp biegła droga prowadząca od Gdańska aż do daleko na wschodzie położonego krańca ich szeregu. Udając się w tę podróż książę mógł z niej skorzystać, ale musiałby co najmniej dwa razy przepływać się promem — w innych miejscach konie z łatwością przepłynęłyby wodę — co zajęłoby trochę czasu, a przede wszystkim wieść o jego zbliżaniu się zapewne biegłaby przed nim. Lubił zniecka spadać na nieprzygotowanych. Jak na wojnie. Prócz tego chciał spojrzeć na kawał swego księstwa od strony, z której patrzył na zamorscy przybysze. I wystawić siebie na przykre doznania, jakby na pokutę. Także — wypróbować syna. Mistek trzymał się, jak starzy chasiebnicy; ani na chwilę nie pobrał, jadł z innymi. Dobrze.

I on, gdy tylko nogą dotknął twardego gruntu, znów stawał się sobą. Choroba ustępowała ręką odjętą. Ze zdwojoną energią biegł po osadach i gonił swoich ludzi, wypytywał o połowy, sprawdzał sprzęt i składy ryb, także skrzynki drewniane, okute żelaznymi listwami i zamykane na kłódkę, gdzie chowano zebrany ze strądu lub złowiony w sieci bursztyn, morskie złoto, zaglądał do chat, wychodził na drogę mierzejską zobaczyć czy należycie utrzymana. Tu pochwalili, tam zganili, jednego dzielił kulakiem, drugiego poklepał po ramieniu. Wśród tutejszych było wielu Prusów, w rozmowie z nimi często wtrącał słowa pruskie, chociaż wszyscy oni znali już pomorską mowę. Poddani podejmowali go pod nogi i kłaniali się w nas, lecz jeśli nie mieli grzechów na sumieniu, bali się go mniej niż swoich rządców, za to rządcy przed nim drżeli, bo w ich gospodarowaniu zawsze mogło wyleżeć na wierzch coś, co woleliby zachować w ukryciu. Świętopełk wyznawał, głosił i stosował zasadę: czym wyższa władza, tym większa odpowiedzialność, a zatem postępuje obfitsza nagroda, lub — surowsza kara. Na miejscu rozstrzyga skargi i spory. Słuchał sprzecznych zdań, wypytywał świadków i starych doświadczonych ludzi, wydawał wyrok i wtedy poważnie milkł. Gdy go coś rozgniewało, zaraz podnosił głos, to mu szybko przynosiło ulgę i uspakajał się. Kar jednak nie cofał, czasem tylko niekiedy zmniejszał. Kobiety popatrywały na niego bojaźliwie, dzieci chowały się przed nim, chociaż lubił je i do nich właśnie odnosił się najłagodniej.

We wszystkich osadach rządców odciągał na stronę. W poufnych rozmowach uczestniczył tylko wojski kasztelania gdańskiej, Gniewomir, i przysłuchiwał się im Mściwoj, panicz, przyszedł pan. Książę dowiadywał się, czy ludzie jeszcze nie składają potajemnych ofiar dawnym bożkom i ponawiał groźbami obłożony zakaz. Rządcy gorliwie przeczuli, pod jego ostrym spojrzeniem kosząc oczy, a on i tak domyślał się, że nie mówią prawdy i że najpewniej sami w głębokiej skrytości popełniają ten ciężki grzech. Więc rzucał na ich głowy nowe groźby, ale nie dochodził sprawy szczegółowo: przybywał do nich zakonnik z Gdańska kilka razy w roku, na dzień lub dwa, oni do kościoła mogli się wyprawić najwyżej raz, w jaką więc stronę mieli się zwracać? Pytał też, czy nie ma zwad między Pomorzanami i Prusami. Nie było, tylko takie co zwykle zachodzą między ludźmi. Zenili się między sobą. Cieszyło go to i kazał tym nowożeńcom wydawać z komory po dwie wiązki suszonych ryb i po płacie płótna. Bardzo był ciekaw, jakie wiadomości przychodzą zza Zalewu i czy tamtejsi Prusowie, wciąż uparci poganie, pojawiają się w tych stronach, a jeśli tak, to w jakim celu i co mówią. O tym wszystkim donosili żupani z grodów pogranicznych, a zwłaszcza z Satory, Nowego i ze Świecia, a zbierał je i przedstawiał mu właśnie Gniewomir. Książę jednak nie tracił żadnej okazji, aby czerpać wiadomości z pierwszej ręki sprawdzając jednocześnie tamte, urzędowe.

Po korzystnym, jak dotąd, załatwieniu sprawy Słupska, ekspansja na pruskie dziedziny szczególnie zajmowała jego umysł. Najłatwiej, to znaczy bez uwi-

klania się w wojny z sąsiednimi książętami, mógł rozszerzać państwo na wschodzie, na ziemiach pogan, niosąc tam chrześcijaństwo i swą władzę. Jego stryj i ojciec opanowali Wielkie Żuławy i osiedlili tam wielu Pomorzan, potem zaczęli przenikać do Pomezanii i zajmować ją po kawałku. Ojciec postawił nowy gród w Satory, na miejscu starego gródka pruskiego, jako ostoję pomorskich rządów w przyłączonych stronach. A on sam jeszcze go rozbudował i umocnił dodając mu bliźniaka dla Chrystiana, misjonarza i biskupa Prusów, uposażywszy go tak, jak się należało największemu w państwie dostojnikowi Kościoła.

Łysica była osadą rybacką położoną najdalej na pomorskiej części Mierzei. Tu zatrzymali się dłużej. Świętopełk z synem i Gniewomirem, przybrawszy dwunastu zbrojnych z załogi, prowadzony przez łysickiego rządcę przeszedł Mierzeję w poprzek. Przecielił las i drogę — książę gniewnie spostrzegł, że nie jest ona dobrze utrzymana — znów las i wyszli na drugi brzeg, nad Zalew Wisły.

Stanęli. Patrząc na szerokie wody i ledwo majaczący po drugiej stronie ląd, Świętopełk długo milczał. Las osłaniał od wiatru i tylko drobna fala marszczyła powierzchnię Zalewu. Zobaczył trzy punkty pozornie nieruchome pośrodku wielkiego rozlewiska. Obrócił się ku rządcy.

— Rybacy?

— Tak, panie.

— Jacy?

— Warmowie.

— Wasi nie łowią na Zalewie?

— Teraz nie, panie.

— Dlaczego? Mówże, nie czekaj aż zacznę wyrwać z ciebie słowa, bo wyrwę razem z językiem. Rozumiesz?

— Warmowie zabierali nam sieci, albo darli. Bywało, że i ludzi pobili, nawet na śmierć. Najwięcej zawzięli się na naszych Prusów.

— Bo?

— Ochrczeni.

— Wy nie umiecie się bić?

— Książę kazał nie walczyć z Prusami, chyba że napadną osadę... Czasem w odwecie robimy im jaką psotę.

— Jaką? Mów, człowieku, bo i ja ci zrobię.

— Zapędzi się samotna łódź tu bliżej, wywracamy, ludziom wiosłem w łeb i na dno. Żeby sobie nie myśleli.

Świętopełk roześmiał się.

— Ci już nie będą. Ale o tamtych mi chodzi...

Słusznie robisz. Nie walczyć, jeśli nie ma koniecznej potrzeby. Żeby jednak zanadto się nie rozzuchwalili, będą musiał ich znów poskromić, tych przegrzanych Warmów. — Książę postąpił kilka kroków po strądzie. Trzewiki z twardej skóry zagłębiły się w mokry piach. Przepędował z nogi na nogę, jakby próbował spoistości gruntu. Jak cię zwą?

— Suder, panie.

— Jesteś z Prusów.

— Tak.

— Ochrczony?

— Jeszcze mój ojciec był chrzczony w wodzie, i ja, kiedy byłem otrokiem, i cała moja rodzina.

— Przeżegnaj się znakiem krzyża.

Suder szerokim ruchem ręki naznaczył czoło, piersi, lewe ramię i prawe, złożył dłonie. Książę spod ściągniętych brwi patrzył na jego twarz i palce. Pomorski Prus nie krzywił się, ani palcy nie składał od uroku.

— Jak dawno jesteś rządcą w Łysicy?

— Nie ma jeszcze roku, panie.

— Słuchaj, Suder. W przystani porządek dobry, we wsi gorszy, ale jeszcze nie całkiem zły, za to droga marna. Jesienią żaden wóz nie przejedzie. No i co?

— Ja wiem. Zacząłem od przystani. Pale i drewnice wymieniłem na pomoście i jest prawie nowy, usypałem nową groblę, naprawiłem szepę. Kołowrót założyłem. Ścieżkę do wsi wymościłem. Jeszcze nie zdążyłem...

— Dobrześ zrobił. Rybacy mają łowić. To pierwsze. Teraz zabierzesz się do drogi. Droga wam nie potrzebna, bo macie łódzie, ale mnie potrzebna, nie dziś, to jutro. Dasz naćcinać drzewa, aby wyszło. Wiosną

przyślę ci dwie dziesiątki ludzi, będziesz z nimi i ze swoimi budował drogę aż do końca Mierzei, do samego końca, aż pod Sambów. Rozumiesz?

— Tak, panie. Ale niedaleko stąd siedzą już Warmowie, nie będzie nad milę. A ile jeszcze do końca Mierzei, nie wiem. My tam nie chodzimy.

— Jeszcze dobry kawał. To nic. Tym osadnikom droga może być też potrzebna, bardziej niż wam, i mają drogę, a pewno gorzej wygląda niż tu u ciebie. Przyślę ci dobrych ludzi, takich co umieją siekierą machać, i dołożę dziesiątkę wojów do obrony, gdyby zaszła potrzeba. Gniewomir, pamiętaj.

— Zapamiętam, książę.

— Ale zanim wleziesz z robotą między nich, Suder, pójdziesz wpiersz bez broni i z zieloną gałęzią do ich starszego. Kto tam siedzi na pulce?

— Koniec Mierzei należy do pulki Mindenowy, po drugiej stronie Zalewu, a rikijsiem jest tam Majnot.

— Na tym tu ogonie musi być jakiś jego rządcą.

— Jest.

— Pójdziesz do niego, z gałęzią w jednej, z chlebem w drugiej ręce. Ale czterech wojów weźmiesz ze sobą, żeby nie myślał ten paskuda, że przyszedłeś na żebra. Powiesz, że kazałem zbudować drogę aż do przeprawy na Sambie. Książę całego Pomorza tak kazał, powiesz. Ma on co w głowie prócz wiórów?

— On nie jest paskuda. Ja go znam.

— No! To tym lepiej, na pewno się zgodzi. Ale gdyby się nie zgodził, może mu na przykład rikijs zakazać, walczyć z nim nie będziesz, tylko mnie dasz znać. Rozumiesz?

— Tak.

— Weźmiesz się także za wieś. Wygląda tu u was gorzej niż w chlewie. Myślisz, że Prusowie o tym nie wiedzą?

— Czasem który przyjdzie tu po cichu, popatrzeć, albo pożyczycie grudkę soli.

No! Muszą widzieć, że u nas lepiej niż u nich. Staraj się, Suder, nie pożałujesz.

Z rozmachem klepnął rządcę w łopatkę i ostro ruszył w kierunku przystani nad morzem. Po chwili skinął na Mściwoja, aby do niego dołączył, ręką objął go przez ramię. Ten serdeczny gest zawsze oznaczał chęć poufnej rozmowy z synem. Poprowadził go bokiem, osobno od gromady.

— Mistek, będziesz się uczył pruskiej mowy.

— Trochę słów znam, ojczu.

— Trochę, to mało. Dam ci nauczyciela, znajdekogoś... A wiesz dlaczego?

Chłopiec zastanawiał się chwilę.

— Bo oni są naszymi wrogami i walczyliśmy z nimi. Lepiej znać mowę wroga.

— Częściowo tak, jak mówisz, częściowo inaczej. Naszymi wrogami są pogańscy Prusowie, bo przeciągamy ich na naszą wiarę, budujemy u nich grody i kościoły, tedy kazemy płacić daniny, rzecz pewna. Jeśli nie chcą — miecz i ogień. A ziemi mają dużo, i nielicha ona, jak by kto pomyślał patrząc na te puszcze i mokradła. Z puszczy także dobry wziętek. I z jezior. A bursztynu u nich więcej niż u nas... Potrzebna nam ich ziemia, Mistek, musimy ją przylączyć. Nie od razu, ani wkrótce, ale tyle, ile co jakiś czas się da. Jeśli ja nie zdążę, ty będziesz to samo robił po mnie. Pamiętaj... Póki na dobre nie zaczęła się misja, póki na ich ziemi nie zaczęliśmy stawiać gródków i kościółków, tutaj było cicho, nie licząc małych bitek, jak to zwykle u sąsiadów na krańcach. Dopiero potem wzięliśmy się za łby, już po zbudowaniu Satory. Pamiętaj, Mistek, Prusów pokonać niełatwo.

— Broń mają lichszą.

— Ale nie tak lichą, żeby nie kasała. I są dzielni. Prus może iść dziesięć i dwadzieścia dni, ledwo trochę pośpi, tyle co zje i może jeszcze walczyć. Na wytrzymałość trudno ich pokonać, synu. Umieją się kryć, jak mało kto. Kiedy chcą zaskoczyć, idą nocą, na dzień zapadają w puszczy, w kuźlach, gdzie popadnie, ogieńka nie zapalają, żrą choćby surowe mięso. Nawet ja dałem się im raz zaskoczyć, ledwo pięć lat temu. Mały byłeś, ale pamiętasz.

— Pamiętam.

Nie mógł nie pamiętać pożogi, która dotarła pod wały Gdańska i łuną krwawiła się w oknach zamku. Na oczach rycerzy, wojów, mieszczan okrutną śmierć zadali wielu siostrzym zakonnym w Żukowie oraz cystersom oliwskim. Sam tego nie widział, ale słyszał straszne opowieści. Na wspomnienie tej hańby Świętopełk wstrząsnął się i mocno ścisnął ramię syna.

— Wtedy co prawda napuścił ich ten wielkopolski śmierdziel, Władysław z dupą na patykach, i inni polscy książęta, i pomagali im, ale wszystko jedno, Prusom udało się mnie podejść.

Mściwoj o mało się nie roześmiał. Ojciec, kiedy zły, brzydki się wyrażał, jak mówiła matka, także w poważnej rozmowie. Książca Władysława z cienkimi nogami nie cierpiał tak samo, jak mazowieckiego Konrada. Do innych powodów dołożył się właśnie ów niespodziewany a niszczący napad pogańskich Prusów, uknuty podobno głównie przez księcia poznańskiego.

— Niełatwo ich pokonać, powtarzam ci, bo kiedy przegrywają bitwę zaraz rozsypują się po kątach i wyłapują ich jak pchły w kudkach kozucha. Musisz mieć dużo wojska i co tylko zajmiesz mały gród, zaraz stawiać tam gródek i obsadzać go ludźmi. I tak obwód za obwodem, albo jak oni nazywają, pulkę za pulką. Inaczej nie uchwycisz ich w garść. A skąd weźmiesz tyle wojska? Nie mamy tyle sił. Nie mamy także dużo czasu, bo inni mogą nas ubiec, przedejczy później znajdą się chętni i dość mocni roszczele. Zatem trzeba inaczej. Misja i handel. Przyciągać ich, przekonywać dobrym słowem, mówić o Jezusie Chrystusie i prawdziwej wierze, o tym co zyskają przez chrzest w życiu wiecznym i tu teraz, gdy będą mieli ład i mir książęcy, zbrojną opiekę księcia Pomorza, chrzcić tak, żeby nawet nie wiedzieli, kiedy i jak. Bez wojny, jeśli tylko się da, przynajmniej bez ciągłych męczących małych wojen, w których tracisz ludzi po trochu a do kupy wielu, i masz z tego tyle co kot napłakał. Trzeba do nich mówić. Rozumiesz?

— Rozumiem.

Świętopełk pogladził syna po jasnych lekko falujących włosach i objął go w pól.

— Wszystkiego jeszcze nie rozumiesz. Ale to przyjdzie z czasem... A swoją drogą w ręku muszę mieć siłę i użyję jej bez wahania, jeśli nie da się inaczej. Tylko że nasz dom ma kilka ścian, nie tę jedną, pruską, i sąsiadom zza innych ścian trzeba pilnie patrzeć na palce. Dziś jest spokój, ale jutro?... Wiesz ty, Mistek, jaka korzyść jest najlepszą korzyścią?

Mściwoja dotknęły słowa, że wszystkiego jeszcze nie rozumie. On — nie rozumie? Może czegoś nie wie-dzieć, to się dowie i zaraz zrozumie. Odczuwał naj-lżejsze drażnienie i pamiętał o nim. Również ze stro-ny ojca, którego kochał i szanował. Dobrze, że nikt nie słyszał. Ojciec nigdy go nie uderzył i rzadko kiedy krzyczał na niego, a kiedy krzyczał, to miał słusz-ność, przynajmniej później musiał mu ją przyznać, ale właśnie dlatego tak się liczyło każde słowo ojca.

Co może być najlepszą korzyścią, jeśli nie łup za-garnięty mieczem, z którego nie trzeba się przed ni-kim wylizywać, ani nikomu odstępować, jeśli nie ziemia z jej mieszkańcami zdobyta i opanowana na zawsze? Nie ma lepszej. Widocznie jednak ojciec myślał o czymś jeszcze lepszym. O czym?... Wolał nie narażać się na błąd w zgadywaniu. Ojciec rzekł: bez wojny, jeśli tylko można. Dziwne słowa ojca, który więcej siedział na koniu z mieczem w ręku niż na rzeźbionej ławelnicy z połyskliwym czepcem na głowie i z laską o srebrnej gałce w dłoni.

— Nie wiem, ojczu.

— Powiem ci. Czas na takie między nami rozmowy. Tylko kiedy? Ale czas, rzecz pewna. — Znow objął go przez ramię, szli jak dwaj druhowie, z dala od reszty, wśród rzadkiego i niskiego lasu. — Najlepsza jest taka twoja korzyść, kiedy nie wyklucza korzyści drugiego, kiedy obaj korzystacie. Nie szkodzi, jeśli on sobie myśli, że ma więcej niż ty. Przeciwnie, taka ko-rzyść najpewniejsza. Rzecz w tym, żebyś ty wiedział, że zyskałeś to coś chciał... Co myślisz o tym Suderze?

— Nie wiem, ojczu. Pierwszy raz go widziałem.

Podniósł oczy ku ojcu. Był zadowolony i trochę za-wstydzony. Tamci widzieli, jak porywczy i wymagają-jący książę, którego się bało, całował syna w głowę.

Syn jeszcze młody, ale ojciec rozmawia z nim poufnie, na osobności, jak z dorosłym, nawet najzaufany przyjaciel ojca, Gniewomir, w rozmowie tej nie ma udziału.

— Ja już go raz przelotnie spotkałem, a wczoraj trochę wywiadziałem się o nim. Chciałem go sprawdzić. To nasz Prus. Podobna mi się. Dobry gospodarz. Klepki w głowie ułożone jak należy. Będę o nim pamiętał i pewnie popchnę go wyżej, cały czas sprawdzając. Kto chce rządzić, nie może spać... Od Łysicy chcę sięgnąć po sam kraniec Mierzei. Może się uda, tak nieznanie, ukradkiem wleść tam. — Zaśmiał się cicho. — A dalej, za przesmykiem, siedzą już Sambowie. Dotąd nie byliśmy sąsiadami, teraz byśmy im powiedzieli: kukuk! zgadnijcie kto tu do was przyszedł? — Znów się roześmiał. — Jeśli Suder dobrze będzie się starał, zrobię go włodarzem. A potem zobaczymy. Prusów, którzy się ochrztili i są z nami, musimy popierać, żeby przyciągali innych. Rozumiesz?

— Rozumiem ojcie.

Gdy wsiedli do łodzi i odbili, Świętopełkowi nastroj od razu się zepsuł. Usiadł skulony, przestał rozmawiać. Z powodu niedogodnego wiatru w drodze powrotnej nie wyciągali żagla na maszt. Mimo usilnej pracy wioślarzy łódź płynęła wolniej, niż w tamtą stronę i bardziej kładła się na boki. Co pewien czas szypnik wymieniał wioślarzy i wtedy osłabiony na chwilę statek dziko skakał. Sierpniowy wieczór był dość ciepły, nawet na wietrznym morzu, Świętopełk jednak drżał. Tyłem do niego usiadł Gniewomir. Książę szczerze otulony płaszczem oparł się o niego plecami. Przymknął oczy, widział wszystko co chciał zobaczyć, miał dość, teraz byle najprędzej do domu. A Mściwoj wyszedł na sam przód łodzi, stanął za wyciągającą się w górę dziobnicą wieńczoną łbem tura w drzewie i chwyciwszy się nadburcia spojrzeniem obejmował morze.

Oto prowadził wyprawę łodzi bojowych przeciw... na poczekaniu nie mógł uświadomić sobie morskiego wroga, zatem przeciw komukolwiek. Prowadziłby ją na Prusów, lecz ojciec powiada, że z Prusami trzeba szukać pokojowej drogi, jeśli tylko się da. Może się nie dać, więc płynie walczyć z nimi. No dobrze, ale Prusowie nie mają prawdziwych łodzi do boju, tylko marne kurpy rybackie. Zatem mógłby wyprawić się morzem, lecz jedynie po to, aby wojsko wysadzić na brzeg i dalej potykać się zwyczajnie, a tu chodzi o bitwę morską. Co innego Duńczycy. Ojciec wypędził ich ze sławieńskiego wybrzeża, ale raz po raz wracali na chasę, a bardziej jeszcze niebezpieczni byli sholdowani przez nich Rugianie, którzy chcieli opanować tym wybrzeżem. Książę Wisław wiernie służył królowi Danii i robił co tamten mu kazał. Mówiono o tym niedawno na książęcej radzie. Rugianie są silni na morzu. Budują duże statki i zapuszczają się na nich daleko. Pomorzanie nie mają tak dużych. Tym bardziej trzeba ich pokonać i nauczyć rozumu.

Zatem prowadzi wyprawę. Ma dwadzieścia mocnych łodzi, jak ta. Albo większych jeszcze. Niedawno ojciec kazał Barlaszowi, starszemu nad książęcymi morzanami, budować nową łódź, jakiej dotąd nie miał: cztery i pół pręta długa, na dwadzieścia sześć wioseł, z długim masztem. On, Mściwoj, każe takich zbudować więcej. Rugianie oto prowadzą co najmniej tyle samo, ale jeszcze większych, a kilka nawet na czterdzieści wioseł, o wysokich wzmocnionych burtach. Zbliża się wieczór, Pomorzanom słońce świeci w oczy, bo tamci płyną od zachodu. Nie szkodzi, są chmury, trochę blask przesłonią, a tamci myślą, że bitwę już wygrali. Swoje łodzie uzbroili w puszczały do miotania kamieniami. Są takie w grodzie, według nich kazał zrobić młodsze i zamocować je na odpowiednich podstawach. Osadził też duże, ciężkie, wrotkiem nakręcane kusze. Słabszy liczebnie, ale silniejszy uzbrojeniem; i zdolnością wodza, i odwagą swych ludzi.

Tamci rozwinęli się w szyk czołowy i płyną największą szybkością, żeby od razu uderzyć na Pomorzanie i jednym zamachem ich zgnieść. On zwęził czoło swoich ustawiając dziesięć łodzi w pierwszym szeregu i dziesięć w drugim, w przerwach między pierw-

szymi. Szyk zębaty. Tak czasem ojciec ustawia kuszników. I wtedy wioślarzom kazał podnieść wiosła. Głos ma donośny, panuje nim nad przestrzenią i zgłębieniem. Gdy tamci zbliżyli się na dwa węzły — miotaj! Jeszcze raz. Jeszcze raz. Posypały się kamienie... Strzelaj! Z kusz i łuków zafurkotały pociski... Teraz — na wiosła! U nich zamieszanie. Nie spodziewali się uderzenia. Pomorzanie łatwo przerywają się przez cienki i nadmiernie wydłużony szereg bijąc we wroga ze wszystkiej broni. Pierwszym natarciem zatopili Rugianom trzy statki, wiele innych uszkodzili, posiali śmierć i rany, umniejszili ducha. Niezwłocznie kazał zawrócić. Jego łodzie lżejsze, zwrotniejsze i na małą odległość szybsze, ludzie lepiej wyszkoleni. Dopadli kilka tamtych, które pozostały z tyłu, i zniszczyli je. Przewaga Rugian pozostała jeszcze, ale wyraźnie mniejsza.

Znów ściągnął swych morzan w gromadę, żeby sprawniej dowodzić. Tamci z trudem się zbierają, nie mogą wyjść z zamętu. I znów: miotać kamienie! strzelać z kusz i łuków. Główny cel — statek księcia rugijskiego. Krewny, ale trudno. Już ma potraskane burty i wiosła, inne łodzie muszą go osłaniać, tam skupisko, większy cel, prawie każdy pocisk trafia. Tracą serca. Słońce nisko, wyszło zza chmur i wrogom świeci prosto w oczy. Doskonale. Rzuca po trzy, cztery łodzie na ich jedną, resztą swoich osłania uderzając. Rugijczyk widzi, że źle, topnieje jego siła, już wie, że bitwy nie wygra, wycofuje się dalej na morze, żeby umknąć. O nie. Natychmiast pościg. Zatopił jeszcze kilka łodzi, ale słońce zaszło, mrok i tamci rozproszeni, w popłochu uciekli. Bitwę wygrał, zniszczył połowę wrogiej floty, wziął jeńców-rozbitków... Ale mogło być tak, że na początku chmury nie zasłaniały słońca i blask raził go w oczy. Co należało zrobić?... Można było tak: płynie szybko na północ, że niby ucieka, Rugianie gonią, on wie, że daleko im nie ujdzie i nie o to przecież chodzi. On tylko chce, żeby jego ludzie nie mieli słońca w oczy. Zatem uyskawszy odpowiednie położenie w miejscu zawraca, ustawia szyk zębaty, tamci...

Dziób cały czas wznosił się i opadał wzbijając wysoko tryski. Właśnie uderzył w szczególnie dużą falę i na łódź spadły strumienie. Mściwoja przemoczyło na wskroś. Wstrzymał oddech, skurczył się, wbił palce w nadburcie.

— Panicz lepiej przejdzie na tył — powiedział szypnik. — Na dziobie bardzo przewala i panicz może wypaść.

— Mnie tu dobrze — odparł Mściwoj. Nadając głosowi jak najniższe brzmienie dodał: — Nie obawiajcie się o mnie.

Książę otworzył oczy. Popatrzył na syna, którego szczupłą sylwetkę oblepiała lekka oponcza. Chudy jest i nie bardzo silny, ale ma upór i może z niego wyrośnie dobry władca? Za często się zamyśla. W tym wieku wolno więcej gadać niż myśleć. Kuleje, przez głupiego konia. O czym on tak myśli? Lubi słuchać księży i pieśniarzy... Żołądek podszedł pod gardło i skreślił. Ala złemu. Czemu on tam sterczy na dziobie i nic mu nie jest? Dać by go na księdza albo zakonnika, zostałby biskupem, uczyć się umie, mógłby po Chrystianie pokierować misją, mógłby posłować do Rzymu, do cesarza, do książąt. Taki potrzebny, księstwo wiele by zyskało. Przekłęte przęgiły, głowa hu-czy, w oczach mrok i mął, jakby zaraz umierać. Ale jest pierworodny, należy mu się starszeństwo, gdyby nawet oddać go na księdza, mógłby później upominać się o swe prawa i zawierucha gotowa. Wartek jeszcze malutki, zobaczy się co z nim zrobić, może jego do duchownych? Mściwoj żądny sławy, to dobrze, ale czy sobie poradzi? I znów żołądek podjeżdża.

Pierwotnie Świętopełk chciał popłynąć jeszcze do Brzeźna, gdzie rybacy od kilku dni łowili nowym niewodem, uszytym według wzoru fryzyjskiego, podobno lepszym od innych. Rybacy woleli łowić po dawnemu, jak ich ojcowie i dziadowie, ale książę kazał, bo chciał, żeby łowili więcej. Toteż zamierzał zobaczyć co z tego wyszło, zrobiło się jednak późno i wciąż bardzo cierpiał. Doznawał upokorzenia i złościł się, że poddani widzą go w takim stanie, co rusz krztuszące go się od pustych wymiotów. Milczą, udają, że niczego nie widzą i wcale nie patrzą na niego, potem będą

się śmiać i młócić ozorami wśród bezpiecznych ścian. Złapać by którego na śmiechu, śmiałyby się długo i do lez... Ostro kazał skrócić do strażnicy w Wisłoujściu.

Już z daleka Mściwoj widział jej światło. Każdej nocy i podczas mglistych dni na szczycie wieży, na palenisku z gliny i kamienia palono grube szczapy, aby ogień wskazywał żeglarzom wejście do Wisły i dalej do Gdańska. Przed kilku laty podczas silnego wiatru zajęły się dyle górnego wystawku. Z grodu widziano pożar. Na szczęście wkrótce spadł deszcz i ocalił strażnicę. Ale dziesiątnik, który spoił się piwem i spał, utracił wolność i wraz z innymi robami poszedł karczować puszcę koło Raciąża. Dwóch współwinnych wojów odpokutowało w dybach: nie dopilnowali ognia i nawet nie mieli pod ręką ani doś w wody, ani piasku.

W strażnicy oczywiście wiedzano, że ksiązę rano wypłynął na morze i spodziewano się, że wieczorem będzie wracał, zatem mógł do niej zajrzeć. Gniewomir po cichu zapowiedział załodze, że jeśli coś się panu ziemi nie spodoba, marny czeka ich los. Woje uprzątnęli strażnicę od góry do dołu, oczyścili broń, żeby się świeciła, strzegli ognia. Gniewomira bali się nie mniej niż księcia, a może i więcej.

Wojski pełnił obecnie obowiązki także kasztelana, którego nie było, bo od śmierci Domasława sprzed dwu lat Świętopełk nowego nie powołał. Dwoił się i troił, nie tylko z nawyku i zamiłowania, lecz również z chęci zasłużenia na opróżnione stanowisko. Gdyby został kasztelanem stołecznego grodu, niewiele

by wagą ustępował wojewodzie — był teraz tylko jeden, w Swieciu — a wśród kasztelanów księstwa nie miałby sobie równego.

Czekali tu. Sprawnie przymocowali łódź do nabrzeża. Trzech ludzi oświetlało je pochodniami. Wojski wyskoczył pierwszy. Wyciągnął rękę, aby pomóc księciu, ten tylko warknął gniewnie. Już czuł się dobrze i pragnął to okazać. Rzucił okiem na nabrzeże i obręb przed strażnicą, wszedł do niej, obejrzał izby wojów, kazał otworzyć jamkę, która była pusta i śmierdziała zgnilizną, wspiął się po drabinie wewnątrz wieży i wyszedł na otwarty wystawek. Na palenisku, starannie obrzeżonym kamieniami, płonął ogień nie za duży, po stronie nawietrznej leżała przyzma porąbanego drewna, przy niej skrzynia z piaskiem. W pobliżu stały stągwie napełnione wodą po brzegi. Gniewomir postępował krok w krok za swym panem, za nimi szli Mściwoj i dziesiątnik.

Morze i ląd tonęły w ciemnościach. Czasem tylko zabielił matowo wysoki grzywacz i zaraz rozplywał się w niespokojnej czerni. Na niskim podkładzie huku, który nieustannie szedł od morza jak groźny chorał, wiatr świstał wznoszącą się i opadającą melodię, raptem cichł i na mgnienie ustawał, znów uderzał w niebieskie piszczały ze wzmożoną siłą. Porwywał głos fal i wraz ze swym zawodzeniem niósł go ku Gdańskowi.

Fragment I rozdziału nowej powieści.

BILANS 1977 ROKU. KSIĄŻKI WYDANE PRZEZ ZRZESZENIE

Oddział Gdański

1. HAFT KASZUBSKI — SZKOŁA WDZYDZKA (10.000 egz.)
2. JÓZEF BORZYSZKOWSKI — NADOLE (650 egz.)
3. BOLESŁAW FAC — ZAKONNICA DLA KSIĘCIA (900 egz.)
4. ALOJZY NAGEL — NENKA RODA O JI DZOTCZI (2.000 egz.)
5. JERZY SAMP — CYROGRAFY (800 egz.)
6. KAZIMIERZ OSTROWSKI — PIEŚNIARZ Z ZIEMI JEZIOR (1550 egz.)
7. JAN TREPCZYK — ODECKNIE NIE (1000 egz.)
8. GRYFY LEONA STANISZEWSKIEGO (40 egz.)

Oddział Wejherowski

9. WESTRZÓD DÓCZI (wybór: EDMUND KAMIŃSKI) (300 egz.)
10. DRĘSZNY SPIEWÉ (wybór: EDMUND KAMIŃSKI) (poz. 9 i 10 wydane zostały wspólnie z Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie)

Oddział Pucki

11. HAFT KASZUBSKI-SZKOŁA PUCKA (10.000 egz.)

Oddział Chojnicki

12. FILIGRANY PAPIERNI KASZUBSKICH (ze zbiorów Franciszka Pabicha) (250 egz.)



Z ŻYCIA ZRZESZENIA

KONKURS UCZNIÓW LICEUM W ORŁOWIE

W końcu listopada ub. r. otwarciem wystawy i rozdaniem nagród zakończono kolejny konkurs plastyczny na obraz i fotografię pt. „Ziemia Kaszubska”, zorganizowany przez Oddział Gdański ZK-P i Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych. Oceniono samodzielne wakacyjne prace uczniów. Jury pod przewodnictwem Czesława Ciesielskiego oceniło 44 prace malarskie, 6 grafik oraz 32 fotografie. Nagrodzono prace Marka Górnisiewicza, Alicji Wojdat, Witolda Pyzika, Mirosława Kosmalskiego, Krzysztofa Żądłowskiego i Grażyny Pająk.

Pokonkursowe prace zostaną przekazane jednej ze szkół na Kaszubach. Oddział Gdański Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego otrzymał od liceum piękny zestaw kolorowych fotografii, który — zgodnie z zamierzeniami obecnych właścicieli — będzie wystawiany w wielu miejscowościach naszego regionu. (wj)

ERRATA

W opublikowanych w numerach 3, 4 i 5 ub. roku wspomnieniach Bernarda Nowaka „Echa powojenne” zakradły się błędy. W odcinku I-szym na s. 9 podano 4 km zamiast 40 km (szerokość powiatu); na s. 10 zamiast od powinno być do (początku sierpnia): w odcinku II-gim: na str. 37 w kolumnie lewej zamiast 26 winno być 36, a w kolumnie prawej w wierszu 12 od góry zamiast Wojskowym winno być Wojewódzkim, na s. 39 chodzi o ogniska zgnilca a nie zgnilicy. Zniekształceniu uległy również nazwiska doktorów: Danilewicz i Nyrka.

Autora i Czytelników przepraszamy.
Red.



16 grudnia ub.r. zmarł po dłuższej chorobie **FRANCISZEK WYCZYNSKI**. Pan Franciszek był przez kilka ostatnich lat wspieranym orędownikiem naszego pisma i wszystkich wydawnictw Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Był naszym doradcą. Jego pogoda ducha i uśmiech, które go nigdy nie opuszczały bardzo nam były potrzebne w naszej codziennej zrzeszeniowej pracy. Był autorem „Skorowidzu miejscowości Województwa Pomorskiego” wydanego w 1938 r. w Toruniu. Pochowany został 20 grudnia w rodzinnym grobowcu w Toruniu.

Fot. w 1976 r. Alfons Klejna

KASZUBSKIE PREMIERY LALKOWE

Swego czasu informowaliśmy o dwóch sztukach Natalii Gołębskiej, znanego gdańskiego reżysera i dramaturga teatru lalkowego, osnutych na wątkach kaszubskich. Obecnie możemy już poinformować o prapremierach obu tych sztuk.

Pierwsza prapremiera — śpiewogry na kaszubską nutę „Guli-Gutka” odbyła się w Państwowym Teatrze Lalki „Tęcza” w Słupsku gdzie reżyserem przedstawienia była Zofia Miklińska, a scenografię i lalki projektował Adam Kilian. Prapremierę sztuki drugiej — fantazji kaszubskiej „Diabelskie skrzypce” przygotował 20 listopada 1977 r. Teatr Lalki i Aktora „Baj Pomorski” w Toruniu, w inscenizacji i reżyserii Joanny Piekarskiej, ze scenografią Zdzisława Kulikowskiego. A oto co po prapremierze toruńskiej pisała tamtejsza prasa:

„Sztuka Natalii Gołębskiej opowiadająca o poszukiwaniach „diabelskich skrzypiec”, których zażądała od Wojtka piękna Barbarka, nie jest jednak tylko folklorystycznym obrazkiem, który z racji odręb-

ności kulturowej i językowej kaszubszczyzny mógłby łącno stać się suchym i niezrozumiałym dla dziecka zapisem dawnych obyczajów. Folklor został w niej umiejscowiony przetransponowany na potrzeby sceny, osobliwości językowe pojawiają się rzadko i zawsze w tłumaczącym je kontekście zdaniowym. Toteż „Diabelskie skrzypce” mogą się podobać zarówno dzieciom jak i odbiorcom znacznie starszym. Jedni podziwiać w nich będą dudowności, drudzy — mistrzostwo w konstruowaniu postaci i zakamuflowanie „dobrych dowcip”.

Aktualnie do wystawienia „Diabelskich skrzypiec” przygotowuje się gdańska „Miniatura”, która prapremierę zapowiada na jesień br.

(ft)

KLEKA

RZEŻBA ŚWIĄTECZNA W PAŁACU OPATÓW

W grudniu ub. r. otwarto obszerną wystawę w Pałacu Opatów w Oliwie zorganizowaną przez Dział Etnografii Muzeum Narodowego w Gdańsku. W dwóch salach zgromadzono dawne i współczesne rzeźby ludowe z Kaszub i Kociewia, w jednej sali wyeksponowano hafty kaszubskie, w większości wykonane w okresie międzywojennym, m.in. pod kierunkiem Teodory Gulgowskiej. Największą jednak uwagę skupiają kaszubskie i kociewskie szopki oraz gwiazdkowo-noworoczne atrybuty obrzędowe. Zgromadzono łącznie ponad 200 eksponatów, własności muzeum.

(wj).

BADANIA ETNOGRAFICZNE WSI KASZUBSKICH OKOLIC BYTOWA

Miejscowa ludność kaszubska wsi okolic Bytowa była obiektem badań etnograficznych prowadzonych od 1973 r. przez Katedrę Etnografii UŁ. Problematyka badawcza dotyczyła w miarę rozwoju badań następujących zagadnień: stosunku Kaszubów do przeszłości własnej wsi, własnej rodziny (rodu), parafii oraz ich stosunku do religii i własnej gwary. Zagadnienia te miały naświetlić m. innymi stopień wewnętrznej integracji ludności kaszubskiej. W drugiej fazie prac terenowych obiektem badań była rodzina kaszubska traktowana jako podmiot i obiekt procesów etnicznych, które miały miejsce za życia trzech pokoleń kaszubskich. W badaniach tych dążono do poznania okoliczności sprzyjających wtapianiu się członków rodziny w środowisko obcej grupy etnicznej oraz ustalenia wszelkich kontaktów członków badanej rodziny z ludnością kaszubską innych okolic oraz z kulturą polską. Równocześnie badano folklor muzyczny i dokonano transkrypcji muzycznej ludowych pieśni kaszubskich. Badania prowadzono w Osi w Dąbrowie, w Studzienicach, Czarnej Dąbrowie, Płotowie, Rekowo, Kłęczynie. Ze wsi tych wybrano Płotowo do pogłębionych badań stacjonarnych, które prowadzono w tej wsi w ciągu dwóch ostatnich lat. Ponadto w roku 1977 przeprowadzone zostały badania porównawcze w Kanadzie nad grupą potomków dawnych emigrantów m. in. z obecnego województwa śląskiego. Badania te, które obecnie ze względu na realizację problemów węzłowych, będą mogły być wykorzystane przy opracowaniu zagadnienia dotyczącego „Roli dziedzictwa kulturowego w kształtowaniu się świadomości etnicznej i narodowej”. Znalazły w początkowej fazie realizacji protektorów w osobach byłego kierownika Wydziału Kultury w Bytowie mgr. Jana Tyborczyka, ówczesnego przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej mgr. Mazurka oraz kierownika Muzeum w Bytowie mgr. Cieleckiego.

Natomiast badania w Kanadzie prowadzone w najstarszej polskiej parafii we Wilnie, w której mieszkają m. innymi potomkowie Zblewskich, Hetmańskich, Burchatów, Reków, Szulistów, Kulasów, Szczypiorów, Gliszczyńskich, Princów, a więc rodzin mieszkających w okolicach Bytowa, możliwe były do przeprowadzenia dzięki pomocy pa-

ni dr J. Jost, autorki pracy o osadnictwie kaszubskim w Ontario i prof. dr. Tadeusza Josta z Uniwersytetu w Ottawie a także proboszcza z Wilna ks. dr. Kądziołka oraz życzliwości miejscowej ludności pochodzenia kaszubskiego, która do badań odniosła się niezwykle życzliwie. Na specjalne wyróżnienie zasługuje rodzina Burchatów z Wilna.

W wyniku badań, przygotowywane są cztery prace magisterskie dotyczące podstaw bytowych i stosunków społecznych: życia rodzinnego-zawodowego wsi kaszubskich z przełomu XIX-XX w., oraz oddany został do druku w Zeszytach Uniwersytetu Łódzkiego art. omawiający wstępne wyniki badań w Kanadzie (we Wilnie Ontario). W nadchodzącym roku przewiduje się ostateczne syntetyczne opracowanie badań prowadzonych we wsiach bytowskich oraz kontynuację badań w Kanadzie.

JADWIGA KUCHARSKA

ANNA KANTRZONKOWA Z BRUS

Artykuł „Hafty z dobrej szkoły” autora K. Ostr. zamieszczony w

Jednym zdaniem

● 28 XI ub. r. w gdańskim Ratuszu Głównym Miasta odbyła się jubileuszowa sesja zorganizowana w 50-lecie Instytutu Bałtyckiego. Z tej okazji wybito również pamiątkowy medal.

● 28 XI ub. r. w oliwskim Pałacu Opatów rozpoczęto dwudniową sesję historyczno-literacką z okazji 350-tej rocznicy zwycięstwa floty polskiej pod Oliwą. Na ścianie Pałacu Opatów wmurowano pamiątkową tablicę o treści: „W 350 rocznicę zwycięskiej Bitwy Oliwskiej, która imię Polski morską chwałą okryła — marynarzom i żołnierzom, na straży naszego morza stojącym, społeczeństwo Wybrzeża”.

● W ubiegłym roku dokonano fuzji klubów sportowych: kościerskiej „Kaszubi” z „Ceramikiem” Lubiana. Przy okazji wyrugowano tradycyjną (dla Kościerzyny) i piękną nazwę „Kaszubia”, zastępując ją wielce oryginalną — MLKS Kościerzyna.

● Polska batynautyka ma 10 lat. W lipcu 1967 r. na jeziorze Kłodno k. Chmielna odbyło się pierwsze zanurzenie „Meduzy 1”. Na głębokości 24 m przez 4 doby przebywał konstruktor Antoni Dębski.

● Nakładem KAW w Gdańsku ukazał się „Przewodnik po muzeach Ziemi Gdańskiej”. Przewodnik informuje o Muzeum Narodowym w Gdańsku, Muzeum Archeologicznym w Gdańsku, Centralnym Muzeum Morskim w Gdańsku, Muzeum Historii Miasta w Gdańsku, Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, Muzeum Oceanograficznym i Akwarium Morskim MIR w Gdyni, Dziale Historii Miasta Gdyni Miejskiej Biblioteki Publ. w Gdyni, Muzeum Kaszubskim w Kartuzach, Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie, Izbie Pamięci Józefa Wybickiego w Będolinie, Kaszubskim Parku Etnograficznym we Wdzydżach Kiszewskich oraz o Stacji Gromadzenia Dóbr Kultury i Upowszechniania Wiedzy o Regionie w Pucku. Przewodnik opracowany został starannie pod kierunkiem L. J. Łuki. Razi jedynie pretensjonalny tekst o muzeum wejherowskim. Szata graficzna bardzo staranna, oprawa znakomita. Przewodnik ukazał się w nakładzie 5 tys. egz. (w języku polskim) oraz po 2,5 tys. egz. w języku angielskim i rosyjskim.

● Kilka już lat brygady Pracowni Konserwacji Zabytków w Gdańsku odbudowują 5 spichrzów: „Miedź”, „Panne”, „Oliwski”, „Dużą Dąbrowę” i „Małą Dąbrowę” dostosowując je do potrzeb Centralnego Muzeum Morskiego w Gdańsku. Termin uzyskania 8 tys. m kw, sal ekspozycyjnych, wielkich magazynów, biblioteki, archiwum i kina nie jest ustalony.

● W ubiegłym roku dr Zofia Hołowińska z ramienia Inst. Architek. i Urbanistyki Politechniki Gdańskiej badała otoczenie Zamku Kiszewskiego. Natrafiono na nieznaną mur z cegły gotyckiej i zachowane piwnice. Dzięki znalezionym fragmentom glinianym i trzem zachowanym szklancom ustalono, że piwnice były jeszcze użytkowane w XVI i XVII w., tj. po pożarze głównego budynku w roku 1454 w czasie wojny trzynastoletniej. Cenny kiszewski zespół zabytkowy jest jednak dalej zaniedbany, źle eksploatowany i dewastowany.

● Na grudniowej sesji Woj. Rady Narodowej w Gdańsku podjęto decyzję o nadaniu Półwyspowi Helickiemu statusu Nadmorskiego Parku Krajobrazowego. Uchwała ta precyzuje: „Celem utworzenia parku jest zapewnienie warunków dla aktywnych form ochrony i kształtowania środowiska przy równoległym rozwoju funkcji rekreacyjnych z zachowaniem w krajobrazie tych wszystkich elementów, które decydują o jego wartościach przyrodniczych, kulturalnych i rekreacyjnych”. Podstawy prawne są. Półwsep mogą uratować jedynie kapitałochłonne inwestycje.

(wj)

W końcu ubiegłego roku wręczone zostały nagrody naukowe Wydziału Nauk Społecznych Polskiej Akademii Nauk za rok 1977. W zakresie językoznawstwa nagrodę im. Kazimierza Nitscha przyznał ks. dr. Bernardowi Sycheie za 7-tomowy „Słownik gwar kaszubskich na tle kultury ludowej”. (Fot. Jerzy Hajdul).



BETLEJEMKA

OTO ona. We wsi Silno niedaleko Chojnic tuż przy asfaltowej drodze chatynka strzechą kryta, Betlejem.

Sołtys — zanim wybudował stojący niedaleko dom, mieszkał tu parę lat — otwiera drzwi. Najpierw zamek yale, potem przemyślny skobelek, tak jak i chata rodowodem sięgający XVII wieku. „Betlejemka” jest ostatnią z ośmiu jeszcze po wojnie istniejących tu parowiecznych kaszubskich chat podcieniowych. Rodowa chata sołtysa, która stała dokładnie w tym samym miejscu, gdzie teraz wybudował nowy dom, przeniesiona została do skansenu.

— Rozbierałem ją sam. I złożyć też miałem, ale akurat złamałem rękę — mówi z żalem — nie widziałem jej niestety, nie często wyjeżdżam z naszego „Betlejem”.

Używa tej nazwy choć nie pasuje do współczesności. Co innego „Betlejemka” uznana za zabytek. Jest własnością państwa, które — jak po wiada — dużo pieniędzy włożyło, żeby ten relikw dawnego życia kaszubskiego zachować. Opiekował się nim gdański konserwator, po ostatniej reformie administracyjnej pieczęć objął konserwator bydgoski, którego plany gospodarowania tą chatą są w Silnie nie znane. Chata żyła, dopóki byli w niej ludzie. Mieszkał sołtys z rodziną, później była tu gromadzka biblioteka. Biblioteka to oczywiście nie tylko wypo-

życzalnia, ale miejsce spotkań. Prowadzono próby zespołu regionalnego, wiele planów prac podjętych na rzecz własnego regionu, utrwaleń tradycji i własnej kultury zrodziło się tu, z najlepszej inspiracji jaką jest autentyk. Widać to i teraz z zachowania sołtysa. Dopiero co mrukliwy i niechętny, ożywił się, rozgadał. Poczul się u siebie. Opieka konserwatorska objąć miała również otoczenie „Betlejemki”, podwórko z typową kaszubską, drewnianą studnią. Miał stanąć przy niej żuraw, całość powinna być ogrodzona. A najważniejsze: czym właściwie ma być dla swojej wsi „Betlejemka”?

Sołtys widziałby tu izbę regionalną. Miejscowe niewielkie muzeum i świetlica ludowa — na przyszłość, na bajanie, na twórczość własną. (...)

W Silnie, gdzie była osada ośmiu kaszubskich krytych chat zwana Betlejem, pozostała jedna „Betlejemka”. Z nieokreślonym swoim dzisiaj. Sądząc po potrzebach, które w najlepiej rozumianym interesie rozwoju i zachowania naszej kultury ludowej trzeba jeszcze powiększyć, wszystkie chaty jakie tu były mogły by znaleźć cel i sens istnienia.

ELŻBIETA BINDER

(Fragment z artykułu „Dzisiaj w Betlejem” zamieszczonego w numerze 52/1977 r. Tygodnika Katolickiego „WTK”)

ZMARŁ STANISŁAW ZAWACKI

W dniu 25 września br. zmarł w Chełmnie n. Wisłą Stanisław Zawacki, senior filomatów pomorskich.

Urodził się 8 maja 1984 r. w Suminie pow. Nowe Miasto Lubawskie. Jako 12-letni chłopiec brał udział w strajku szkolnym w Suminie przeciwko nauczaniu religii w języku niemieckim. Naukę gimnazjalną rozpoczął w Toruniu w szkole wydziałowej dla chłopców a następnie kontynuował ją w Gimnazjum Chełmińskim. Tutaj w 1910 r. wstąpił do tajnego kółka samokształceniowego p. n. Towarzystwo Tomasz Zana. Było to najliczniejsze i najbardziej aktywne koło gimnazjalne na Pomorzu. W latach 1912—14 przewodniczył mu Stanisław Zawacki.

Przed pierwszą wojną światową pełnił również funkcję komendanta tajnej drużyny harcerskiej w Chełmnie, utworzonej z członków Towarzystwa Tomasz Zana.

Studiował prawo i ekonomię na Uniwersytecie Poznańskim. Równocześnie uczestniczył w działalności narodowej. W 1919 r. był sekretarzem Rady Ludowej w Biskupcu pow. Nowe Miasto Lubawskie. W maju 1920 r. został wydelegowany przez Akademicki Komitet Plebiscytowy w Poznaniu do Kwidzyna i Olsztyna, aby tam nadzorować pracę plebiscytową obywateli polskich.

W latach 1923—35 S. Zawacki był burmistrzem miasta Chełmna. Od 1921 r. do wybuchu wojny pełnił funkcje sekretarza Związku Filomatów Pomorskich, zrzeszającego byłych członków kółek filomackich na Pomorzu. Przez szereg lat wchodził również do Zarządu Okręgowego Dzielnic Pomorskiej Towarzystwa Gimnastycznego Sokół.

Po drugiej wojnie światowej chociaż schorowany brał udział w odbudowie kraju. Przez wiele lat pracował w Urzędzie Ziemi w Toruniu, Państwowych Gospodarstwach Rolnych i w administracji.

Zmarły był całkowicie oddany sprawie Ojczyzny.

STEFAN RAFIŃSKI

Guczów Mack gôdô!

Wilczëca

Sprzëti Bątcza westrzód lasów tacą sę pustczy pod zwatwą Wilczé Młinë. Malinkô strëga, Glinnô, z przitczy grzëpë plëzgô i szëmi dzys jak pierwi i wëpliwô swoje przezërné wodë w poblëzne jezoro. Nad tą strëgą, co pierwi bëła wiele wikszô, wiesolo so klaprowa i szëmarza staroswieckô mielnica. Drów wodë spôdôł bezustónku na wieldzi młińszci koło i nekôł mielnicę. Ale dzysô ju ni ma po tim młinie niżôdnëgo szlachu, oprócz zwatwë.

W tim snôzim okalim czedës pierwi żëto baro wiele wilków. A zëmą, czej nastalë pëkane mroze, wilczy wëlôzalë z chmorów i brzëdów gromistech mi-rachowszczëch lasów, nad jezorem jëlë straszno wëc i strachë przejëmac okol-nech lëdzy. Rôz w sekretną noc uzarlë młënôrkę, co wëlazła z chëczy na podworzë. Od tech czôs zwelë ten młin Wilczim Młinem.

Wilczy w nenczas bëłë wielgą plagą lëdzy i zwierzëców. Dzinëlë w lasach jelenie, sarnë i zajce. Wilków bëło corôz to wicy, a nocama zazëralë do zô-gardów, a dze le jaczi kón so skubôł trówkę na pażëcë, te rozszarpalë wilczy.

Ale na szczescë, a bëło to kol dwastalati slôdë, rząd prësczi wëpowie-dzôł wilkom wojnë. Tej jëlë przëcënac lasë i robic duktë z pôlnia w norde i ze wzeniku na wzanik. Podzelëlë lasë na sztërekantné jagë i ustanowilë le-seństwa i nadlesëństwa. Wëznaczëlë téz nôdgradë za pôrë wilczëch uszi – talara, co wnenczas bëł grëbszim dëtkem.

W niedludzim czasu wilczy wëdzinëlë, le jesz tam-sam jaczi zastôł utacony w gëstwach, a jednym z ostatnych w okalim Wilczëch Młinów bëła stôrô wilczëca, co jesz dlugo charlëzëła w sprzëtech lasach i gajach.

Ostatnô wilczëca së zëstarza, ista së czësto sëwô i krësznia z dnia na dzień. Zaniewidza na lidzëwé oko i zesztwiania na slëdné szpërë. Przetrzima jesz zëmę, ale gwënëgo dnia na zymku zaniemogła, zwrócëła së i lëza bez-chwatnô przed swoim legowiszczëm i zdëcha.

Redosc zaponowa westrzód dzëwëch i chównych zwierzëców. Wiele z nich së pozeszło przë zdëchajacë wilczëcë. Tej chitri lës jël wilczëcë ragac i re-nic jë przëkësnëma gôdkama. Czej skuńczël, stôrô knaga jëła ji dobôdac swojima rogama i wëgadowac, że ji malinczi celatko bezsertno uzarla. Dżëk jël jë kaleczëc swojima klama, a smardny twórz ji bëłno puscel dëcht do no-sa. Nawetka głupi osôł dôł ji czile buftsów swoim cwiardim kótem.

Le dëcht kón, co téz bëł przëszli zdrzec, nie doskôcôł wilczëcë ani gôdką ani kótem. Tej rzeklë zdzëwiony lës:

– Cëz të tak stojisz cëcho jak muczk? Nie chcesz të ji téz dac bëłnego bufsa kótem? Ko ta wilczëca doch twojë mëmkę uzarla...

– Jô – odrzëklë szlachetny kón – trzymajë to za nicdobrosc i nikczëmnotë mscëc së na procëmniku, co mie ju wicy nick szkodzëc ni moze.

Nawetka nen twórz
Wpôdl so w „swięti” górz:
Jël swim smardem trëc
I së brzëdko mscëc.

Chcemë le so zazëcl

Naji dēchē (6)

Aleksander Labuda

SARČESTI

Sarčesti — to demon chwatu i zapalczewotē. Dzeje w przyrodze, na lądach i na morzach. Gromisté barche wiejów i okropné wicherē, nēkawice i sztormē — to dokōže Sarčestého. W lédzach dzeje zapalczewotą i wiedno na jejich szkodę i nieszczęscé.

- W ce je wierę ten Szarčesti wlazli!
 - Jidze sarčesti grzēmot.
 - To je na Sarčestého!
 - Sarčesti zerwól ten dak.
 - Sarčesti połómól drzewa w lese.
 - Sarčesté gradē panējā latos.
 - Sarčesti sztorm zatopil nasze łodze.
 - Ala Sarčestému!
 - Do sto Sarčestech!
- Sarčesti žēje jesz dzys w gōdkach i runitwie.

SARMATNY

To mēri duch bezwstēdnotē i sarmotē, ogradzan kętrzētwe i kętrzińców. Dzeje przede wszētczim w miastach i tam, dze wastēje bezwstēdnota i moralny rozbot.

- Sarmota jak w Sodomie i Gomorze!
- W tēch chęczech mieszkō Sarmatny.
- Bēl w sarmoce nalazli, urosli i umarli.
- Ten Sarmatny jich do te donēkōl.
- To je bezwstēdnota na Sarmatného!
- Je zarzekli na Sarmatného.
- Gōdē brzēdko jak Sarmatny.
- To zgnilēzna i sarmota.
- Do sto Sarmatnech!

Sarmatny dzeje w lédzach dzys jak przōdē, le miono jęgo jidze w zabōczeniē.

SEKRETNIK

To mērawi duch, sprōwca znobu i sekretnech mrozów.

- Sekretnik stēdzy nodzi.
- To je dzys sekretny mrōz.

- To se mó na sekretna zēme.
- Niech ce Sekretnik jimnie!
- Biej mie do sto sekretnych diabłów!

Sekretnik dzeje le w zēmie. Zybje przyrodę i lędzy do starbného spiku. Žēje w gōdkach i powiōstkach.

SĚCHŌ OBOK BIŌŁŌ I SMIERC

To mēri duch-strōszk w zjawie koscētrupa z kosą na remieniu.

- Ta Sēchō ce wnetka halō!
- Z tą Biōłą ni ma żartów.
- Czej zeńdziesz sę z tą Biōłą, tej je z tobą kuńc.
- Smierc je sprawiedlėwō.
- Chwalē ze mną Smierc za jeji sprawiedlėwotę i umierej biēdno, a niech ten bogati sę jiscy i sę ji procēm stōwiō — on zdechniē jak nen dzēwi zwiērz!

Sēchō je znōnō u wszētczech lédów i žēje w gōdkach i powiōstkach.

SMĚTK

Smętk — to wipny duch procēmnotów i psotów, je gorlėwim ogradzanem wszētternōstczech lewotnech dosēznów naszego kaszēbsczého semietu. Pierwi bōl sprōwca smutków i nazywól sę Smutk, le pozdze ze smutného Smutka zrobił sę nasz psotny, wipny i chitri Smętk.

- Smętk to je taczci lėdałi pieczelnik.
- Przē Gostomiu w Lėsy Gōrze je piekło, dze sę Smętk tacy.
- Na rozestajach mozesz zetkac sę ze Smętkem.
- Ten moze tancowac jak Smętk
- Smętk sę wkrący na koźdi zóm i bóms.
- Ten dzewus tak długo lazeł po tēch muzykach i zómach, jaż Smętk go usmętnił.
- Mulku, jest dlō mnie tak pokusnō jak dēsza dlō Smętk!
- Ucēkō jak Smętk przed swięconą wodą.
- Ten ouzer je cnitri jak Smętk.
- Nie zadawej sę ze Smętkem!
- To je wszētko na Smętk!
- Biej mnie do Smętk!

Smętk wędzrzy jak jistny czołwiek, le mô dwa dęcht malinczi różczy na lésenie, krótechną tępę a jedną szperę kónską a dręgą kurzą. Matczy ostrzegają swoje córeczci, cobë dałë bôczenië przë tuńcu z czim tańcëją:

— Czej ce cëzy jaczi elegantny pańc zabierze do tuńca, tej së nôprzód dobrze przëzdrzë na jego nodzi, cobë ce czasë Smętk ni miôł zabróny!

W powiôstce o Ormuzdze i Arimanie Aleksandra Majkowsczëgo w „Remusu” widzimy Smętkã sprówcã wszëtczech naj dzejowech stratwów. Može bëc, że pierwsi Smętk taczim bëł, ale dzysô je jinszim. Nie je bënëmnii niszczotã kaszëbiznë, le je usebnienim kaszëbsczëgo semietu, osoblëwie jego lewotnych znańcz i lészewków. Je elegantnym, schlëdnym, kąsk busznym, czasë zôdrosnym i zwörnym, zamklim w se i krëjamnym, rozwôżnym, kąsk do se, a nieczedë wiesolim wëszczërgã skornym do psot i wërglów, do rażënë i podkôrbianiô.

Tak jak Goethego Mefistofeles we „Faust” je jawernym Miemcem, tak nasz Smętk je jawernym Kaszëbã.

SMORGÓN

To mëri duch smardów i swędów. Mieszkô w napól nicach, smardzyńcach i sztókach.

- Smierdzy jak Smorgón!
 - Tu je czëc za Smorgónem.
 - Smorgón sedzy pod smardlënã.
 - Smorgón wnekôł tworza w kurnik.
 - Za tobã së Smorgón wlecze.
 - Biej buten, bo Smorgón së u ce krãcy!
 - To je smorgónszi smród!
- Smorgón žëje jész dzys w gôdkach i powiôstkach.

SORIN

Je to mëri duch dolemnotë i kalëctwa.

- Sorin mu krzëń złómôł.
- To dzecko je przechlastki, gwës Sorin to mô zrobiony.
- Chlastnął ce Sorin.
- Do Sorëna të tam lózl?!!
- Jachôł i Sorin go wëwaleł na prosti drodze.
- Sorin žëje le jész w gôdkach.

STRZËGA

Mëri duch wëszëgo szlachu, slëga Morlawë je sprówcã poszedlów i morlawnych chër. Dzeje w calëchny przirodze, osoblëwie wëstrzôd lëdzy.

- Strzëga trzëse chërama.
- Czej Strzëga së zjawi, lëdze chërzejã w calëchnym okalim.
- Wëmaria wies, bo zawitôł do ni Strzëga.
- Jes ju w remionach Strzëdzi.
- Żebë ce Strzëga zarwôł!
- Biej mie do mërëgo Strzëdzi!
- Strzëga dzeje jész dzys, le miono jego dżinie.

SZËMICH

Je to strogotlëwi duch lasów, ogradzan ubëtnych cyszawów i zdôlnych szëmów.

- Zagrôł Szëmich spiëwë lasów.
- Szëmich dôł jim utulenië głëbok w lese.
- Biej do lasa a bédze ce ubëtno w obarnim Szëmicha!
- Szëmich dzeje le dëcht w lasach. Spiëwë lasowim zwierzëcom. Žëje le w powiôstkach.

Wolter na Kaszubach?

Edward Breza

Jeśli zapytać kogokolwiek ze średnim wykształceniem, skąd pochodzi nazwisko Wolter, to padnie odpowiedź: z Francji, bo tam żył i działał Voltaire, spolszczony na Wolter (1694—1778). Gdy jednak się zważy, że nazwisko to spotykamy wśród kaszubskich gburów, to odpowiedź taka wyda się mało prawdopodobna. Do chłopstwa kaszubskiego przecież nie trafiły wolnomyślnie poglądy myśliciela oświeceniowego, żeby wraz z nimi przyjęło nazwisko francuskiego filozofa. Kiedy wreszcie podam, że nazwisko Wolter na Kaszubach znane było już w XVI w., to pozornie prosta odpowiedź, że nazwisko wymienione w tytule pochodzi z Francji, okaże się nieprawdopodobna i błędna.

Zacznijmy zatem od dokumentacji interesującego nas nazwiska na Pomorzu. Pierwsze poświadczenie nazwiska Wolter mam z Człuchowskiego, mianowicie w r. 1583 wspomniany został we wsi Sztynborno, dziś Słupia Georgius 'Jerzy' Wolter F XI—XV 62. Nazwisko to stało się podstawą niemieckiej nazwy wsi Kiełpin w Człuchowskim, tj. Woltersdorff: Nobilis Christianus Manteufel de Calepin 'Kiełpin' seu Woltersdorff r. 1570 F. XI—XV 163 i też: Nobilis Karsten Menteuffel we wsi Colpin alias 'maczej' Woltersdorff ZDz 228,¹⁾ gdzie człon II nazwy -dorff 'wieś' pełni funkcję dzierzawca, równą polskiemu -owo (niby Wolterowo). W FXVI—XIX 510 wspomniany został kanonik Maciej Wolter: Matthiae Woltheri, canonici Vendensis, vicarii Zukoviensis etc. Pod koniec XVIII w. w Kaliszu (Kościerskie) mieszkał Bauer 'rolnik' Wawrz[yniec] Wolther IK, zresztą i dziś mieszka w centrum tej wsi gospodarz Wolter; w tymże czasie Instmann Andr[zej] Wolter w Tuskzowach (Kościerskie) IK. W XIX w. (r. 1862) notowany jest na Pomorzu Zachodnim szlachcic Wolter.²⁾ W tymże wieku znany jest Stanislaus Wolter w Czychokwach, Józef Wolter w W. Chełmach, por. księgę ślubów parafii Brusy w Chojnickim r. 1878 i 1883, poz. 2. 58 i Marianna Wolter w Zapemniu, por. księgę ślubów par. Borzyszkowy w Chojnickim r. 1892, poz. 188.

Na Pomorzu Zachodnim już wcześniej, bo w r. 1756 występuje szlachcic von Walther³⁾. Pod koniec XVIII wieku notowany jest J. Walter w Chwarzynie (Kościerskie) IK, Bauer Woyt[echus] Walter w Lipuszu (Kościerskie) IK, współcześnie Walter w Redzie i w Cieclocinie w Wejherowskim.

Oprócz nazwiska Walter i Wolter znany jest też na Pomorzu wariant Olter, np. w Dziemianach, Raduniu, Pogódkach i w Garczynie (Kościerskie), znany mi z eksploracji terenowej, z nagrobków omentarnych lub z zapisów kościelnych.

Przejdźmy do objaśnienia udokumentowanego nazwiska w trzech wariantach: Walter, Wolter, Olter. Poświadczenia źródłowe z XVI w. wykluczają możliwość zapożyczenia tego nazwiska z Francji. Myśliciel francuski nazywał się bowiem François-Marie Arouet. Nazwisko Voltaire powstało w sposób sztuczny, przez anagram, czyli przestawkę liter i sylab w autentycznym nazwisku i imionach.⁴⁾ Wymieniając trzy wa-

rianty jednego pod względem etymologicznym nazwiska, wskazałem pośrednio na jego pochodzenie. Najbardziej przejrzysty jest tu oczywiście wariant Walter, por. tu choćby pseudonim Walter gen. K. Świerczewskiego. Imię niemieckie Walter pochodzi od czasownika walten 'rządzić, panować, kierować'.⁵⁾

Nazwisko Wolter wywiedziemy również od imienia Walter, ale w jego odmianie fonetycznej dolnoniemieckiej (Walter to forma górnoniemiecka). Żeby uprawdopodobnić to stwierdzenie, podam, że wariant Wolter funkcjonował też jako imię. Np. w cytowanej w przypisie 1 pracy o rodzinie Puttkamerów mamy w XVII w. imiona Wolter Puttkamer (s. 613, 619). Dodam jeszcze, że znane dziś dość często na Kaszubach nazwisko Wałdoch, które wywiedziemy od niem. imienia Waldemar, zapisane jest np. w r. 1664 w Golcewie (Bytowskie) jako gbur Woldoch F XXXII 273. Por. tu też nazwę Olsztyn z niem. Allenstein. Poza tym w źródłach pomorskich nazwisko Wald i Wold.

Co sądzić o wariacie Olter? Skojarzyłem go (Pomerania 1976 nr 6) z niemieckim przymiotnikiem alt 'stary' w jego dolnoniemieckiej formie olt, por. ang. old 'stary'. Teraz jednak, kiedy zebrałem bogatszą dokumentację nazwiska Wolter, skłonny jestem go zinterpretować od tegoż imienia Walter w dolnoniemieckiej formie Wolter z opuszczeniem początkowego W-. Proces ten łatwo wyjaśnić chęcią uniknięcia form typu uekue 'oko', uewca 'owca', jakie powszechnie są na Kaszubach. (Mamy tu do czynienia z tzw. zjawiskiem hiperpoprawności czy, jak niektórzy wolą, hiperkorektywności). W gwarowej formie Uelter 'Wolter' początkowy dźwięk pojęto jako labialną wymowę nagłosowego o- i stąd zapisano Olter. Dodam, że istotnie zarówno urzędową formę Wolter jak i Olter wymawia się we wsiach kaszubskich Uelter (znane mi z Kalisza i Dziemian w Kościerskim).

Jeśli nazwisko Wolter pochodzi od imienia, to nie powinno ono być nazwiskiem li tylko kaszubskim, lecz także ogólnopolskim. Tak jest istotnie. Żeby nie męczyć czytelnika wylizaniem miejscowości gdzie to nazwisko możemy spotkać, choćby na podstawie książek telefonicznych, podam za Leksykonem PWN z roku 1972, że znani są bracia Aleksander i Władysław Wolterowie prawnicy, wariant Walter tego nazwiska dokumentuje we wspomnianym Leksykonie A. Walter, śląski rzeźbiarz z XVI w. i inne zasłużone osoby tamże; znana zresztą każdemu Polakowi spikerka TV Warszawa Bożena Walter. Wariantu Olter poza Kaszubami i pograniczem kaszubskim nie spotkałem. Uwarunkowany on jest kaszubską bilabialną wymową nagłosowego o- jako ue- i wywieść go zatem możemy bez obawy pobłędzenia od nazwiska Wolter. Ponieważ jednak wymowa samogłosek o oraz u na początku wyrazu z elementem protetycznym (typ uodejdz uod uokna) nie jest właściwością jedynie gwar kaszubskich, dlatego nie można a limine wykluczać występowania wariantu Olter poza Kaszubami.

¹⁾ Zob. R. Klempin, G. Kratz, Matrikeln und Verzeichnisse der pommerischen Ritterschaft vom XIV bis in des XIX Jahrhundert, Berlin 1863, s. 640.

²⁾ Tamże s. 353, 368.

³⁾ Por. Tatarakiewicz, Historia filozofii, t. II, Warszawa 1958, s. 178.

⁴⁾ Por. Gottschald, Deutsche Namenkunde, Berlin 1954.

WYKAZ SKRÓTÓW

- F Wydawnictwo Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Toruniu z serii Fontes.
IK Księga inwentarzowa map katastralnych z wykazem ludności zamieszkującej daną wieś (wyzyskałem w byłym Wydziale Geodezji PPRN w Kościerzynie).
ZDz Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym, Źródła dziejowe, t. XXIII, I. T. Baranowski, t. XII: Prusy Królewskie, Warszawa 1911.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA ZRZESZENIA
Bernard Janowicz

BAJKI KOCIEWSKIE (20 zł)

HAFT KASZUBSKI
SZKOŁA PUCKA (70 zł)

Jerzy Samp
CYROGRAFY (25 zł)

Kazimierz Ostrowski
PIEŚNIARZ Z ZIEMI JEZIOR (35 zł)
O Wincentym Rogali z Wiele

Jan Trepczyk
ODECKNIENIE (45 zł)

Lech Bądkowski, Wawrzyniec Samp
POCZET KSIĄŻĄT
POMORZA GDAŃSKIEGO (45 zł)

Feliks Rogaczewski
WŚRÓD SŁOWIŃCÓW (30 zł)

Bolesław Fac
ZAKONNICA DLA KSIĘCIA (30 zł)

Jan Drzeżdżon
W NIEDZIELNI WIECZOR (14 zł)

Juliusz Pobłocki
NA KASZUBACH PRZED 100 LATY (20 zł)

Hieronim Jarosz Derdowski
O PANU CZORLIŃSCIM
CO DO PUCKA PO SECE JACHOŁ (25 zł)

Hieronim Gołębiewski
OBRAZKI RYBACKIE (25 zł)

**W BIURZE ZRZESZENIA
KASZUBSKO-POMORSKIEGO
80-828 GDAŃSK, DŁUGI TARG 8/10
MOŻNA NABYĆ KSIĄŻKI:**

PISMA ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO

- tom I – POMORZANIE (25 zł)
- tom II – ŻECE I PRZIGODĘ REMUSA, pierwszy dzel (25 zł)
- tom III – ŻECE I PRZIGODĘ REMUSA, drugi dzel (25 zł)
- tom IV – ŻECE I PRZIGODĘ REMUSA, trzeci dzel (25 zł)
- tom V – STRACHE I ZRĘKOVJINE (20 zł)

WSPÓŁCZESNA PIĘŚŃ KASZUBSKA

Jan Trepczyk, Juliusz Mowiński
RODNO ZEMIA (25 zł)

Henryk Jabłoński
GROMNICZNIK (25 zł)

POEZJA

Alojzy Nagel
ASTRE (27 zł)

Franciszek Fenikowski
KAMIENNE KRĘGI (20 zł)

Jan Zbrzyca
POLUDNICA (30 zł)

BIOGRAFIE

Kazimierz Ostrowski
Z KASZUBSKIEJ GLEBY
o Janie Karnowskim (14 zł)

Jerzy Samp
CYROGRAFY (25 zł)

Tadeusz Bolduan
APOSTOŁ NARODOWEJ SPRAWY
o Antonim Abrahamie (15 zł)

Leon Roppel
ZWYCIĘSTWO PIĘSNI
o Lubomirze Szopińskim (20 zł)

Kazimierz Ostrowski
PIĘSNIARZ Z ZIEMI JEZIOR
o Wicku Rogali (35 zł)

BAJKI I BAŚNIE

Józef Ceynowa
SKARB I MOC (20 zł)

Bernard Janowicz
BAJKI KOCIEWSKIE (20 zł)

Alojzy Nagel
NENKA RODA I JI DZOTCZI (20 zł)

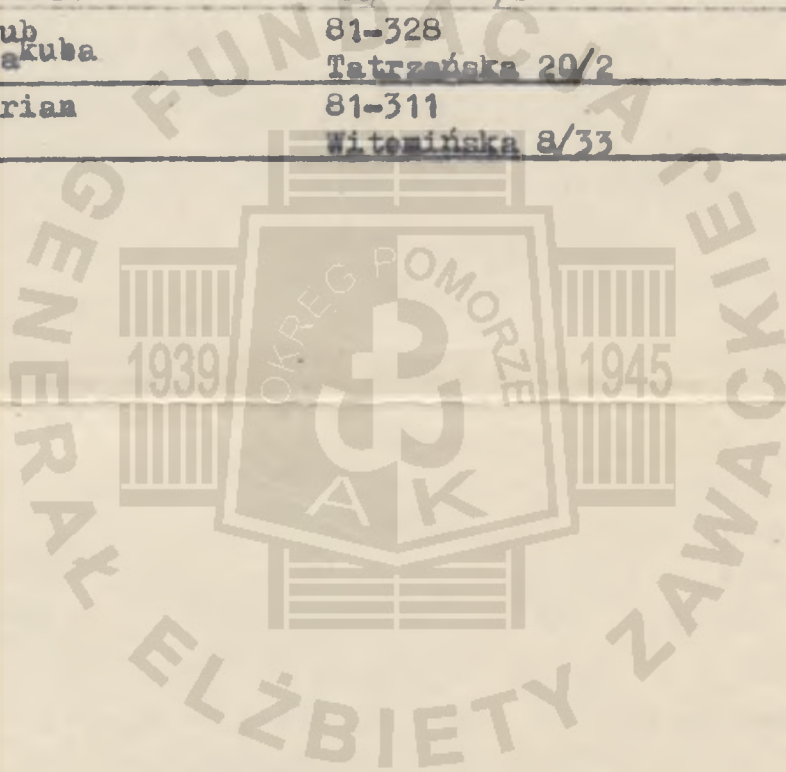
Gdynia, dnia 1988.09.26

W Y K A Z

członków koła "Działki Leśne", którzy byli więźniami
obozu koncentracyjnego Stutthof.

Lp.	Nazwisko i imię -----imię ojca	Adres zamieszkania	Uwagi:
1.	ANTOS Franciszek s. Piotra	81-319 Gdynia ul. Śląska 27-29/11	
2.	BEZDZIAŁSKA Hanna c. Józefa	81-423 Partyzantów 39/84	22-00-11
3.	BIAŁOCIAK Zofia c. Jana	81-313 Tatrzańska 20/5	21-07-61
4a	BUKOWSKI Franciszek s. Michała	81-314 Pomorska 44/2	
5.	BEZDZIAŁSKI Jan s. Jana	81-225 Czerw. Kosyn. 93/33	
6.	DANNEMANN Henryk s. Mieczysława	81-385 Kraśnickiego 2a/5b	20-50-59
7.	DERKOWSKI Leonard s. Ludwika	81-327 Wolności 51/3	
8.	DZIARMAGA Stefan s. Antoniego	81-324 Wolności 1a/11	20-34-53
9.	DUSZYŃSKI Lech s. Józefa	81-721 Sopot ul. Chałubińskiego 1	
10.	DEMPC Feliks s. Franciszka	Koźłatwa 42/2	
11.	GAJEWSKI Wincenty s. Stanisława	81-328 Czerw. Kosyn. 29/1	21-55-60
12.	GBUREK Franciszek s. Ksawerego	81-411 Ludowa 15	22-16-03
13.	GŁOWSKI Bolesław s. Franciszka	81-323 Czerw. Kosyn. 27/1	
14.	GOCZYŃSKI Aleksander s. Józefa	81-016 Chyłańska 265/1	
15.	GRABOWSKA Halina c. Antoniego	81-423 Partyzantów 42/15	22-02-14
16.	GUZIŃSKI Mieczysław s. Bronisława	81-304 Śląska 74/4	21-66-69
17.	GWIAZDA Maciej s. Rafała	81-206 Gdańsk-Oliwa Kurzyńskiego 15	52-44-20
18.	KARASZOWSKI Jan s. Dymitra	70-361 Szczecin Pocztowa 20/2	20-31-56
19.	KYTEWSKI Franciszek s. Józefa	81-313 Tatrzańska 36	20-06-07
20.	KRAMER Józef s. Jana	81-309 Warszawska 59/3	20-09-70
21.	KUJAWA Aleksander s. Jana	81-313 Ślupecka 43/4	21-19-68
22.	MACKOWSKI Józef s. Józefa	81-622 Polna 5	
23.	MITROS Marian s. Ignacego	81-304 Śląska 72/31	20-17-44
24.	PAWLACZYK Marian s. Marcina	81-462 Powst. Wlkp. 97c/3	22-14-74
25.	PTACH Józef s. Augustyna	81-447 Sopot Dzierżyńskiego 17b/5	51-77-79

26.	ROGOZIŃSKA Maria c. Władysława	81-520 Akacyjowa 5/3	
27.	STARZYŃSKI Hieronim s. Franciszka	81-312 Mazurska 6	20-44-47
28.	SUCHOCKA Marta c. Józefa	81-309 Warszawska 40-14	
29.	SZOSTAK Józef s. Piotra	81-306 Kwidzyńska 20/4	21-71-75
30.	SZYMCO Henryk s. Bolesława	81-312 Olsztyńska 38/5	21-86-65 z przywołaniem
31.	WALCZAK Wojciech s. Antoniego	81-309 Warszawska 60/5	
32.	WITT Maria c. Władysława	81-314 Pomorska 44/6	20-72-97
33.	WITOSIAWSKA Jadwiga c. Leona	81-314 Śląska 42/2	20-18-94
34.	ZIEMIŃSKI Ignacy s. Michała	81-310 Śląska 42/6	20-02-43
35.	JAWORSKI J. kub s. Jakuba	81-328 Tatrzańska 20/2	21-97-74
36.	WITT Florian s. Ignacego	81-311 Witomińska 8/33	



Warszawa, 22.11.91

Szanowny Panie

Adres Pański odnaleźliśmy w ankiecie Związku Sybiraków. Jesteśmy pracownikami Archiwum Wschodniego, zajmujemy się zbieraniem materiałów dotyczących buntów w łagrach sowieckich po śmierci Stalina. Chcemy prosić Pana o wypełnienie załączonej ankiety i odesłanie jej na podany adres.

Informacje, które mamy nadzieję od Pana otrzymać, są niezbędne w prowadzonych przez nas badaniach.

Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby zechciał Pan rozwinąć odpowiedzi, spisać wszystko, co Pan pamięta, wspomagając się podanymi w ankiecie kwestiami. Byłaby to cenna pomoc w naszej pracy. Jeśli nie zechce Pan rozszerzyć wspomnień, będziemy wdzięczni za odpowiedź jedynie na zadane pytania.

Jedną z form zbierania materiałów jest nagrywanie relacji. Czy możliwe byłoby odwiedzenie Pana i przeprowadzenie takiej rozmowy? Jeśli tak, to prosimy wskazać (w przybliżeniu) odpowiadający Panu termin, z którego moglibyśmy skorzystać.

Mamy nadzieję, że nasza prośba nie sprawiła Panu kłopotu. Oczekujemy na rychłą odpowiedź.

Z poważaniem

Małgorzata Strasz

Małgorzata Strasz

Tomasz Gleb

Tomasz Gleb

DYPLOM



DYPLIOM





DYPLOM

Dh. MARIAN PAWIŁA

Żołnierzowi Batalionu

Szarych Szeregów w

za uczestnictwo w konsp.

walce z niemieckim ok.

Czuwaj!



Gdańsk Wziesień 1985.







PAWLACZYK MARIAN ps. "Sęp" (1922-1990)

członek Tajnego Hufca Harcerzy i Szarych Szeregów w Gdyni.

Ur. 6 X 1922 r. w Mierzynie pow. Międzychód woj. poznańskie, jako syn Marcina i Marii z d. Liberra. Przed wojną mieszkał w Gdyni i był uczniem Gimnazjum Towarzystwa Szkoły Średniej im. ~~Bolesława Chrobrego~~ Od 1934 r. należał do ZHP. Brał udział w zlocie jubileuszowym ZHP w Spale oraz obozach harcerskich w Ignalinie k. Wilna (1938) i Jastarni (1939).

Podczas okupacji niemieckiej mieszkał w Gdyni przy Placu Grunwaldzkim 16. Do 1941 r. pracował jako malarz a następnie jako kreślarz.

W dniu 15 stycznia 1942 r. został przez Jana Będzińskiego zaprzysiężony ^{do} w ramach Tajnego Hufca Harcerzy w Gdyni. Razem z J. Będzińskim brał udział w zbieraniu i magazynowaniu broni i amunicji. Latem 1942 r. w grupie starszych członków THH został włączony do Szarych Szeregów w Gdyni. Znalazł się w plutonie J. Będzińskiego, wchodzącym w skład 1 kompanii Szarych Szeregów, dowodzonej przez Zygmunta Narlocha (obecnie Narskiego). Brał udział w akcjach małego sabotażu i pomocy dla jeńców znajdujących się w Gdyni. Otrzymał zadanie zorganizowania swojej trójki. Razem z J. Będzińskim przygotowywał się do utworzenia oddziału partyzanckiego w Borach Tucholskich. Nie zdążył podjąć szerszej działalności ze względu na aresztowanie swoich przełożonych i rozbicie struktur ZWZ-AK i Szarych Szeregów jesienią 1942 r.

Aresztowany został przez gestapo gdyńskie w swoim mieszkaniu w nocy z 2/3 maja 1943 r., podczas obejmującej całe Wybrzeże masowej akcji likwidacyjnej komórek polskich organizacji konspiracyjnych. Przewieziony został do budynku gestapo w Gdyni na Kamiennej Górze, gdzie przeprowadzono wstępne śledztwo. Rano 4 maja 1943 r. ^{transportowany do} przewieziony został do siedziby gestapo gdańskiego na Miegarten 27. ^{afansied} Już wieczorem tego dnia w licznej grupie aresztowanych członków pomorskiej konspiracji (w tym członków TOWGP) osadzony został w obozie koncentracyjnym Stutthof, jako więzień polityczny nr 22715. W obozie Stutthof do IX 1944 r. pracował w Gewehrkomando. Brał udział w obozowym ruchu oporu. Następnie do III 1945 r. przebywał

w podobozie Stutthofu w Gdańsku-Przeróbce. Ponownie znalazł się w Stutthofie w okresie od III 1945 r. do 9 V 1945 r. Po zajęciu obozu przez wojska radzieckie osadzony w więzieniu śledczym NKWD w Elblągu. Pod koniec maja 1945 r. przetransportowany do obozu przejściowego w Dębicy a następnie w rejonie Olsztyna. Wywieziony został stamtąd 28 V 1945 r. do ZSRR w grupie więźniów obozu Stutthof, własowców i Niemców. W ~~X~~^{przebruszk} 1945 r. na procesie, który odbył się w koszarach NKWD w Bobrujsku otrzymał 15 lat katorgi. Następnie poprzez więzienie w Mińsku, Gorki i Kirowie dotarł w styczniu 1946 r. do zespołu obozów w Workucie, gdzie pracował głównie przy wydobyciu węgla. Więziony był w łagrach do stycznia 1954 r. Do Polski przyjechał z ZSRR 9 I 1954 r. a do Gdyni wrócił 19 I 1954 r. Pracował w spółdzielczości do przejścia na emeryturę w 1981 r. Był aktywnym członkiem Klubu Byłych Więźniów Obozu Koncentracyjnego Stutthof. W latach 1983-1986 ^{dot} sekretarz Klubu, ^{ar} od 1989 r. wiceprezes ⁱⁿ

Zmarł w Gdyni 15 XII 1990 r.

 Archiwum Klubu Byłych Więźniów Obozu Stutthof w Sopocie: akta osobowe M.Pawlaczyka; deklaracja członkowska z 4 I 1967 i 24 X 1989, zaświadczenie MSZ ZSRR nr K-85-81/192 z 14 XII 1981 r. dotyczące więzienia M.Pawlaczyka w ZSRR; AMS, teczka akt więźnia, sygn. I-III-11658 (tu data osadzenia w Stutthofie 5 V 1943r.); Relacje t.VI, XIX, s.223-224; taśma magnetofonowa z ustną relacją M.Pawlaczyka o pobycie w łagrach na terenie ZSRR; A.Gąsiorowski, Szare Szeregi w Gdyni, "Muzeum Stutthof.Zeszyty", nr 5, s.119,147; inf. L.Zdrojewskiego.

Andrzej Gąsiorowski

Pawlaczyk Marian ps. „Sęp” (1922–1990), członek Tajnego Hufca Harcerzy i Szarych Szeregów w Gdyni

Urodzony 6 X 1922 r. w Mierzynie, pow. Międzychód; syn Marcina i Marii z domu Liberra. Przed wojną mieszkał w Gdyni i był uczniem Gimnazjum Towarzystwa Szkoły Średniej. Od 1934 r. należał do ZHP. Brał udział w zlocie jubileuszowym ZHP w Spale oraz obozach harcerskich w Ignalinie k. Wilna (1938) i Jastarni (1939).

Podczas okupacji niemieckiej mieszkał w Gdyni przy Placu Grunwaldzkim 16. Do 1941 r. pracował jako malarz, a następnie jako kreślarz.

W dniu 15 I 1942 r. został przez Jana Będzińskiego zaprzysiężony do Tajnego Hufca Harcerzy w Gdyni. Razem z Będzińskim brał udział w zbieraniu i magazynowaniu broni i amunicji. Latem 1942 r. w grupie starszych członków THH został włączony do Szarych Szeregów w Gdyni. Znalazł się w plutonie Będzińskiego, wchodzącym w skład 1 kompanii Szarych Szeregów, dowodzonej przez Zygmunta Narlocha (ob. Narskiego). Brał udział w akcjach małego sabotażu i pomocy dla jeńców znajdujących się w Gdyni. Otrzymał zadanie zorganizowania swojej trójki. Razem z Będzińskim przygotował się do utworzenia oddziału partyzanckiego w Borach Tucholskich. Nie zdążył podjąć szerszej działalności ze względu na aresztowanie swoich przełożonych i rozbięcie struktur ZWZ-AK i Szarych Szeregów jesienią 1942 r.



*Stow. biograficzny konspiracji pomorskiej
1939-1945, Tom 1, 1997, 2.3*

137

Aresztowany został przez gestapo gdyńskie w swoim mieszkaniu w nocy z 2/3 V 1943 r., podczas obejmującej całe Wybrzeże masowej akcji likwidacyjnej komórek polskich organizacji konspiracyjnych. Został przewieziony do budynku gestapo w Gdyni na Kamiennej Górze, gdzie przeprowadzono wstępne śledztwo. Rano 4 V 1943 r. przetransportowano go do siedziby gestapo gdańskiego przy Neugarten 27 i stamtąd tegoż dnia w licznej grupie aresztowanych członków pomorskiej konspiracji (w tym członków TOW GP) osadzony został w obozie koncentracyjnym Stutthof, jako więzień polityczny nr 22715. W obozie Stutthof do września 1944 r. pracował w Gewehrkommando. Brał udział w obozowym ruchu oporu. Następnie do marca 1945 r. przebywał w podobozie Stutthofu w Gdańsku-Przeróbce. Ponownie znalazł się w Stutthofie w okresie od marca 1945 r. do 9 V 1945 r. Po zajęciu obozu przez wojska radzieckie osadzony w więzieniu śledczym NKWD w Elblągu. Pod koniec maja 1945 r. przetransportowany do obozu przejściowego w Dębicy, a następnie w rejonie Olsztyna. Wywieziony został stamtąd 28 V 1945 r. do ZSRR w grupie więźniów obozu Stutthof, własowców i Niemców. W październiku 1945 r. na procesie, który odbył się w koszarach NKWD w Bobrujsku otrzymał 15 lat katorgi. Następnie poprzez więzienie w Mińsku, Gorki i Kirowie dotarł w styczniu 1946 r. do zespołu obozów w Workucie, gdzie pracował głównie przy wydobywaniu węgla. Więziony był w łagrach do stycznia 1954 r. Do Polski przyjechał z ZSRR 9 I 1954 r. Pracował w spółdzielczości do przejścia na emeryturę w 1981 r. Był aktywnym członkiem Klubu Byłych Więźniów Obozu Koncentracyjnego Stutthof. W latach 1983–1986 był sekretarzem Klubu, a od 1989 r. wiceprezesem.

Zmarł 15 XII 1990 r. w Gdyni.

Odznaczony Medalem Wojska (1,2,3 i 4, 1948) i Krzyżem Armii Krajowej (1983).

AMSt., teczka akt więźnia. sygn.I-III-11658 (tu data osadzenia w Stutthofie 5 V 1943 r., Relacje t. VI, XIX, s. 223–224, taśma magnetofonowa z ustną relacją M. Pawlaczyka o pobycie w łagrach na terenie ZSRR; A Klubu Byłych Więźniów Obozu Stutthof w Sopocie: akta osobowe M. Pawlaczka, deklaracja członkowska z 4 I 1967 i 24 X 1989, zaświadczenie MSZ ZSRR nr K-85-81/192 z 14 XII 1981 r. dotyczące więzienia M. Pawlaczyka w ZSRR; G a s i o r o w s k i A., *Szare Szeregi w Gdyni*, ZMSt., nr 5, s. 119, 147; Informacje L. Zdrojewskiego.

Andrzej Gąsiorowski

IV.11. Korespondencja bieżąca: - dot. Pawła i
Mariano

1. List Antoniego Banasia do Fundacji
z 5.02.2001r., napis, oryg. k.1 str. 1



Antoni Banaś
81-831 Sopot

Sopot, 5-go lutego 2001 r.

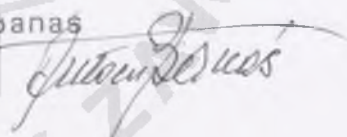
KW
Wpłynęło dnia B.d
Licz. 247 Pom 2001
P.W.

Szanowna Pani,

w załączeniu przesyłam resztki dokumentów Mariana Rawlaczuka
mojego szwagra. wydaje się że dla tych listów będzie odpowiedniejsze
miejsce w Archiwum Fundacji. Jego wspomnienia z pobytu w obozie w workucie
zostały nagrane przez dziennikarza z Warszawy. były również transmitowane
przez radio. Niestety nie udało się zdobyć tej kasety z nagraniem.
Jak przypuszczam nagranie to może znajdować się w Fundacji Archiwum
Wschodnie w Warszawie ul. Krakowskie Przedmieście 25.
Równocześnie dziękuję za przesłane życzenia oraz za ciekawy biuletyn.

Łączę pozdrowienia

Inż. Antoni Banaś

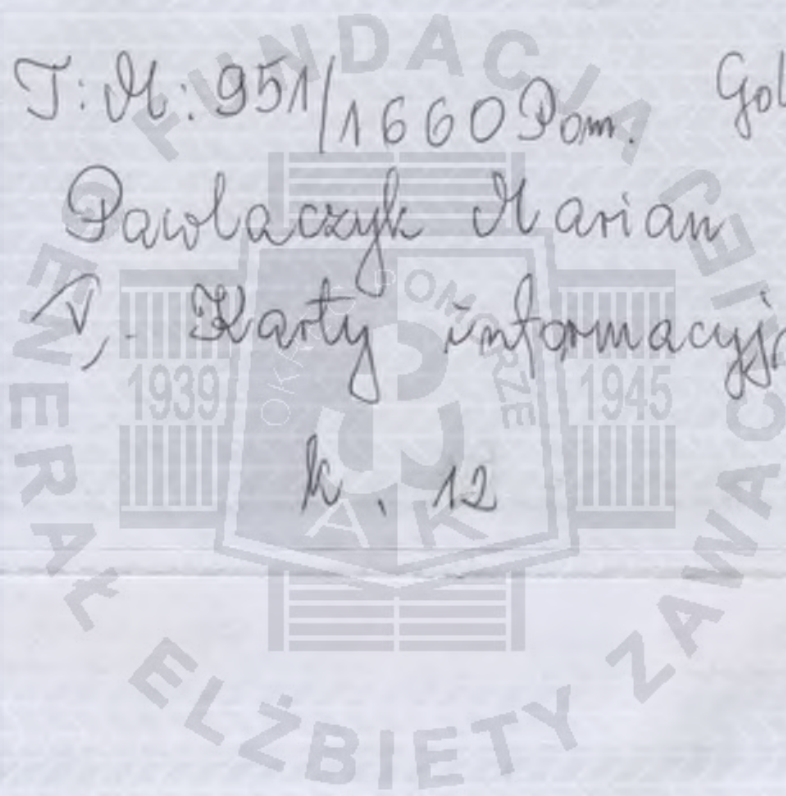


T: M: 951/1660 Pom. Gdynia

Pawlaczyk Marian

Party informacyjne

k. 12



Gdyśm A
Stare Seregi
THH

Parstarczyk Marian
Należał do plutonu Jemu Będzińskiego
w kompanii Z. Nasłowego

A. Gąsiorowski, Stare Seregi, Stuttgart.
Zemlyj Muzeum, m 5 2 1984, s. 119.
MLot-95

gdymia 2
brac Seregi

Pardaczyk Marian

Przewodnik działalności wydawczej, będący zatrudnionym w poprzednim biurze marmurzystwa Karla Hildebrandta w Lipsku.

A. Janowicz, brac Seregi., Stadthof. Ze-
szyt Murem, nr 5 z 1984, s. 130.

MLA 95

gdymia 3
Szare Beragi

Państwowy Muzeum

Został awansowany i przeniesiony do Szarego Beragi
1943 r.

A. Gęsiowski, Szare Beragi..., Muzeum - Zarys
Muzeum, nr 52, 1984, s. 147.

MLot-95

Pawłaczyk Marian

Gdynia 4

ZWZ

członek Baony Morskiej Szarych
Szeregów w Gdyni

Z. Nawski, Pierwsza Morska Kompania...,
Pomerania, 2. 1/1978, s. 16.

PO-94

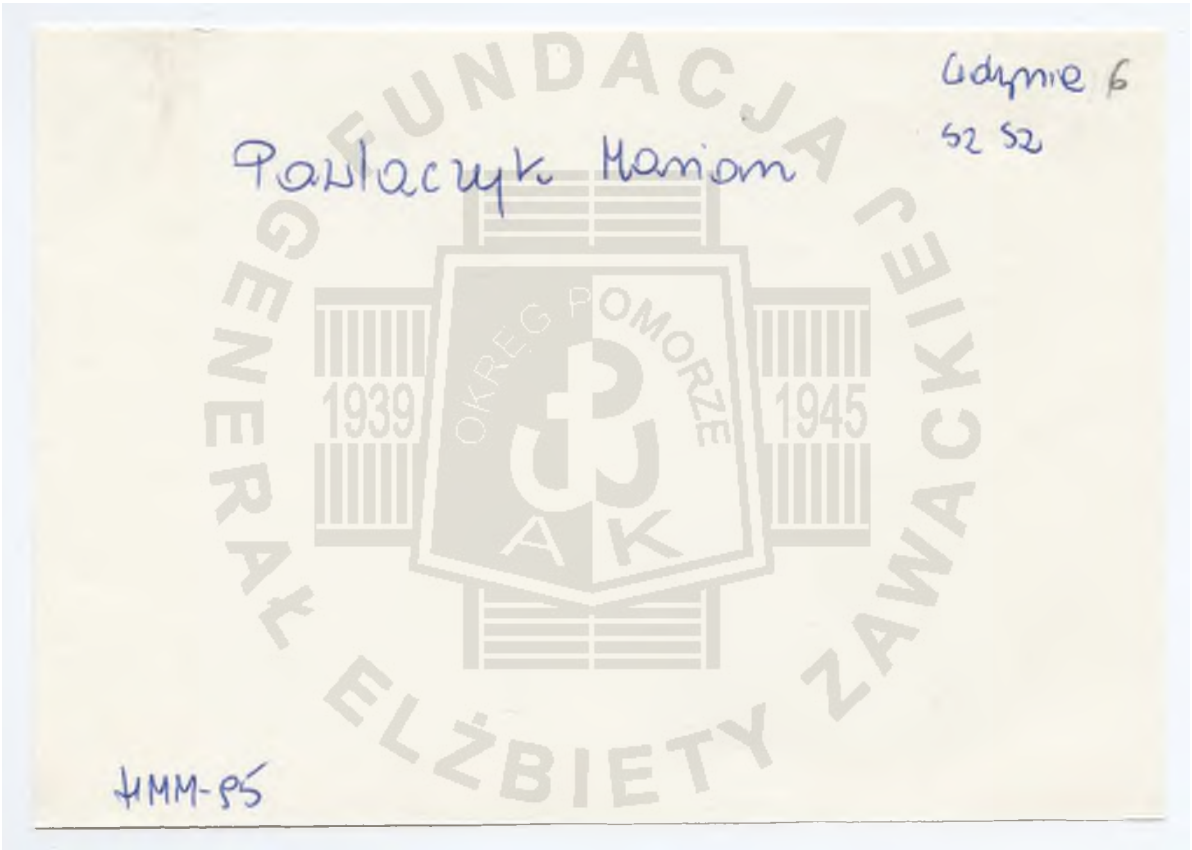
A

Galicja 15
Kroneberg

PAWLACZYK MARIAN

Jako element obron Stuttgart przeciw my obwodzie
tarcie ma stralnicę, prowadzą tam dwiatalno i solo-
torow.

V. Meyer, Samobrona ... Stuttgart. Zem. Kur.,
1985/6, s. 88.
1968-85



Ростасук Мамом

Gdynie 6
52 52

MM-PS

Prerogom tożsac
Mariusz Pawluszki
o klóre moite telefoniczne
sobrotoce Audiom
jedno zoprac w lepihinacy Pilotu Rybovany
z roku 1939
druge z lepihinacy Technikum
z let 1952.
Prorogowent i dny dwoit lepihinacy
eventualnie ebyturnego tożsac
Verle

wspisane
29.12.26 R. 7

Zi svojem Marcue Berlauche
mi mašter si poročim ed gdy
my jedni de versacy kytic v myšem
tygodnu on z pectosic ma edjive
3 lat poho jemy 48-50

Grono odpovedy! czy mooy
jenue co' bunked

1 saczebletrki

Bernard G. L. L. L.

90me 187 314

15.10.96

41 208995' -

Z głębokim żalem zawiadaliśmy, że odszedł od nas na zawsze nasz obozowy kolega

ś. p.

MARIAN PAWLACZYK

członek „Szarych Szeregów” AK,

były więzień Stutthofu, Workuty (ZSRR) oddany całym sercem do ostatnich dni swego życia sprawom kombatanckim i więziarskim.

Odmierzony Krzyżem Kawalerskim Orderu Polonia Restituta, Krzyżem Oświęcimskim, Krzyżem Partyzanckim i innymi medalami.

Msza św. odprawiona zostanie 19 grudnia 1999 roku, o godz. 12.30, w kościele Chrystusa Króla w Redłowie.

Pogrzeb odbędzie się tego samego dnia o godz. 14.00, na cmentarzu Witomińskim.

Wyrazy głębokiego współczucia Rodzinie Zmarłego składają

Stutthowiacy.

5 NI

1999

S-982

Inspektorat Główny
Józef Szepiec Karcowski
THA 9

Powłaczycielu

19342 - Józef Szepiec Karcowski

Właściwy, pomocnik, podwyższanie na duchu, magisterstwo
z 3 na 3 maja awansowany i mianowany
o Stutthofie.

Wzrost: 181 cm XIX str 223

vel. dt. Bawelinyka, adres B. Chwałow.
Skp

U. Lee

Paula cyk Marian

Goleniów
JMH-SzS
IAK

Wtrazony do Sz. Sur. 2 JHH w 10
Gdyni w 1943r.; od maja 1943r.
oboz konc. Stutthof; po wyzwoleniu
obozu, aresztowany przez Rosjan, i
przetkowo osadzony w więzieniu śled-
czym w Gblegu; po koniec maja 1945
przettransportowany do obozu przejścio-
wego w Debicy, a następnie Olsetyna;
w grupie byłych więźniów obozu
verte!

Stutthof, wtrasonców i Wisemców
wyzisimny 28.05.1945r. do ZSR R.
w IX 1945r. na procesie, hitony odbył 1stę
w kosserach WK W D w Bobrujsku, otisy-
mat karę 15 let katorgi; poprzez wpięcia
w Minislu, Genki i Kirowie, dotarł w I 1945r.
do zespolu obozów w Worlucie, gdzie pracowal
w niezwykle ciężkich warunkach głównie
przy mydoby cinn megle.

zob. Gosiomowski A, Szere Szer. ... , wyd. FAP
FK, t. XXI, str. 187, passim

482. 101

a

T.H.H-Szare
Szeregi Gdynia
11

PAWLACZYK Marian
ps. „Sęp”

Urodz. 6 X 1922 r w Mierzynie, pow.
Miechów. Zapisany w Gdyni
do Tajnego Hufca Harceży. Wzrostem
do Szarych Szeregów. Wzrostem i Stuf-
hacie. Od 1945 r do 1954 r mieszkał w Gdyni
w Łańcuch. Zmarł 15 XII 1990 r w Gdyni
Zob. Słownik Biogr. Kasp. Pom. 13 str. 137
Fundacja Archiwum Pomorskie AK

J. Był. 2003 r Toruń 1997 r

Pawłaczyk Marian

Gdynia

12

członek szarych szeregów w Gdyni, więzień obozu
koncentracyjnego Stutthof, obywatel w komórcie sabo-
żarskiej na strzelnicy.

Zob. Spis imion Łożni Kępcy

s. X/83

nr 10/11

Powłaczyk Marian

